EMPiK Klasyka

EMPiK Klasyka to przedsięwzięcie EMPiK-u, którego celem jest prezentowanie muzyki klasycznej oraz przybliżanie polskiej publiczności tej dziedziny, która choć powszechnie uważana za trudną, elitarną i związaną z przeszłością, pozostaje wciąż aktualna i żywa. Niezwykłe walory estetyczne, których w żadnym wypadku nie daje porównać się z muzyką współczesnej pop kultury, godne są promowania zwłaszcza młodemu słuchaczowi, który, być może, onieśmielony i zniechęcony wysiłkiem intelektualnym będącym warunkiem jej poznania, nigdy by po nią nie sięgnął. Pragniemy pokazać, iż niezależnie od przygotowania, muzyką klasyczną może cieszyć się każdy, zarówno "początkujący" słuchacz, który trafia w gąszcz klasyki - dla niego przygotowaliśmy specjalny cykl wydany na płytach CD, na których znajdzie utwory piękne i "przyjemne dla ucha" - jak i wytrawny meloman, któremu niestraszny "Dies Irae"... Wraz z EMPiK Klasyką słuchacz może dojrzewać, niczym dobre wino, do którego często porównywana jest muzyka klasyczna. I również jak wina, w naszych salonach, niczym w najwytworniejszych salonach Europy, spragniona doznań muzycznych osoba, może jej najpierw skosztować - odsłuchać wybrane przez siebie utwory i uznać, które z nich najbardziej odpowiadają jej gustom. Salony EMPiK-u w swojej ofercie posiadają bowiem największą w Polsce "piwniczkę" muzyki klasycznej, gdzie "leżakują" tak dzieła szesnastowieczne, jak i współczesne "beaujolais".

EMPiK Klasyka to także mecenat sztuki, który zapoczątkowaliśmy wydaniem płyty "Przeboje Klasyki Polskiej i Światowej", a który wciąż rozszerzamy o nowe kompilacje zawierające utwory tego elitarnego gatunku muzyki.

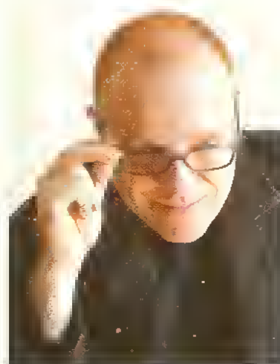
Szukaj w naszych salonach „skarbów" klasyki polskiej i światowej na płytach CD w doskonałych wykonaniach!



EMPiK Pełna kultura

Witajcie!

Po pierwsze: wielkie dzięki! Za to, że tak entuzjastycznie zareagowaliście na pierwszy numer Muzy. Za całą bogatą korespondencję, której fragmenty będą od tej pory zajmować specjalne kolumny naszego magazynu (str. 4-5). Za słowa otuchy i za rzeczowy krytycyzm, bez którego w ogóle nie wyobrażamy sobie tworzenia pisma. Wypunktowaliście nam kilka słabych miejsc i reagujemy od razu - już od tego numeru wszystkim recenzjom towarzyszyć będą okładki, a ich brak był jednym z powtarzających się zarzutów. Inny powtarzający się zarzut to długość mojego wstępniaka :) Ok, ok - będę się streszczał, ale za pierwszym razem tak wiele chciało się powiedzieć. Jak mówią słowa piosenki: There's nothing like the first time, baby...



Fot. Katarzyna Rejzner

DANIEL WYSZOGRODZKI
redaktor naczelny

Oddajemy w Wasze ręce drugi numer Muzy. A w nim - muza wszelaka, jak zawsze. Główny materiał dotyczy jednego z najbardziej kontrowersyjnych artystów ostatnich lat, niesławnego Marilyna Mansona. Nasza specjalna wysłanniczka miała z nim bliskie spotkanie w Berlinie (szczegóły nieznane nawet Redakcji), a to, że była drugą najbardziej bladą osobą w mieście pozyskało jej szczególne względy MM. Przeczytajcie relację Dagny Kurdwanowskiej.

Dalej jest Kazik. Kazik, który śpiewa Waitsa. Pogłębioną rozmowę z artystą przeprowadził dziennikarz najbardziej kompetentny - Leszek Gnoiński jest autorem bestsellera *Kult Kazika*. Mamy ambicje popularyzatorskie, nie wypieramy się tego. Skoro więc Kazik, uznany autor, śpiewa piosenki Toma Waitsa, innego uznanego autora, przybliżamy sylwetkę tego drugiego. Ja sam bardzo się cieszę, że dzięki tej płycie i tym przekładom, kanon piosenki popularnej rozszerzył się w Polsce o twórczość „Ostatniego Beatnika". A wracając do Kazika - to on sam, autoryzując wywiad, powstawiał nam te wszystkie „żem" i „żeśmy", żeby przybliżyć Wam styl swoich wypowiedzi. No cóż, Kazikowi się nie odmawia...

Zebraliśmy od Was wiele pochwał za wywiad z zespołem Placebo. Przekierowujemy je do naszego przyjaciela, Piotra Stelmacha z Trójki, bo to jego dzieło. Tym bardziej cieszy nas, a liczymy że i Was ucieszy, wywiad z zespołem Blur, jaki przeprowadził w Londynie inny gwiazdor Trójki, Paweł Kostrzewa. Bardzo cenimy sobie współpracę z radiowcami.

A skoro już jesteśmy przy Polskim Radiu. Wyjątkowym wydarzeniem fonograficznym tego roku jest album *Trudno nie wierzyć w nic*, zespołu Raz Dwa Trzy. To doprawdy niezwykła płyta, a jej popularność dowodzi, że - wbrew utyskiwaniom malkontentów - nadal można śpiewać o sprawach ważnych i poważnych. Inny kapitalny sukces artystyczny, to ostatnia płyta Tomasza Stańko, *Soul Of Things*, która weszła do światowego Top 10 prestiżowego magazynu Jazz Times. Rozmowa z tym artystą okazała się nie mniej inspirująca niż jego muzyka. Zapoznajcie się z filozofią „Tomasza z Powiśla" - ja sam byłem powalony.

Kolejną artystką, która nie tylko nagrywa znakomitą muzykę, ale ma wiele do powiedzenia, jest Agnieszka Chylińska. Jak „muza z muzą" porozmawiała z nią Dagmara Leszkowicz, zaś na szczególną uwagę zasługuje fakt, że specjalnie dla nas Agnieszka Chylińska przerwała długo zapowiadane „milczenie medialne", spowodowane rozwiązaniem zespołu O.N.A.

Prosicie w listach o materiały dotyczące muzyki alternatywnej, sceny klubowej i hip hopu? Proszę bardzo. Specjalnie dla nas - czyli dla Was - wywiad z zespołem WWO, pogawędka Ewy Śródki ze Smolikiem i „alternatywna" Maria Pachnicka o Interpolu, rozchwytywanej obecnie kapeli z nowojorskiego undergroundu. Nie koniec na tym. Marta Ślendak pisze o znakomitym filmie dokumentalnym Scratch (po polsku Skrecz), inaugurujemy też stałą rubrykę, w której biali DJ-e prezentują swoje ulubione czarne naleśniki (tu: winyle).

Poza tym znajdziecie w drugiej Muzie działy stałe. Nasi fantastyczni felietoniści dostarczą Wam wielu tematów do przemyśleń, rysownicy rozbawią Was do łez, my zaś szczególnie polecamy nasze oczko w głowie, czyli szeroki dział recenzji. Coś mi się wydaje, że drugi wstępniak niewiele będzie krótszy od pierwszego... Czytajcie nas! Powiedzcie o nas wszystkim krewnym i znajomym! Odwiedzajcie naszą stronę **www.muza.art.pl** i koniecznie do nas piszcie: **listy@muza.art.pl**

Pozdrawiam!

DANIEL WYSZOGRODZKI

Redaktor Naczelny

MUZA
magazyn muzyczny
www.muza.art.pl

Adres redakcji
Pałac Kultury i Nauki
00-901 Warszawa, Pl. Defilad 1
Strefa K, III p. Lokal 326
(22) 652 25 27, (22) 652 25 28
redakcja@muza.art.pl
Reklama i promocja
telefon/fax (22) 652 18 89
reklama@muza.art.pl

Wydawca
MUZA PRESS
WŁODZIMIERZ WIECZOREK
wlodek.wieczorek@muza.art.pl

Redaktor Naczelny
DANIEL WYSZOGRODZKI
daniel.wyszogrodzki@muza.art.pl

Zastępca
LESZEK GNOIŃSKI
leszek.gnoinski@muza.art.pl

Sekretarz Redakcji
EWA ŚRÓDKA
ewa.srodka@muza.art.pl

Studio graficzne
CGS STUDIO, Poznań
cgs.studio@muza.art.pl
DOROTA KUDRASZEW
dorota.kudraszew@muza.art.pl
KACPER GŁĄBICKI
kacper.glabicki@muza.art.pl

Felietoniści
KASIA NOSOWSKA
KUBA SIENKIEWICZ
KUBA WOJEWÓDZKI
GRZEGORZ BRZOZOWICZ
JAN LATUS (NOWY JORK)

Korespondenci
PIOTR MIKOŁAJCZAK (PARYŻ)
RAFAŁ MOTRIUK - BBC (LONDYN)
WOJCIECH BOŻYK (NOWY JORK)
GREG PRZYGOCKI (TORONTO)

Współpracownicy
ANITA BARTOSIK, AGNIESZKA BORKOWSKA
KAROLINA KOSIŃSKA, DAGNY KURDWANOWSKA
DAGMARA LESZKOWICZ, ILONA LEWANDOWSKA
MARIA PACHNICKA, OLA SZACZKUS,
MARTA ŚLENDAK, BARBARA TENDERENDA,
TOMEK BRODA, GRZEGORZ BRZOZOWICZ
STANISŁAW BUKOWSKI, LESŁAW DUTKOWSKI
MAREK GARZTECKI, GLASSINJAH
CEZARY GUMIŃSKI, LESŁAW HALIŃSKI
JACEK HAWRYLUK, MARCIN KOSTASZUK
PAWEŁ KOSTRZEWA, AREK LERCH
STANISŁAW MACIĄG, WOJCIECH OSSOWSKI,
ARTUR PLESKOT, PAWEŁ PIOTROWICZ
ARTUR STADNIK, PIOTR STELMACH
TOMASZ SZACHOWSKI
TOMASZ SZMAJTER, JAREK SZUBRYCHT
JERZY WASIUKIEWICZ, MACIEJ WERK
SŁAWEK WIERZCHOLSKI, JACEK ŻUŁAWNIK

Prenumerata
telefon/fax (61) 868 67 95
prenumerata@muza.art.pl

Konkursy i korespondencja
listy@muza.art.pl

Druk
CGS Drukarnia sp. z o.o.
telefon (61) 848 93 47, fax (61) 843 51 03

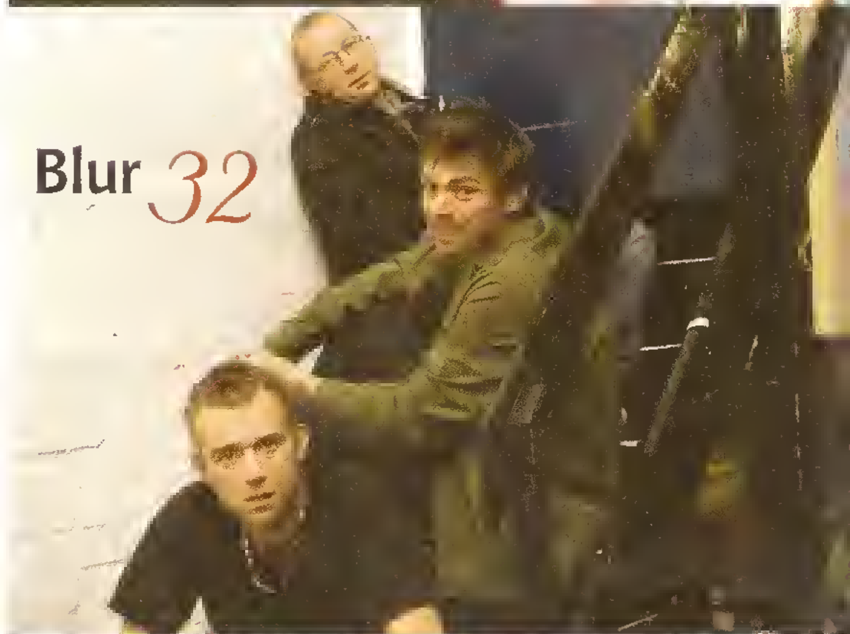
ISSN 1730-6639

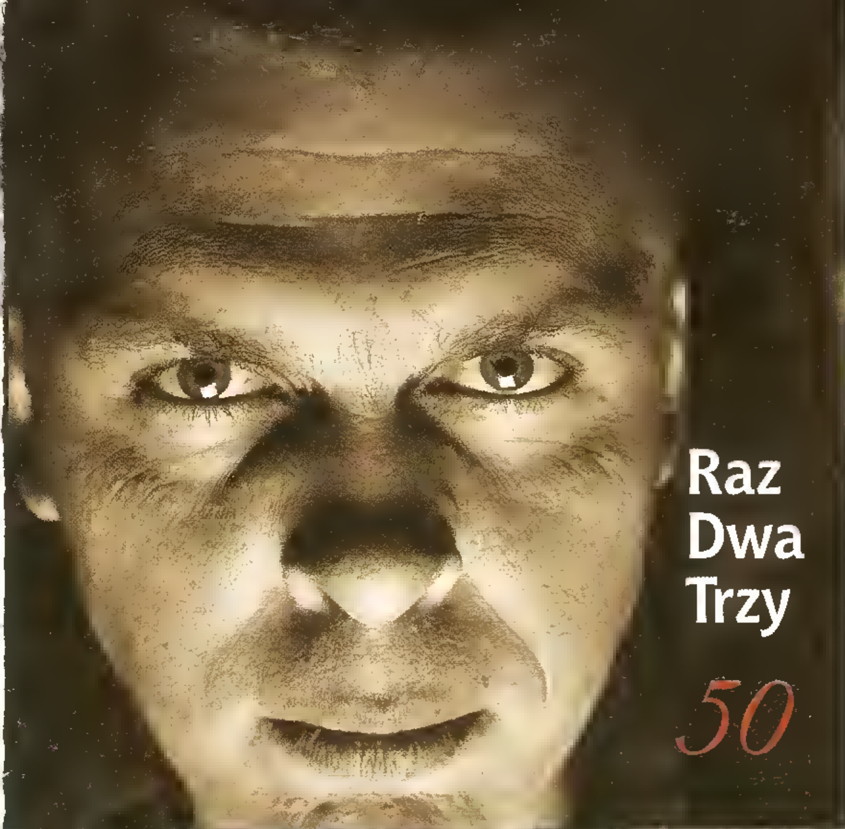
MUZA

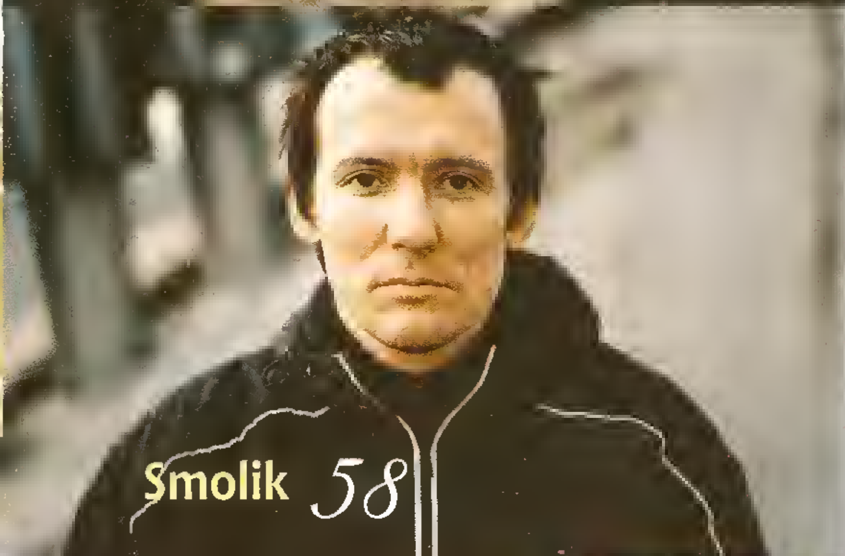
magazyn muzyczny 2/2003








Raz
Dwa
Trzy
50


Smolik 58


Chylińska 92

POCZTA MUZY POCZTA MUZY

Dobrze, że robicie pismo o wszystkich rodzajach muzyki. Muzyka robi się coraz bardziej jednorodna - tak jak cały świat. Tomasz Stańko

Pierwszy numer jest OK. Świetne felietony Wojewódzkiego, Nosowskiej, Sienkiewicza, Brzozowicza i Latusa! Wielość recenzji. Wspaniała szata graficzna, ciekawy i czytelny układ materiałów. Szkoda, że nie większa objętość. **Filip Suprowicz**

Filipie, my też tego żałujemy. Naprawdę. Już od drugiego numeru ilość materiałów zaczęła przekraczać ramy 100-stronicowego magazynu. Mamy nadzieję, że po kilku pierwszych numerach podskoczymy do 140 stron. Wszystko w Waszych rękach, Czytelnicy!

Słucham rocka, ale podobają mi się wasze szerokie horyzonty i bardzo miło było poczytać np. o wykonawcach muzyki klasycznej albo jazzu! Tak trzymać! **Squork**

Przyjacielu! Twoje słowa są miodem dla naszych uszu! Nie konkurujemy z fachowymi pismami o jazzie czy powadze, ale w dzisiejszej muzyce nie można być zamkniętym!

Nie wiedziałam, czy warto wydawać te 7.90 (zbieram kasę na wakacje i na ciekawe płyty), ale zaryzykowałam... Magazyn przeczytałam "od deski do deski", to właśnie na taką gazetę czekałam! Masa interesujących recenzji muzycznych...125 (prawie) :) Ciekawe artykuły, felietony... Kurczę, raj! Dzięki za to, że w końcu mogę poczytać coś ciekawego! **hemoglobinka**

I my bardzo dziękujemy - jak najwięcej hemoglobinki w obiegu!

Bardzo dziękuję za spory wywiad z Placebo. Na ogromne brawa zasługuje szata graficzna - doskonały papier, wszystko świetnie rozmieszczone. Moja propozycja jest taka: napiszcie w MUZIE np. o Radiohead, Tori Amos, U2, o takich alternatywnych rzeczach. Pozdrawiam. **Ewa**

Droga Ewo,
Już niedługo materiał o Radiohead, a w sierpniowym numerze wielki materiał o Tori Amos - alternatywa alternatywą, ale dziewczyna kończy 40 lat...

Wasze pismo przypomina mi trochę starą, dobrą, nieistniejącą już Machinę, co nawet mi się spodobało, ponieważ Machina była kultowa. Ucieszył mnie fakt, że wasze pismo ma być o każdym rodzaju muzyki, nie tylko o popie i techno. Szczególnie cieszy mnie, że macie zamiar (mam nadzieję, że dotrzymacie słowa) zająć się muzyką alternatywną. Pozdrawiam Was, redaktorzy redagujący Muzę, jak i wasze matki, żony, dzieci, kochanki, bliższą i dalszą rodzinę, przyjaciół, psa oraz kota - no i oczywiście rybki.
Lord Yaskier

Lordzie!
Dzięki wielkie za pozdrowienia - przekazałem swoim trzem kotom!

Przeczytawszy niemal wszystko doszłam do wniosku, że jest w was potencjał. Mnie osobiście podoba się pomysł, aby pisać o wszystkich gatunkach muzycznych. Jestem muzoholikiem i nie gardzę żadnym gatunkiem muzycznym - liczy się tylko jakość. Teraz trochę krytyki. Najbardziej rzuca się w oczy chaos. Wszystko jest pomieszane, najpierw wywiadzik, potem trochę niusów, znowu wywiadzik, następnie felieton, artykuły, wywiad. Albo okładka - Pudelsi fajny zespół, ale pierwsze skojarzenie wywołane zdjęciem to... wiocha. Reasumując, mam nadzieję, że pójdziecie bardziej alternatywną drogą. Ogólnie mi się podobacie, a że wam nawrzucałam to tylko z sympatii. :)
Olga

Słowa rzeczowej krytyki są nam bardzo potrzebne. Uczymy się na błędach, na szczęście nie tylko na własnych. Opanujemy ten chaos, Olgo. Prosimy o cierpliwość. Specjalnie dla ciebie cytat z Dylana: "Akceptuję chaos. Zastanawiam się, czy chaos akceptuje mnie."

Zwycięzcy konkursu „Matchbox twenty"

Płyty:
Roman Gad z Łopuszna
Adriana Putych z Zielonej Góry
Paweł Ptaszek z Opoczna
Aneta Iwaniuk z Torunia
Kamil Sałek z Jędrzejowa
Marcin Liwarski z Warszawy
Kuba Grześkowiak z Kalisza
Andrzej Masłowski ze Świdnicy
Jarek Tyras z Piekar Śląskich
Maciek Karbowiak z Torunia

Koszulki:
Martyna Kurowska z Nowego Kramska
Maciek Adamowski z Warszawy
Agnieszka Wrzosek z Turku

Kasety:
Dawid Adamski z Braniewa
Jacek Rusiecki z Jawora
Dariusz Orczyk z Bolesławca
Rafał Gruszczyński z Poznania

POCZTA MUZY POCZTA MUZY

Co mi się najbardziej podoba: szata graficzna i dobra jakość papieru, duża ilość felietonów, ciekawe artykuły "główne" i wywiady. Co mniej, i co moglibyście zmienić: recenzje - po co komu tak wielka czcionka (tyczy się to także newsów), zmniejszcie ją i wydłużcie recenzje. Drugi numer kupię na pewno! Pozdrawiam, **Robert**

Robercie, jednym z założeń składu była lekkość i czytelność - nie chcemy powielać błędu innych pism muzycznych, które wymagają czytania z lupą. Raczej powiększymy objętość.

Czekałem na ukazanie się Muzy. Po zniknięciu Machiny brakowało dobrego magazynu muzycznego i mam nadzieję, że Muza wypełni tę lukę. Podoba mi się szata graficzna i to, że w Muzie wyczuwalna jest (hmm...) dusza, pomysł na tworzenie magazynu. Życzę wielu czytelników i silnej, opiniotwórczej pozycji. Pozdrawiam,**Maciek Sokołowski**

Dzięki, Maćku - dusza u nas przepastna, po prostu soul. A na pozycję zapracujemy.

Kilka tygodni temu Daniel Wyszogrodzki był gościem Piotra Stelmacha w Trójce i opowiadał o nowym miesięczniku. Dzisiaj nabyłem pierwszy numer Muzy. Podoba mi się materiał o Massive Attack, wywiad z Pudelsami i oczywiście wywiad z zespołem Placebo. Mam jedno "ale". Nie podoba mi się, że przy recenzjach płyt nie ma zdjęć okładek... **Łukasz Modrzejewski** z Łodzi.

Nam też się to nie podobało i poprawiamy się już od drugiego numeru!

Pozdrawiam, widziałam Was w MTV, na pewno pismo będzie zajebiste! Widzę artykuł o Massive Attack, tak trzymać, trip-hop non stop! :) **Kaśka**

Muza to praktycznie sami młodzi autorzy. A to gwarantuje zajebiste materiały!

Treść pisma jest generalnie OK. Ale oczywiście mam kilka uwag. Recenzje są super, ale trzeba je jakoś logicznie poukładać, a nie mieszać pop z jazzem i metalem. To bez sensu! **Mirek Owczarek**

Święta prawda. Muzyka jest jedna, ale trzeba ją porządkować. Od tego numeru układamy recenzje w kategorie, stosując najbardziej podstawowe podziały. Chyba teraz jest OK?

Jeśli chcecie zapełnić niszę po ś.p. Machinie, to życzę wam jak najlepiej. Nie kupuję Klanu, bo nie jestem ziomkiem z osiedla (aczkolwiek wielkie YO! dla ziomali), nie czytuję Tylko Rocka, bo nie tylko rocka słucham, kocham muzykę w większości jej przejawów, jeśli więc chcecie być rzetelnym pismem "środka", to chwała wam za to. Życzę tyle zapału, ile ma go Naczelny we wstępniaku do pierwszego numeru.
Robert Danelski

Dzięki, Robercie! Zapału nam nie brakuje!

Pan Franciszek Walicki, jedyny prawdziwy GURU POLSKIEGO ROCKA, przysłał na ręce Redakcji list, który dodał nam skrzydeł. To nasze najlepsze „błogosławieństwo na drogę". Dziękujemy!

Szanowni i Drodzy !

Dziękuję za pierwszy numer Waszego pisma. Robi doskonałe wrażenie - i to nie tylko z uwagi na bogatą szatą graficzną, ale także – co ważne - pod względem t r e ś c i. Z satysfakcją przeczytałem „wstęp" red. Wyszogrodzkiego i ucieszyłem się, że Wasz magazyn ma ambicje zajmowania się nie tylko współczesnymi wydarzeniami muzycznymi, ale i publicystyką. To bardzo cenna inicjatywa, bo takie pismo jest potrzebne. Z uwagą przeczytałem niebanalne felietony i wywiady. Bardzo ciekawy był felieton Kuby Sienkiewicza na temat KPiM-u, felieton Kuby Wojewódzkiego (cholerny talent!), Grzegorza Brzozowicza na temat rynku fonograficznego i wywiad Marty Ślendak z K.A.S.A. O materiałach zagranicznych nie wspominam, bo są ciekawe i oryginalne. Gratuluję i życzę aby Wasz Magazyn stał się wiodącym pismem muzycznym w Polsce i nie podzielił losu tych wszystkich pism, które z różnych powodów musiały zawiesić swoją działalność. Oczywiście i ja także – i to niezwłocznie – wypełniłem przekaz na prenumeratę Waszego pisma na najbliższy rok.

Dziękuję i ściskam Was serdecznie.

FRANCISZEK WALICKI

Z pozdrowieniami od całej Redakcji
DANIEL WYSZOGRODZKI

Berlin. Kwiecień 2003. Przyjęcie w teatrze. Rozglądam się. Wkoło goście w strojach wieczorowych. Pan w eleganckim, skórzanym fartuchu rzeźnika i z fryzurą à la Violetta Villas, pani obok wygląda jak dama z cmentarnego domu publicznego. Jest ktoś w typie Frankensteina, dwumetrowy młodzian w spódniczce i szykownym futerku, obok przemyka kobieta motyl. Czas zacząć zabawę. Nadszedł przecież nowy wiek – *Złoty Wiek Groteski*. Witajcie na imprezie Marilyna Mansona.



SZTUKA FOTOMONTAŻU

Przez ostatnią dekadę Marilyn Manson z lubością nurzał się w dekadentyzmie. O ile dwa pierwsze albumy, *Portrait of an American Family* i *Smells Like Children*, zasięgiem obejmowały wyłącznie rozkład podstawowej komórki społecznej (czyt. rodziny), tak już trylogia *Antichrist Superstar - Mechanical Animals - Holy Wood (In the Shadow of Valley of Death)*, naładowana biblijnym symbolizmem, wieszczyła upadek całej ludzkości. Manson objawiał się jako strącony z nieba Lucyfer, to jako brat bliźniak Jezusa (Omega), a czasem jako sam Bóg. „Poszedłem spotkać się z Bogiem tylko po to, by się przekonać, że to ja sam" - śpiewał w *The Reflecting God*, dodając jeszcze: „Żadnego zbawienia. Żadnego przebaczenia". Napięcie wynikające ze zbliżającego się wielkimi krokami fin de siecle wyraźnie mu się udzieliło.

Niestety, nic się tak szybko nie zużywa jak prowokacja. Nawet Marilyn Manson musiał to w końcu zauważyć. Porzucił przyciężkie rejony wiary i polityki i zadeklarował, że jedyną religią jest dla niego sztuka. Teraz jego ulubionym słowem jest „dada". Prostota dziecinnego gaworzenia, która ma znaleźć swoje odbicie w prostocie środków artystycznych. To także odwołanie do obrazoburczego ruchu artystycznego, którego Manson jest godnym spadkobiercą. Sam właściwie jest jak jedno z dzieł dadaistycznych. Trójwymiarowy, pozlepiany z popkulturalnych ścinków i głębszych treści fotomontaż.

ARTYSTA PEŁNĄ GĘBĄ

Prawie sto lat temu środowisko berlińskich dadaistów stworzyło zupełnie nowy język w sztuce. Hannah Höch, Georg Grosz, John Heartfield z fragmentów zdjęć zaczęli tworzyć zupełnie nowe, podobne do łamigłówki, całości. Każdy element fotomontażu był wskazówką i kluczem do odczytania ukrytych znaczeń. Wraz z wycinkami mieszały się i treści. Kultura masowa zaczęła przenikać się z polityką i propagandą. Czyż od 10 lat tego samego nie uprawia Marilyn Manson?

Tym razem w jego wizerunku spotkała się Republika Weimarska z hollywoodzkim kinem lat 30. Dziennikarzom postanowił zaprezentować ów wizerunek w najwłaściwszym miejscu - berlińskim teatrze.

Manson zmienia Gęby jak rękawiczki. W tej ostatniej, trzeba przyznać, jest mu wyjątkowo do twarzy. Stylowe fraki, cylindry, eleganckie koszule - z artysty robi się prawdziwy gentleman.

W Stanach Zjednoczonych Marilyn Manson był od początku niezrozumiałym dysonansem, czymś, co nie miało prawa pojawić się tam, gdzie wszyscy są piękni i nieskazitelni. Stając się antytezą estetycznych kanonów, naruszył tabu. W domu powieszonego nie mówi się o sznurku. W świecie owładniętym kultem, czy jak woli Manson „dyktaturą", piękna, nie toleruje się ostentacyjnego epatowania ohydą. A on z tej ohydy, z tej perwersyjnej brzydoty śmiał uczynić swój największy atut. Teraz zamiast tego wszystkiego widzimy wyrafinowane stroje i maniery. I tylko przesadny, teatralny makijaż przypomina, że to wciąż ten sam artysta. Przedstawienie, które rozpoczęło się 10 lat temu, toczy się nadal.

Manson jeszcze niepewnie czuje się w nowym wcieleniu. Kiedy w czasie jednej z atrakcji przyjęcia - wernisażu jego akwareli - opowiadał o pasji do malarstwa, było w nim dużo nieporadności. Ubrany w czerwony garnitur znany z teledysku *mOBSCENE*, czerwony cylinder, czarne rękawiczki, w dwóch palcach przytrzymywał kieliszek z białym winem i potrzebował dłuższej chwili, by wpasować się w rolę niedbale rozprawiającego o sztuce dandysa. Przestępował z nogi na nogę, wiercił się, nerwowo rozglądał na boki. Ale to profesjonalista najwyższej klasy, opanował się więc i przypomniał sobie właściwe gesty - wyprostował się, założył jedną rękę do tyłu, twardym spojrzeniem potoczył po zebranych gościach i tłum znowu należał do niego. W grze pomiędzy artystą i publicznością Manson znów był górą. Nie po raz pierwszy i nie ostatni tego wieczora.

PUŁAPKA NA MYSZY

W rozmowach wielokrotnie podkreślał, że atmosfera międzywojennego Berlina była dla niego ogromną inspiracją. Trudno się dziwić. Manson kocha paradoksy i wieloznaczności, a tego akurat w Berlinie lat 20. i 30. nie brakowało. Z jednej strony, intelektualny i kulturalny wrzący tygiel. Z drugiej strony miejsce, w którym potęguje się antysemityzm, oddziały w brunatnych koszulach maszerują po ulicach i rośnie poparcie dla faszyzmu. Manson umiejętnie nawiązał do tego fragmentu niemieckiej historii. Po korytarzach berlińskiego teatru maszerowały dzieci przebrane w brunatne mundurki, z zabandażowanymi twarzami i przyprawionymi uszami Myszki Miki. Ot, niewinne Mansonjugend. Kolejny mezalians głębszej symboliki z popkulturą. Kolejny udany fotomontaż.

Jego wizerunek to zawsze zlepek kilku klisz, kilku stereotypów, które połączone zostały na zasadzie paradoksu i w możliwie najbardziej zaskakujący sposób. Muszą zwracać uwagę, przyciągać jak magnes i fascynować. Chętnie sięgamy po to, co zakazane i kontrowersyjne. Marilyn Manson nie miał większego problemu z wejściem w rolę zakazanego owocu. Dwie pierwsze płyty nie mają w sobie jeszcze tej siły oddziaływania, bo i wizerunek był jeszcze w fazie eksperymentów. Nawet Beavis i Butt-Head nie dawali Mansonowi wielkich szans w showbiznesie, wyśmiewając się niemiłosiernie z jego pionierskich dokonań. Przełomem okazał się *Sweet Dreams*, cover utworu Eurythmics. Niepokojąca, obsesyjna interpretacja utworu w połączeniu z teledyskiem, na którym Manson występował w roli mocno zużytej baletnicy, jednych przyprawiły o nerwowy bezdech, przed innymi objawiły nowego boga. Mieszanka niewinności z wyuzdaniem robiła



Fot. Universal, Agencja Super Express Przemek Zimowski

wrażenie. „*Sweet Dreams* był kawałkiem sera umieszczonym w pułapce na myszy. To była przynęta na tych, którzy normalnie w ogóle nie zwróciliby na nas uwagi, a dzięki temu włazili prosto w sidła" - powiedział artysta. Nie mylił się. Od momentu, w którym życzył wszystkim „słodkich snów", zaczął rozprzestrzeniać się jak zaraza, jak dekadencka dżuma, którą im silniej się zwalczało, tym się stawała odporniejsza.

(ANTY)CHRYSTUS I JEZUS DEAN

Prawdziwym majstersztykiem w dziedzinie Mansonowskiego fotomontażu miała się okazać trylogia *Antichrist Superstar - Mechanical Animals - Holy Wood*. Najpierw staje się Antychrystem, później nawiązuje do postaci Jezusa. Swobodnie operuje symboliką biblijną. *Antichrist Superstar* to płyta o indywidualności, sile wewnętrznej, o wystawianiu się na pokusy, oglądaniu własnej śmierci i, wreszcie, przezwyciężaniu jej. Śmierć, nienawiść i rozgoryczenie to tematy przewodnie tego albumu. Zupełnie odhumanizowana i agresywna muzyka ilustrowała przeistoczenie z odrażającej larwy w anioła walczącego ze swoją bezsilnością i kruchością.

Osobista Apokalipsa to nowy początek - z Nieba wygnano Antychrysta, na Ziemi miał się wkrótce pojawić androgyniczny mesjasz - Omega. *Antichrist* był albumem o upadku, *Mechanical Animals* opowiadał o tym, co wydarzyło się potem. Zamknięty w bezpłciowej skorupie Manson paradoksalnie odsłaniał się coraz bardziej. Czuł, cierpiał i nadal kopał. Najlepszą obroną jest atak?

Holy Wood była trzecią odsłoną transformacji muzyka. W pewnym sensie Manson przestał bawić się w niuanse. Utożsamił się z Jezusem i ogłosił się męczennikiem za wolność słowa. Nieprzypadkowo. *Holy Wood* powstał po tragicznej strzelaninie w Columbine, podczas której dwaj uczniowie zabili w szkole kilku swoich kolegów i ranili kilkunastu. Opinia publiczna uczyniła z Mansona główne źródło inspiracji nastoletnich morderców. Na *Holy Wood* artysta rozlicza się z tamtymi oskarżeniami, stawiając siebie w pozycji ofiary. Podobny wydźwięk ma występ muzyka w dokumencie Michela Moore'a *Bowling for Columbine*. Rozmowa przeprowadzona na krótko przed koncertem w Denver -



Nie taki diabeł straszny, czyli słów kilka o koncercie sprzed dwóch lat

Słynąca z ekstrawagancji grupa wystąpiła w Polsce w lutym 2001 roku. Jednak wizyta ta od samego początku wzbudziła ogromne kontrowersje i władze robiły wszystko, aby nie dopuścić do przyjazdu Marilyn Manson. Najpierw na przeszkodzie stanęli szefowie katowickiego Spodka, którzy odmówili zorganizowania koncertu w swojej hali. Koncert przeniesiono do Warszawy i kiedy wydawało się, że już nic się nie stanie, do akcji wkroczyli radni Warszawy. Niecałe trzy tygodnie przed koncertem Ewa Gawor, szefowa wydziału bezpieczeństwa warszawskiej gminy Centrum stwierdziła, że wokalista zabija na scenie kurczaki, podpala swojego perkusistę, więc ona się postara, aby koncert się nie odbył. Manson dowiedział się o problemach polskiego promotora i wysłał do radnej Gawor list z zaproszeniem na koncert i kolację po występie. Odmówiła. Kiedy tydzień przed przyjazdem straż pożarna wydała negatywną opinię o imprezie, przyjazd Mansona zawisł na włosku. Organizator koncertu musiał w ciągu kilkunastu godzin uzupełnić rzekomo brakujące dokumenty i cztery dni przed występem Jan Wieteska, burmistrz gminy Centrum, wydał zgodę. Fani odetchnęli z ulgą. Ale jeszcze w przededniu występu wojewoda mazowiecki Antoni Pietkiewicz postanowił przestrzec młodzież przed pójściem na koncert i w oficjalnym oświadczeniu powiedział o Mansonie: „Nie taki diabeł straszny, ale jednak diabeł". I postraszył, że w czasie imprezy będą zastosowane wyjątkowe środki bezpieczeństwa i w razie awantur impreza zostanie przerwana, a ludzie ewakuowani.

Cztery tysiące młodych ludzi nie posłuchało go i świetnie bawiło się na Torwarze. A Manson? Koncert odbył się bez żadnych zgrzytów. Nie taki diabeł straszny, jakim go nasi radni próbowali wymalować.

LEG

zmontowana z głosami oskarżenia rzucanymi przez przeciwników artysty - daje obraz Mansona jako zaszczutego przez media i opinię publicznego zwierza.

Trudno uwierzyć, że Manson nie wkalkulował w swoje prowokacje ryzyka związanego z wykorzystaniem symboliki religijnej. Zrobił wszystko, by stały się one wstrętne i odrażające, jak on sam, jak społeczeństwo, którego on miał być symbolem. Okładka *Holy Wood*, na której ukrzyżowany Chrystus ma twarz Mansona, to dobry przykład. Krucyfiks, z symbolu miłości i męczeństwa, u artysty zmienia się w kawałek drewna z przybitym do niego trupem. Manson z tupetem odzierał kolejne symbole z metafizycznej aury, trywializował je i przekształcał w akcesoria kultury masowej. Dla niego Jezus nie różni się niczym od Jamesa Deana, Marilyn Monroe czy świętego Mikołaja. W jego interpretacji to taka sama ikona pop kultury, co... postać Marilyna Mansona.

KABARETU CZAR

Nowy, kabaretowy wizerunek umożliwił artyście odejście od retoryki, w której zaczynał się plątać. Ta koncepcja pozwala mu nadal być Marilyn Mansonem, pozwala prowokować, ale już bardziej na gruncie sztuki niż agresywnej gry medialnej. „*The Golden Age of Grotesque* to album o wyrażaniu siebie. Wyobraźnia i osobowość jednostki nie mogą być zduszone albo definiowane przez wąskie umysły.
Ta płyta to rodzaj pochwały eskapizmu. Rzeczywistości nie da się kontrolować, ale można stworzyć swój własny świat, nad którym ma się władzę absolutną. Kłopoty zostawia się na zewnątrz, a wewnątrz jest już tylko zabawa" - tymi słowami artysta powitał zebranych w teatrze dziennikarzy. Manson nie złagodniał. Raczej nabrał subtelności. Zamiast jeszcze mocniejszej prowokacji, on... zmienił konwencję. Nie rezygnując z bezkompromisowości.

Nie byłby sobą, gdyby gości w teatrze czymś nie zaskoczył. Kiedy już obejrzeliśmy fragment *Bowling For Columbine* (rzecz jasna tylko ten poświęcony Mansonowi), wysłuchaliśmy nowej płyty, kiedy jego ukochana zrobiła profesjonalny strip tease w wielkim kieliszku absyntu, na pustej scenie pojawił się sam artysta.
W czarnym fraku wyglądał szykownie. Na fortepianie akompaniowały mu syjamskie bliźniaczki. *Dope Show, Alabama Song (Whiskey Bar)* i *The Golden Age of Grotesque* w burleskowym wydaniu ułożyły się w kabaretowy monodram. Wystudiowane gesty, grymasy - przez te kilkanaście minut artysta był bardziej aktorem niż muzykiem. Smutny mim, porzucona marionetka, demoniczny clown, król groteski i absurdu - oto nowy Marilyn Manson. Trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie ten wizerunek pasuje mu najbardziej z dotychczasowych. W idealnych proporcjach miesza się w nim ironia, sarkazm, przewrotność, odrobina agresji, zgorzknienia, cynizmu i filuterności. Nawet pseudonim artysty nabiera w tej konwencji dziwnej świeżości i doskonale wpasowuje się w karykaturalną atmosferę. Marilyn Manson miał być uosobieniem perwersyjnej rzeczywistości. Teraz stał się jej krzywym zwierciadłem.

Na koniec odrzucił swój chaplinowski melonik, skłonił się bezwładnie niczym marionetka, mrugnął porozumiewawczo okiem i znikł tak nagle, jak się pojawił, pozostawiając wszystkich w przekonaniu, że życie to groteskowy kabaret. Niczego w nim nie powinno się brać na serio.

Dagny Kurdwanowska



UWAGA! KONKURS!

WYGRAJ BILET NA KONCERT
MARILYN MANSON

Pewnie większość z was wie, co oznacza nazwa zespołu i jaki klucz towarzyszył tworzeniu pseudonimów muzyków. Proponujemy wam zabawę polegającą na tym, aby wymyślić polskie pseudonimy, idąc tym samym kluczem, co muzycy Marilyn Manson. Najciekawsze, najbardziej pomysłowe i najśmieszniejsze nagrodzimy **piętnastoma biletami na poznański koncert zespołu**, który odbędzie się 10 czerwca oraz **dziesięcioma płytami i dwudziestoma kasetami z najnowszym albumem *The Golden Age of Grotesque***.
Do 4 czerwca czekamy na odpowiedzi tych, którzy chcą być na koncercie. 20 czerwca upływa termin nadsyłania propozycji amatorów płyt i kaset. Kartki prosimy przesyłać z dopiskiem „Marilyn Manson", a maile również opatrzyć tytułem „Marilyn Manson".

Nasz adres:
Redakcja MUZA
pl. Defilad 1, skr. pocztowa 53
00-901 Warszawa
Mail: konkursy@muza.art.pl



„W tym, co teraz tworzę, widać chyba wyraźnie, że moją religią i polityką jest sztuka. I to w nią wierzę i jej będę bronić".

Zacznijmy od kontrowersyjnego dokumentu Michaela Moore'a *Bowling For Columbine*. Zostałeś obarczony winą za strzelaninę w szkole w Columbine. Po tragedii nie dano ci zbyt wielu szans, by się wypowiedzieć publicznie na ten temat. Nie obawiałeś się, że twoje słowa zostaną wykorzystane przeciwko tobie?

Dzień, w którym udzieliłem wywiadu do filmu, to zarazem pierwszy dzień, w którym wróciliśmy na trasę po tym, jak zostałem bezpodstawnie oskarżony o wywarcie wpływu na sprawców tej tragedii. Pojawił się Michael Moore i poprosił mnie o wywiad. Wydaje mi się, że w tym czasie nie miał sprecyzowanej koncepcji projektu. Byłem jedną z pierwszych osób, z którymi rozmawiał. Moich słów mógł użyć w negatywny dla mnie sposób, ale powtórzę to, co zawsze mówiłem i czułem. Jestem mu wdzięczny, bo dzięki temu filmowi wiele osób zmieniło zdanie na mój temat.

Nowa płyta wydaje się mniej prowokacyjna. Zacząłeś unikać tematów związanych z religią i polityką?

Na moich trzech poprzednich płytach było sporo polityki, ale ostatnio zdałem sobie sprawę, że teraz moją polityką i religią jest muzyka. Chciałem pokazać się na tym albumie od bardziej prywatnej strony, nawet jeśli z pozoru nie tak to wygląda. Zajrzałem w siebie znacznie głębiej niż dotychczas i wyrzucam stamtąd to, co mnie nurtuje, zamiast atakować i podkreślać, że w jedno wierzę, a drugie odrzucam. W tym, co teraz tworzę, widać chyba wyraźnie, że moją religią i polityką jest sztuka. I to w nią wierzę i jej będę bronić.

Jaki temat przyświeca nowemu albumowi, *The Golden Age of Grotesque*?

Piosenki z tej płyty mówią głównie o związkach z ludźmi – z dziewczynami, ze światem, z przyjaciółmi. Oni wszyscy starają się zmieniać w człowieku to, czego nie umieją zrozumieć. Odnosi się to również do mojego zespołu, który ostatnio zmienił skład. Rozstałem się z moim przyjacielem Twiggym, który poszedł inną drogą. Tak było jednak najlepiej dla nas obu. Dla nas i dla samej muzyki, ponieważ w pisanie nowych numerów włożyłem niespotykany dotąd entuzjazm. Czuję się jak nowo narodzony, dokładnie tak, jak na początku istnienia zespołu.

Po raz kolejny zmieniasz wizerunek. Szybko się nudzisz swoimi nowymi wcieleniami.

Pomysł na postać Marilyn Mansona zakłada ciągłą przemianę. Gdybym miał iść wciąż tą samą drogą, przeszedłbym w niebyt. Dlatego wymyśliłem swój image. Tak jak Walt Disney stworzył Mickey Mouse – powstał wizerunek, w który można było ładować różne pomysły i pokazywać je potem światu. Niektórym się to podoba, inni tego nie znoszą. Tak ma być.

Wiele elementów twojego nowego wizerunku kojarzy się z międzywojennym Berlinem.

Zawsze fascynowała mnie symbolika związana z Berlinem lat 30. Ludziom wydawało się, że to miasto jest jak wyniosła kobieta, której nie sposób posiąść. Ta ogromna liczba wybitnych dzieł sztuki, które tam powstawały. Filmy, aktorzy, pieśniarze... Wszystkie te wspaniałości uznano za niebezpieczne i w końcu zniszczono, wymazano, zrównano z ziemią.

Czy muzycznie też starałeś się nawiązać do tamtej epoki?

Inspirowaliśmy się różnymi rodzajami muzyki. W naszej twórczości zawsze był element swingu, np. numery *Beautiful People*, *Rock Is Dead* i *The Dope Show* są bardzo swingujące. Na nowej płycie jest taki właśnie utwór – *Doll-Dagga-Buzz-Buzz Ziggety-Zag* – rytmiczny jak numer bigbandowy. Napisałem go, gdy zobaczyłem raz w hotelu ludzi tańczących swing. Miałem wrażenie, że ci 40-latkowie „pogują", jak publika na koncertach punkowych. W tym kawałku chciałem oddać taki właśnie rodzaj energii – typowy dla Berlina i Hollywood lat 30. To było tuż przed wojną i ludzie żyli na całego, jakby nazajutrz miał nastąpić koniec świata. Intryguje mnie, że żyjemy w podobnych czasach, a historia znowu się powtarza. Jeszcze rok temu nie miałem zamiaru napisać takiego ironicznego numeru – pisałem o przeszłości, nie zakładając, że przyszłość przyniesie to samo. Żałuję, że tak się dzieje, ale wodewil, burleska i kabaret, cały ten „teatr groteski" i okropieństwa, oglądane na scenie, miały odwrócić uwagę ludzi od tego, co się dzieje na świecie. Chociaż czasami inaczej to rozumiano.

Co nas zatem czeka w *Złotym Wieku Groteski*?

Tytuł nowej płyty, *The Golden Age Of Grotesque*, nawiązuje do epoki, w której wraca do łask sztuka niebezpieczna i zdegenerowana. Głównym tematem albumu są jednak związki między ludźmi, więc wyrażam się tu bardziej bezpośrednio – zarówno od strony muzycznej, jak i tekstowej. Mój sposób śpiewania też jest tutaj inny, dzięki czemu nawet ludzie nie znający angielskiego wyczują ten klimat wyłącznie poprzez moje interpretacje. Stwo-

Publiczność jest integralnym elementem procesu twórczego.





Niech mi nikt nie mówi, że rozrywka nie jest sztuką.

rzyliśmy także sporo materiałów wizualnych, które zostaną wykorzystane na płycie i podczas tournée. Próbowaliśmy zakopać przepaść między tymi rodzajami sztuki. A sztuką nie jest przecież tylko to, co sam tworzę. Pełnię można uzyskać dopiero wtedy, gdy komuś się moje dzieło spodoba. Dlatego sama płyta nie jest produktem skończonym, dopóki ktoś jej nie posłucha. Publiczność jest integralnym elementem procesu twórczego.

Jak układa się współpraca z twoją dziewczyną? Możemy ją podziwiać w teledysku do *mOBSCENE*, występuje też z tobą na scenie...
Jest bardzo niezależna i ma silną wolę. Dostrzegam w niej wszystko, co pragnąłem widzieć w kobiecie, gdy byłem jeszcze nastolatkiem. Wygląda jak postać, która wyskoczyła z fotografii. Taka zresztą jest w życiu. Ona po prostu jest i pragnie być dziewczyną z plakatu, który wiesza się nad łóżkiem. Bardzo mnie to kręci. Jest dla mnie ogromnym źródłem inspiracji. I też lubi lata 30. Ma na mnie dobry wpływ. Lubi mnie takiego, jaki jestem, i nie próbuje nic zmieniać.

Co zadecydowało o wyborze Tima Skolda na współproducenta płyty?
Po raz pierwszy pracowałem z Timem Skoldem nad coverem *Tainted Love* i spodobało mi się jego podejście do rytmów i programowania. To chyba najlepszy producent, z jakim miałem do czynienia, bo udało mu się uprościć brzmienie Marilyn Manson. Wielu producentów nie pozwala muzykom stosować rozwiązań, bo wydają im się niewłaściwe albo „niedozwolone". Często sam musiałem zajmować się obróbką studyjną swojego materiału. Po prostu patrzę na te wszystkie suwaki na konsolecie i kombinuję tak długo, aż osiągnę pożądany efekt. Może to dziecinne, ale w ten sposób uzyskałem na tej płycie brzmienie lepsze niż na wcześniejszych albumach. Tim czasami przekonywał mnie, żebym nie zmieniał tego, co już zostało nagrane. Przez to większość wokali na tej płycie trafiła tu w pierwszej wersji, jaką uwieczniliśmy na taśmie. Chodziło nam o zachowanie spontaniczności i szczerości przekazu, którą zapewne zatracilibyśmy, gdyby doszło do przeróbek.

Dlaczego chwyciłeś za pędzel? Muzyka przestała ci wystarczać?
W ciągu ostatnich lat namalowałem sporo obrazów. Robiłem to wtedy, gdy nie umiałem wyrazić siebie poprzez muzykę. Malowałem tylko dla własnej przyjemności, dla relaksu. Czasami robiłem portrety i po prostu rozdawałem je znajomym. Nigdy nie miałem zamiaru nikomu ich pokazywać, ale dotarły mnie słuchy, że te obrazy się podobają i ludzie chcą je oglądać. Zdecydowałem więc wystawić je na sprzedaż. Nie było to łatwe, bo nie chciałem rozstawać się z moimi dziełami, ale jak człowiek chce być malarzem, to niestety musi to robić. Ostatnio jednak nie mam czasu na malowanie.

Twój nowy wizerunek i muzyka wydają się być bardziej plastyczne niż dotychczas.
Stworzyłem ten album z obrazów, które rodzą się w mojej głowie. Na przykład budzę się rano i chcę napisać numer o brzmieniu płonącego fortepianu. Albo czuję nagle w sobie kawałek ze słoniem pomalowanym na czarno. Gdy potrzebowałem bliźniaczek syjamskich, po prostu je stworzyłem, zszywając ze sobą dwie dziewczynki. A potem je sfilmowałem. Pojawią się na zdjęciach w książeczce do albumu i na płycie DVD, która ukaże się wkrótce po premierze nowego materiału. Koncerty będą bardzo efektowne – oprócz muzyków na scenie będą zwierzęta i dziwne kobiety. Dla ludzi, którzy nie żyją tak jak ja, będzie to pewnie „pokaz osobliwości", ale dla mnie to wszystko jest normalne i zabawne, bo pochodzi z mojego wnętrza. Tych, którym nie trafia to do przekonania, spróbuję tą płytą przekonać do swojego świata. W żadnym wypadku nie będzie to cyrk, prędzej wybuchowa mieszanka rozrywkowo intelektualna. Mam nadzieję, że dam ludziom do myślenia. Niektórzy będą narzekać, inni będą zachwyceni. I niech mi nikt nie mówi, że rozrywka nie jest sztuką. Przeciwnie – umieć kogoś dobrze zabawić potrafi tylko prawdziwy artysta.

Rozmawiała Kalina Gumiś

Mam nadzieję, że dam ludziom do myślenia.



Fot. Universal.



Foto: Studio 69

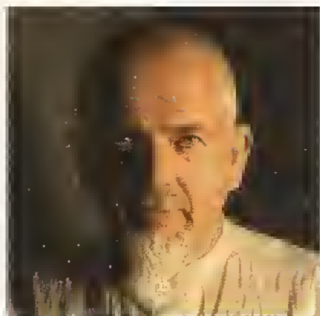
Trzynastego...

W piątek trzynastego o godzinie 13.13, w jednym z warszawskich mieszkań dokonano morderstwa. Na szczęście był to tylko plan teledysku **Trzynastka** *Projektu SI 031.*

Po domu kręcą się Kasia Nosowska i Mietall Waluś z zespołu Negatyw przebrani za detektywów, Andrzej Smolik bawiący się w tajnego agenta, Kuba Wandachowicz z Cool Kids Of Death udający policjanta, Paweł Krawczyk z Heya wszystko fotografuje, a Jacek Lachowicz ze Ścianki i Józek - pomysłodawca *Projektu SI 031* - założyli białe fartuchy sanitariuszy. Natomiast Guzik z Homosapiens i Ania Dąbrowska, finalistka Idola leżą na podłodze udając trupy. Dookoła porozrzucano rzeczy, stłuczono lustro, na ścianie pojawiły się ślady krwi. Na koniec sanitariusze wynieśli Guzika i Anię w czarnych workach. Zdjęcia się zakończyły. Teledysk od 19 maja można oglądać na ekranach telewizorów.

Projekt SI 031 wymyślił Paweł „Józek" Jóźwicki, na codzień szef Sissi Records. Udało mu się zebrać czterdziestu najpopularniejszych muzyków polskiego undergroundu, grających m.in. w zespołach Ścianka, Homosapiens. W nagraniu płyty uczestniczyło też kilka osób z muzycznego topu, m.in. Kasia Nosowska i Przemek Myszor z Myslovitz. Tylko część z nich pojawiła się na planie teledysku.

muza na żywo



Peter Gabriel (na zdjęciu) zaprezentuje się 30 maja na stadionie poznańskiego klubu Lech. Jego koncert będzie częścią światowej trasy *Growing Up 2003*. Występ uświetni obchody 850-lecia Poznania. Bilety na imprezę są w cenach od 80 do 140 złotych.

2-5 czerwca to polska część trasy **The Gathering, Naamah i April Ethereal.** Smutnych dźwięków będzie można wysłuchać w Warszawie (2.06), Katowicach (3.06), Rzeszowie (4.06) i Wrocławiu (5.06).

3 czerwca będzie świętem dla fanów **Iron Maiden**. Zespół Steve'a Harrisa i Bruce'a Dickinsona wystąpi w katowickim Spodku. Koncert jest częścią trasy *Give Me Ed..., Til I'm Dead Tour 2003*. Żelazna dziewica torturować będzie w najbardziej znanym zestawieniu (Harris, Dickinson, Murray, Smith, McBrain, Gers). Na pokaz można się dostać za 80 lub 90 PLN.

Marilyn Manson znów przyjedzie do Polski i zagra 10 czerwca w poznańskiej Hali Areny. Występ będzie częścią trasy promującej nowy album artysty *The Golden Age Of Grotesque*. Na koncert będzie można się dostać za 85 i 95 PLN. Manson był już w Polsce dwa lata temu. Wtedy jego przyjazdowi towarzyszył skandal wywołany przez władze Warszawy. Mamy nadzieję, że poznańscy radni nie pójdą ich śladem.

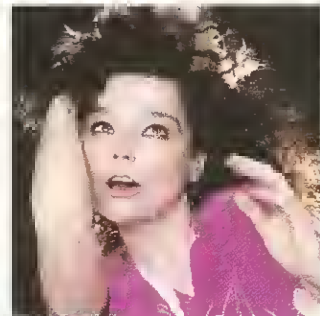
Fani rocka progresywnego powinni wyciągnąć z pawlaczy śpiwory i przygotować się na dwudniówkę, bowiem w dwa czerwcowe dni na deskach warszawskiej Sali Kongresowej zaprezentują swoje wdzięki rodziciele rocka progresywnego - **Yes** i **King Crimson**. Jako pierwsze pojawi się Yes (15.06) w najbardziej znanym składzie (Anderson, Howe, White, Squire, Wakeman). Dzień później zagra grupa ekscentrycznego Roberta Frippa, czyli King Crimson. Na każdą z tych przyjemności trzeba będzie wysupłać z kieszeni od 100 do 250 PLN.

Fińskie trio **Apocalyptica** zaprezentuje swoje nietuzinkowe umiejętności na trzech koncertach. Heavymetalowe wyjianie na wiolonczelach odbędzie się w Warszawie (17.06), Krakowie (18.06) i Poznaniu (19.06).

Jeden z najsłynniejszych artystów ostatnich lat, Amerykanin **Moby** przyjedzie 21 czerwca i ożywi dźwiękami Tor Łyżwiarski na warszawskich Stegnach. Moby naprawdę nazywa się Richard Melville Hall, a do naszego kraju przyjedzie w ramach trasy promującej ostatnią płytę *18*.

Peter Steel, jeden z największych muzyków rockowych ostatnich lat (ma ponad 2 metry wzrostu) znów zawita wraz ze swoim **Type O'Negative** do Polski. Będzie go można zobaczyć w warszawskiej Stodole 8 lipca.

10 lipca na boisko warszawskiego klubu sportowego Gwardia powróci pierwsza liga. Niestety nie piłkarska, a muzyczna w postaci występu jednego z najpopularniejszych rockowych zespołów świata – **R.E.M.** Na imprezę trzeba wyłożyć 80 złociszy. Przed Stipem i kumplami publiczność bawić będą nasi ukochani **Püdelsi**.



Słynna islandzka muza **Björk** (na zdjęciu) wystąpi 12 lipca na sopockim molo. Jej występ odbędzie się w ramach W Festiwalu – imprezy, której pierwsza edycja odbyła się w zeszłym roku. Wtedy gwiazdą była Morcheeba. Na molo będzie można wejść za 80 PLN, a w dniu koncertu trzeba będzie dać dwie dychy więcej.

31 sierpnia pobujamy się w się rytmach reggae przy **Black Uhuru**, legendzie tego gatunku. Jedyny występ zespołu odbędzie się w warszawskim CDQ.

Niezwykle popularne ostatnio angielskie trio **Placebo** zapowiedziało na 6 września przyjazd do Warszawy. Zespół ma zaprezentować się na Torwarze.



MUZA NA BEZLUDNĄ WYSPĘ



Janusz Kamiński

Światowej sławy operator, zdobywca Oskarów za filmy *Lista Schindlera* i *Szeregowiec Ryan*. W marcu wyreżyserował teledysk *Myslovitz*.

Moja ulubiona muzyka? Bardzo ciężko wymienić, bo muzyka w moim życiu jest i zawsze była bardzo ważnym elementem. Dla mojej generacji muzyka i film były źródłami poznawania świata, ponieważ my nie mogliśmy podróżować. Wyrastałem w środowisku, gdzie nie było dostępu do zachodnich płyt. Słuchało się *Minimaxu* Piotra Kaczkowskiego. To było niesamowite - on grał całe longplay'e, a ja jako szczeniak siedziałem przy radiu i wszystko nagrywałem. Trzeba było tak robić, bo płyt nie było w normalnej sprzedaży. Tylko ludzie przywozili z Zachodu i sprzedawali na bazarach, ale kosztowały równowartość dwunastu dolców, a za tyle można było w ówczesnej Polsce przeżyć miesiąc. Dzisiaj, jak wchodzę do sklepu z płytami, to kupuję trzydzieści – pięćdziesiąt kompaktów za jednym razem. Słucham wszystkiego: od *Linkin Park* przez *Coldplay* do reggae. A co najbardziej lubię? Pierwszy album *Pearl Jam*, którego słuchałem podczas kręcenia *Listy Schindlera*. Niesamowite jest *U2*, które kocham za wszystkie płyty. *Linkin Park* i *Lenny Kravitz* ma kilka niesamowitych piosenek. Podoba mi się też *Coldplay* i *Myslovitz*. Bardzo fajna jest *Avril*, *Queen*, *White Stripes*, *Mick Jagger*. No i nie mogę zapomnieć o *The Rising Bruce*'a *Springsteena*. Płyta fantastyczna. Byłem też na jego koncercie, który pozostawił na mnie niezapomniane wrażenie.

Gadka Szmatka

„34 m2, umeblowane, w Centrum, dla 1 lub 2 mężczyzn, przy jednym mężczyźnie, c. 1200 zł/mc do uzgodnienia".
Ogłoszenie w gazecie Oferta w dziale „mieszkania do wynajęcia".

„Kropla talentu w oceanie ambicji"
Mick Jagger o Madonnie w połowie lat 80.

„Taką twarz może kochać tylko mama"
Piotrek Stelmach (Trójka) w redakcji Muzy. O sobie.

„O Boże, o Boże! Pralka cieknie na balkonie. Całe pranie poszło przez dziesięć pięter"!
Telefon od słuchacza na antenie Radia Jazz.

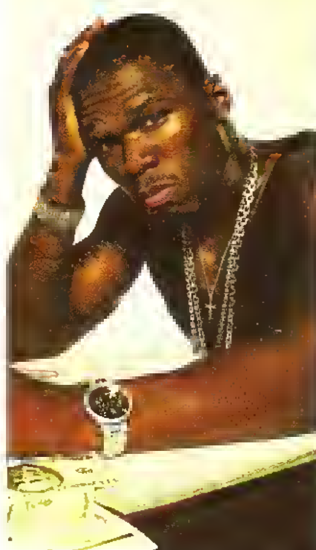
„Nie puszczę wam teledysku Mansona, bo dzisiaj są urodziny Papieża"!
dziennikarz TVP do LG i DW zaproszonych do programu 18 maja

Założył wytwórnię płytową

50 Cent, słynny podopieczny Eminema, którego debiut *Get Rich Or Die Tryin'* podbija listy przebojów na całym świecie, postanowił założyć własną wytwórnię płytową. Firma będąca oddziałem *Interscope Records* nazywać się będzie *G-Unit Records*. Pierwszym albumem wydanym przez nową wytwórnię *50 Centa* będzie płyta zespołu *G-Unit*, w skład którego obok samego rapera wchodzą *Tony Yayo* i *Lloyd Banks*.

- Najpierw wypuszczę własny album, żeby zwrócić uwagę publiczności – wyjaśnia *50 Cent*. – Jeśli zdobędzie zainteresowanie, pojawią się kolejne płyty.

Debiutancki album *50 Centa*, od momentu premiery w lutym, znalazł już w Stanach Zjednoczonych ponad 4 miliony nabywców. Tymczasem prasa brytyjska rozpisuje się nie tyle o jego sukcesach zawodowych, co o romansie z Beyoncé Knowles, wokalistką *Destiny's Child*. Piosenkarka ponoć zerwała dla niego z raperem *Jay Z*.



Brygada dobra na kryzys

Jak kryzys w pełni, to na scenie muzycznej znów pojawia się weteran polskiej sceny niezależnej - Brygada Kryzys.
Tomek Lipiński i Robert Brylewski (na zdjęciu) – liderzy Brygady - już po raz drugi postanowili reaktywować legendarny zespół. Poprzednie wskrzeszenie miało miejsce w latach 1989 - 94. Trzecie wcielenie Brygady Kryzys pojawiło się na początku tego roku. Pierwszy koncert miał miejsce 24 kwietnia w sopockim SPATiFie, a w czerwcu będzie kolejnych pięć (m.in. w Krakowie, Poznaniu, Warszawie). Obok liderów Brygadę tworzy trzech muzyków trójmiejskiej formacji Transistors. W planach jest wydanie płyty winylowej z rejestracją pierwszego koncertu i nagranie albumu z premierowymi piosenkami.
Brygada Kryzys powstała w 1981 roku. Ma na swoim koncie trzy płyty, będące już klasyką polskiej muzyki rockowej. Przed trzecim powstaniem Brygady, Brylewski współpracował z zespołem Świat Czarownic, a Lipiński z Tiltem, który postanowił definitywnie rozwiązać. Po raz ósmy!

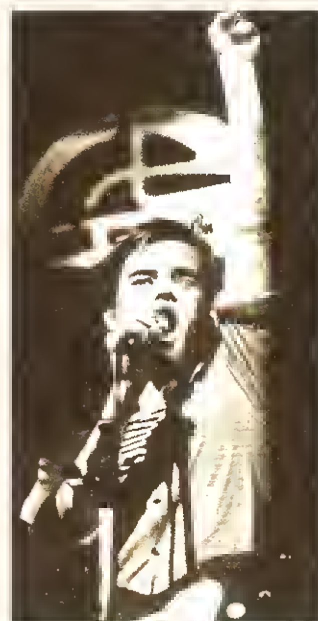


Foto: Pomaton EMI, Universal, Agencja Piękna

Nie tylko muza


Kelly Osbourne

Osbourne'owie rozstali się z wytwórnią Sony. Kto pierwszy powiedział „żegnam" – nie wiadomo. Faktem jest, że debiutancka płyta *Kelly Shut Up* znalazła mniej niż 150 tysięcy nabywców. Rozczarowało to zarówno młodą wokalistkę jak i wytwórnię. Ze współpracy z Sony nie był ostatnio zadowolony również jej ojciec, Ozzy Osbourne, który przez 23 lata był związany z tą wytwórnią. Mówi się, że wpływ na decyzję miało odejście w styczniu bieżącego roku z Sony Music jej wieloletniego szefa Tommy'ego Mottoli. Przez wiele lat troszczył się on, aby Ozzy'emu było w Sony Music możliwie jak najlepiej. Osbourne'owie zapewniają, że nie doszło do żadnych nieporozumień i rozstanie odbyło się w przyjacielskiej atmosferze. Sony nie komentuje rozstania z Osbournami.

* * *


Robbie Williams

Robbie Williams zapewnia, że nie zależy mu na rynku amerykańskim, ale wytwórnia EMI robi wszystko, by piosenkarz jednak podbił USA. Nowym pomysłem promocji jego płyty *Escapology* jest obniżenie jej ceny. Ma ona kosztować jedynie 6 dolarów! Wydawnictwo będzie tym samym dużo tańsze od płyt rywali i według zamierzeń EMI, pokona konkurencję. Wszystko po to, aby album dostał się do Top 50 amerykańskiej listy przebojów. Trudno się dziwić zabiegom wytwórni, skoro za ostatni kontrakt płytowy gwiazdora zapłaciła ponad 120 milionów dolarów. Tymczasem Robbie szykuje się do promocyjnej trasy koncertowej po Europie. W jego tournee ma wziąć udział córka Ozzy Osbourne'a, Kelly. Para poznała się podczas sylwestrowego party, które Ozzy i Sharon Osbourneowie urządzili w Los Angeles - wokalista był tam jednym z gości. Ich trasa rozpocznie się 28 czerwca w Edynburgu.

* * *

Duet Tatu miał problemy z nagraniem teledysku do piosenki *Show Me Love*. Zdjęcia miały powstać na Westminster Bridge w Londynie. Na planie już od rana zbierały się uczennice ubrane w szkolne mundurki. Kiedy zebrało się ich ponad sto, interweniowała policja. Dziewczęta wprawdzie nie zachowywały się szczególnie niegrzecznie, ale sama ich obecność ponoć przeszkadzała w obradach znajdującego się niedaleko parlamentu.
„O zdjęciach zawiadomiono nas zaledwie 24 godziny przed ich rozpoczęciem, a setka statystek i mnóstwo fanów powoduje zamieszanie wokół parlamentu" powiedział rzecznik Metropolitan Police. Jako nową lokalizację wybrano okolice Tate Modern w centrum miasta. Do Julii Wolkowej i Leny Katiny dołączyło w sumie 300 dziewcząt. W teledysku pojawią się także zdjęcia Rosjanek razem z ich fanami z Londynu, Tokio oraz Los Angeles.

* * *

Amerykański raper Dr. Dre musi zapłacić ponad półtora miliona dolarów za naruszenie praw autorskich. Tak orzekł sąd w Los Angeles. Mogło być gorzej, bo angielska wytwórnia Minder Music Ltd., która wniosła pozew, domagała się 3,5-milionowego odszkodowania. Sprawa ciągnęła się od trzech lat. Dr. Dre był oskarżony o bezprawne użycie w swoim utworze *Let's Get High* linii basu, pochodzącej z piosenki grupy Fatback Band *Backstrokin*. Raper tłumaczył, że świadomie wykorzystał ten motyw, ale po wcześniejszej konsultacji z muzykologiem, który stwierdził, że jest on własnością publiczną. Sąd stanął jednak po stronie oskarżycieli i nakazał wypłatę odszkodowania.

* * *



■ 3 czerwca wieczorem pojawią się w Warszawie Kirk Hammett i James Hetfield, gitarzyści Metalliki. Będą tylko 24 godziny. Ich przyjazd związany jest z płytą *St. Anger*, której premiera przewidziana jest na 9 czerwca. Kirk i James udzielą kilkudziesięciu wywiadów i spotkają się z fanami. Potem pojadą do Niemiec na serie koncertów (m.in. na festiwalach Rock Am Ring, Rock Im Park, Roskilde). Do Europy mają wrócić zimą – możliwe, że na początku przyszłego roku zagrają koncert w naszym kraju.

■ Fatboy Slim pracuje nad remiksem jednej z najbardziej klasycznych kompozycji zespołu The Rolling Stones - *Sympathy For The Devil*. Mick Jagger z kolegami zgodzili się na elektroniczną przeróbkę swojego utworu, gdyż przypadł im do gustu wcześniejszy remiks sławnego producenta jeszcze sławniejszej ich piosenki - *(I Can't Get No) Satisfaction*. Liczą także, iż nowa wersja *Sympathy For The Devil* pozyska grupie kolejną generację fanów. Remiks usłyszeć będzie można już podczas letnich imprez z udziałem Fatboy Slima.

■ Richie Blackmore nakręcił teledysk pod... ziemią. Dawny gitarzysta Deep Purple, a obecnie lider grupy Blackmore's Night wybrał Kopalnię Soli w Wieliczce na miejsce akcji nowego klipu. Wyreżyserowała go Vanessa Warwick, gwiazda MTV z lat 90. (długowłosa blondyna, która prowadziła *Headbangers Ball*). Teledysk ma promować nowy album zespołu *Ghost Of A Rose*, który pojawi się na początku lipca.

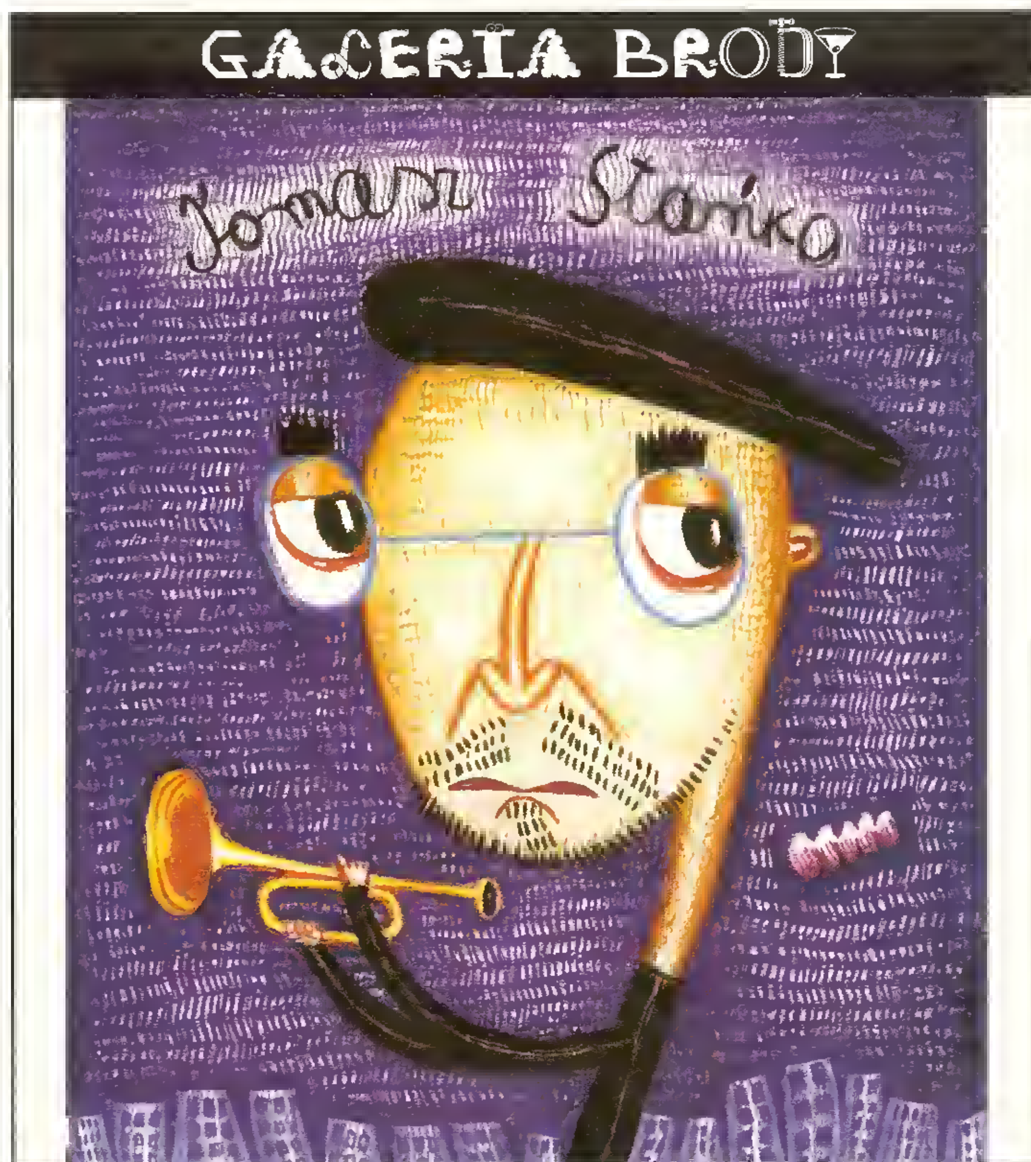
■ Eminem, Avril Lavigne, The Backstreet Boys i Nelly to tylko niektórzy z artystów, których parodiuje na swojej nowej płycie Weird Al Yankovic. Album zatytułowany *Poodle Hat* trafił do sklepów pod koniec maja. Promować go będzie piosenka *Couch Potato*. Jest to parodia utworu *Lose Yourself* z repertuaru Eminema. Weird Al Yankovic komentuje w niej amerykańską obsesję na punkcie mediów i sławy. Niestety nie będzie towarzyszyć jej teledysk. Eminem łaskawie pozwolił wykorzystać swój przebój, ale nie wyraził zgody na nakręcenie wideoklipu, mimo że jego realizacja była już w toku. Mistrz muzycznych parodii jest rozczarowany postawą rapera. „Chyba wydaje mu się, że taki teledysk w stylu Weird Ala mógłby deprecjonować jego dorobek artystyczny lub sprawić, że jako wykonawca hip-hopowy nie byłby traktowany z należytą powagą" - stwierdził rozczarowany Yankovic, który zasłynął parodiami *Bad* Michala Jacksona i *Smeels Like Teen Spirit* Nirvany.



Fred Spóźnialski

Limp Bizkit w pocie czoła pracują nad nową płytą. Jej premiera, wielokrotnie już przesuwana, została wyznaczona na wrzesień.
Początkowo Fred Durst zapewniał, że wraz z nowym gitarzystą Mikiem Smithem sprężą się i album ukaże się jeszcze wiosną. Jak jednak donosi oficjalna strona zespołu Limp Bizkit obecnie znajduje się w fazie nagrywania wokali. Zgodnie z tym, co pisze Durst, pierwszy singel powinien ukazać się przed letnią trasą koncertową, a cały album zatytułowany *Panty Sniffer* ma się pojawić w pierwszym tygodniu września.

GALERIA BRODY



Rys: Tomasz Broda

Ostatni spektakl NORD-OST



Foto: Sony Music, Pomaton EMI, archiwum, Universal

Słynny rosyjski musical *Nord-Ost* – pojawi się 27 czerwca w Polsce. Ma to być ostatni spektakl w jego historii.
Nord-Ost jest najpopularniejszym przedstawieniem musicalowym w historii Rosji. Przez 15 miesięcy 410 spektakli obejrzało ponad 400 tysięcy ludzi. Jest też jednym z najbardziej widowiskowych w dziejach tego gatunku i jedynym na świecie, podczas którego na scenie ląduje samolot wojskowy o piętnastometrowej rozpiętości skrzydeł! Świetną passę przerwał 23 października ub.r. czeczeński atak terrorystyczny, który zakończył się śmiercią 129 osób. Zamach odbił się głośnym echem na świecie. *Nord-Ost* wznowiono w lutym b.r., ale nie cieszył się tak wielkim powodzeniem, jak przed atakiem i zdjęto go z afisza 10 maja.
Musical oparty jest na powieści Weniamina Kawerina *Dwaj kapitanowie* – wzruszającej historii o przyjaźni, odwadze i wystawionej na poważną próbę miłości dwojga ludzi. Akcja rozpoczyna się w 1913 roku, zaś finał to środek II wojny światowej.

Rosjanie zaprezentują się w Polsce tylko raz, właśnie 27 czerwca w warszawskiej Sali Kongresowej

Newsy przygotowali: Agnieszka Borkowska i Leszek Gnoiński



KAZIK

zwierzenia czterdziestolatka

Kazik Staszewski nagrał płytę z piosenkami Toma Waitsa. Zaśpiewał je podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, akurat w dniu, w którym skończył 40 lat. 30 maja w warszawskiej Sali Kongresowej zaśpiewa je po raz drugi.

Podobno twórczość Waitsa znasz wyrywkowo. To w takim razie, co cię skusiło, aby zaśpiewać jego piosenki?

Kasa (śmiech)! Propozycja wyszła od Romka i Ewy Kołakowskich od razu po nagraniu płyty z utworami Weilla, czyli dwa lata temu. Potem Efcia załatwiła prawa na publikację i trwało to tak długo, że właściwie zapomniałem o tym pomyśle. I nagle, pod koniec zeszłego roku zadzwoniła do mnie i powiedziała, że Waits wyraził zgodę i mam cztery miesiące na zrobienie płyty. *Z Piosenkami Toma Waitsa* było podobnie, jak ze wszystkimi innymi moimi projektami z wyjątkiem Kultu – były propozycjami innych osób. Musiało mi się podobać. Tak było z solowymi projektami z początku lat 90., tak było też z KNŻ i z Weillem, którego twórczości prawie nie znałem. Generalnie potrzebuję ludzi, którzy podsyłają mi jakieś pomysły, bo sam nie wpadam na nie za często.

Jak już poznałeś lepiej twórczość Waitsa, polubiłeś ją?

Bardzo. Na początku myślałem, że jego piosenki są ciężkie i chropowate. Natomiast po odarciu z brudów aranżacyjnych wylazły nam słodkie i przebojowe melodie ocierające się niemalże o słodycz na granicy kiczu. Postanowiłem ponownie ich nie „zbrzydzać". Przecież nie będę ścigać się z mistrzem, bo przegrałbym już na starcie. Jak słucham z perspektywy czasu, widzę, że udało mi się narzucić tym piosenkom jakąś tam swoją stylistykę.
Waits pisze piosenki nieporównywalnie prostsze niż Weill.
U Weilla na ten przykład był utwór, w którym było 36 akordów.
U Waitsa takich rzeczy nie ma, choć jest piosenka, w której do dzisiaj nie mogę połapać się w refrenach.

Która to?

Rozpacz płynie rzeką poprzez świat. Jest w niej takie miejsce, które nie wiedziałem, jak zaśpiewać. Do dziś nie wiem. I wykonał je Olaf Deriglasoff. Przynajmniej zabrzmiało różnorodnie. Do reszty sprawnie, na tyle, na ile mnie stać, podłożyłem polskie wersje i przestałem słuchać oryginałów.

Dlaczego?

Nie chciałem się nimi sugerować. Tylko raz w czasie sesji słuchałem oryginałów i przeżyłem wtedy spore zaskoczenie. Ktoś pożyczył mi film Big Time z koncertem Waitsa. Włączyłem, zacząłem słuchać i pomyślałem: „co za dziwne wersje, co za dziwne teksty". Bo Romek po swojemu je spoetyzował. Zrobił bardziej przystępne, wprowadził w nasze realia. Ja też trochę pozmieniałem. Tak jak w *Cmentarnej polce* spolszczyłem imiona.
Posłużyła mi do tego toruńska część rodziny mojej żony Ani.

Ten wujek bez nogi z tekstu też jest prawdziwy?

Tylko imionami ich ochrzciłem (śmiech). Wuj Rysio, wuj Filip naprawdę istnieją, ale kończyny mają wszystkie. A w *Tuż za oknem* zamieniłem amerykańskie miasteczka na polskie blokowisko.

– Potrzebuję ludzi, którzy podsyłają mi jakieś pomysły, bo sam nie wpadam na nie za często.

Czy identyfikujesz się z tekstami, które zaśpiewałeś na płycie?

Nie. Wykonuję teksty Romka, bo jest pierwszą osobą, której teksty śpiewając, nie czuję obciachu. Jego poezja jest nad wyraz piękna, ale czy z każdym pięknem mam się od razu identyfikować? Z taty tekstami też żem nie czuł nadrzędnej potrzeby identyfikacji. Jedne i drugie są, po prostu, dobre.

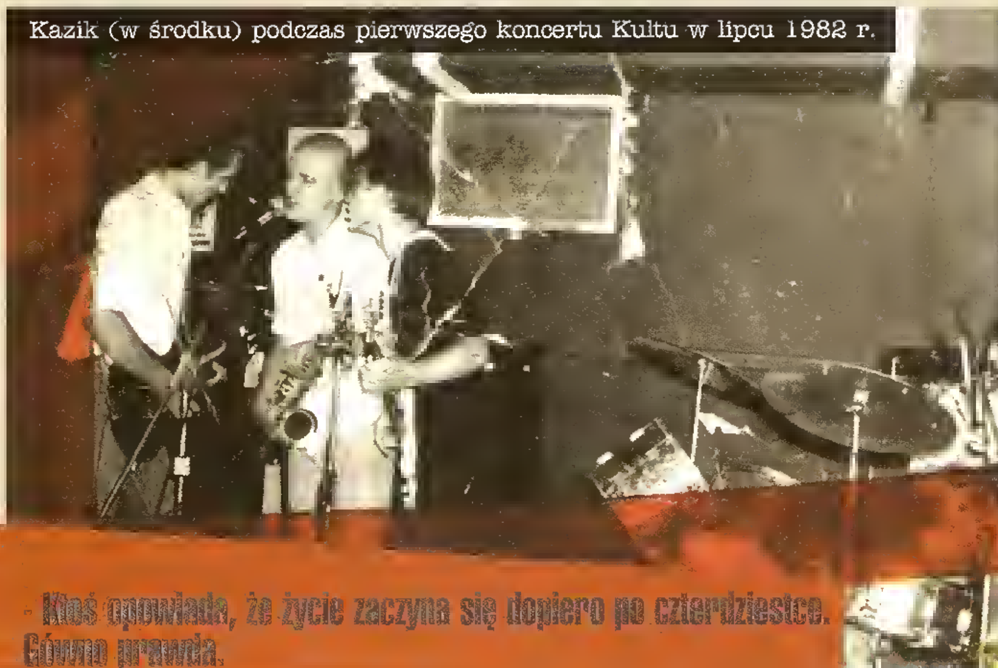
Czy są jeszcze artyści, których tłumaczenia zaśpiewałbyś? Może Dylan lub Cohen?

Przez najbliższy rok na pewno nic takiego nie zrobię. A potem? Usiądziemy z Romkiem i coś wymyślimy. Tylko trzeba by wytrzasnąć kogoś zupełnie z innej beczki. Dylan i Cohen to jednak szeroko pojęty rock, no, raczej szeroko pojęty etos kultury anglosaskiej. Ale taki Brel, Covarius czy Wysocki. Czemu nie?





– Ktoś podczas sesji pożyczył mi film Big Time z koncertem Waitsa. Włączyłem, zacząłem słuchać i pomyślałem: „co za dziwne wersje, co za dziwne teksty".


Kazik (w środku) podczas pierwszego koncertu Kultu w lipcu 1982 r.


Kazik 1986 r.

Ktoś opowiada, że życie zaczyna się dopiero po czterdziestce. Gówno prawda.

Zaśpiewałeś teksty napisane przez kogoś innego. Co sądzisz o zawodowych tekściarzach?
Bardziej autentyczni są muzycy piszący. Zawsze bardziej istotny był dla mnie Ciechowski i Maleńczuk, Janerka czy Grabaż, niż Panasewicz i Markowski oraz ich Mogielniccy i Olewiczowie. Teksty pisane dla kogoś przeważnie pozbawione są ducha, jak Niemcy określają geist. Są takie rzemieślnicze. Ale rzemieślnicy też są potrzebni. Krzywy kiedyś przysiadł się w autobusie i pyta: „Powiedz, jak się pisze teksty?". „No wiesz, siadasz i piszesz" odpowiedziałem. „Cholera, bo ja tak siadam, biorę pióro i... nic". Właśnie, tego się nie umie, to się ma, to nie jest do zwerbalizowania, tego albo się nie wie, albo się nie ma.

A jeżeli ktoś zaproponowałby tobie napisanie tekstu na zlecenie. Przyjąłbyś?
Jeżeli napisałbym coś bardzo fajnego, żal by mi było oddać. A chujowe? Te z kolei pachniały socjalistyczną fuszerką. Wychodzi na to, że jednak nie chciałbym napisać.

Powiedziałeś, że możliwość nagrania płyty *Piosenki Toma Waitsa* pojawiła się dość niespodziewanie. Czy miałeś w tym czasie inne plany?
W zeszłym roku niewiele robiłem. Od września miałem coś zacząć, ale ciężko było wejść w rytm. Popadam w skrajności. Jak się opierdalam, to na całego, jak pracuję, to też na całego. Nie mam złotego środka. I jak się opierdzielam, to potem mam trudności z wskoczeniem w rytm pracy. To nie jest dobre. Dlatego cieszę się, że Waits się pojawił. Zmobilizował mnie do aktywności, bo znowu bym przedupcył jakiś czas. Zresztą bardzo dobry zespół się z tego wykroił, szkoda byłoby go zaprzepaścić. Dzięki nagraniu tej płyty jeszcze się czegoś nauczyłem – była to pierwsza płyta, której jednocześnie byłem realizatorem i producentem. Jednak naturalnie jako debiutant nie ustrzegłem się popełnienia szeregu błędów.

Jakich?
Moim zdaniem skromniusieńkim jest pewien przesyt. Miałem plan, aby zrobić to wedle metody Prince'a, o którejś gdzieś tam onegdaj żem wyczytał. Przeczytałem gdzieś, że najpierw wszystko nagrywa, potem siada i wyrzuca. I też taki miałem zamysł. Nagrałem, ale jak doszło do wyrzucania, to trochę żal mi się zrobiło. Przecież to grali koledzy. Starałem się być demokratyczny, a należało być stanowczym i totalitarnym.

12 marca skończyłeś magiczną czterdziestkę. Jak się czujesz?
Ktoś opowiada, że życie zaczyna się dopiero po czterdziestce. Gówno prawda. To dosyć ponura świadomość. Z wiekiem się mądrzeje, ale to jedyny pozytyw starzenia się. Starzenie się jest syfem. Nie tyle nawet starzenie, co nieuchronne mijanie czasu, niemożność powrotu. Strasznie dołuje mnie na przykład, że moje dzieci nie będą już malutkie. To już stare chłopy i jedyna pociecha to fakt, że pewnie niedługo będę mógł sprawdzić się jako dziadek. Oczywiście czuję się młodziej niż moi dawni koledzy ze szkoły, ale to przez rodzaj zajęcia, które wykonuję. Granie muzyki w zespole rockowym to takie sztuczne przedłużenie dzieciństwa. Na kolegów z


Na scenie z KNŻ... ... i z Kultem

Kultu mówię czasem „domowe przedszkole". To goście czterdziestoparoletni o mentalności zupełnie młodych, nie radzących sobie z elementarnymi historiami, ludzi. Przez to na pewno jesteśmy mentalnie młodsi, rozbrykani, ale nie zmienia to faktu, że mamy cztery dychy na karku.

– Jedna z koleżanek powiedziała, że jestem jedyną osobą, której nie ma co życzyć, bo jestem szczęśliwy.

Pod koniec lat 70. w telewizji emitowany był *Czterdziestolatek*...
Wtedy w załodze punkowej wszyscy byliśmy nastolatkami i kręcił się między nami Maciek Guralski, który miał 24. Był dla mnie absolutnym zgredem. Jakimś tam autorytetem, ale jednak zgredem.

Dzisiaj ty mógłbyś sobie to zaśpiewać. Szybko minęło?
Za szybko. Jak będę solową płytę robił, zatytułuję ją *Czterdzieści* i na początek zaśpiewam piosenkę z *Czterdziestolatka*. Ale nie chcę zrobić jej skocznie i radośnie jak Andrzej Rosiewicz, a bardziej w konwencji Joy Division, czyli strasznie ponuro.

Pokusiłbyś się o jakieś podsumowanko?
Jedna z koleżanek powiedziała, że jestem jedyną osobą, której nie ma czego życzyć, bo jestem szczęśliwy. Jedynie towarzyszą mi różnego rodzaju fobie, że takie rzeczy są niezwykle ulotne i jeden losowy przypadek może zburzyć całą konstrukcję, którą bardziej lub mniej świadomie zbudowałem. Chciałbym, żeby było tak, jak jest.

Pojawia się nieodłączne pytanie: i co dalej?
Kiedyś strasznie kręciło mnie pisanie tekstów, a teraz... nie wiem, czy będę pisał. Nie chcę też kontynuować swojej kariery scenicznej w taki sposób, aby być satyrycznym i śmiesznym. Wolałbym być jak Nick Cave niż jak Deep Purple czy Sweet jakiś. Tylko musiałbym schudnąć. Musze sobie przefasonować poziomy ważności. Kult na pewno trwać jakiś czas będzie. Nie wiem natomiast, dokąd mamy zmierzać z KNŻ-tem. Jakoś brak mi idei na ten skład, a szkoda, bo to w pytę koledzy i koncerty gramy na poziomie światowym. Ale nie widzi mi się czwarty longplay w stylu pierwszego. Nie wiem, w którym kierunku miałoby to iść. Nie wiem, czy jego żywot jest długi. Myślę też o jakiejś grupie, w której mógłbym realizować działania solowe. I ten zespół, który powstał przy okazji nagrywania *Piosenek Toma Waitsa*, byłby świetnym początkiem. Tylko ciężko go będzie utrzymać.

Powiedziałeś kiedyś w Machinie: „Niepokoi mnie możliwość, że mogę stać się własną karykaturą, jeszcze bardziej, że prawdopodobnie tego nie dostrzegę". Ostatnio jest ciebie mniej w mediach. Czy twoja ucieczka w drugi plan nie jest właśnie z tym związana?
Zawsze tam ciągnąłem, zawsze staram się udzielać jak najmniej wywiadów. Jestem na tyle rozpoznawalną gębą w tym kraju, że pewne promocje i istnienie na pierwszych stronach gazet nie jest mi potrzebne. A najgorsze, że do każdego wywiadu chcą aktualne zdjęcia. Ostatnio do Przekroju koleś zrobił mi fatalne zdjęcia. Wyszedłem z potrójnym podgardlem, pod półką z płytami DVD. Wyglądałem jak prowincjonalny właściciel wypożyczalni wideo. A teraz słyszę, że za te zdjątka on jakąś nagrodę otrzymał. To ja już nic nie pojmuję. A może pojmuję za wiele? Zobacz, co jest z Budką Suflera. Bardzo ich cenię, ale mogliby sobie darować fotografowanie.

– Jestem na tyle rozpoznawalną gębą w tym kraju, że pewne promocje i istnienie na pierwszych stronach gazet jest mi nie potrzebne.

Nie boisz się, że ludzie o Tobie zapomną?
Wieteska (menedżer Kazika i Kultu – przyp. Muza) też tak mówi. Ale nie boję się. Przecież zdaję sobie sprawę, że moja praca jest spełnieniem marzeń i dzięki niej nie muszę imać się innych zajęć, muszę udzielać wywiadów i rozdawać autografy. Nie kryję, że tego nie kocham. Ale podpisuję, bo wiem, ile kosztuje ludzi podejście do mnie. Wiem, bo sam zbierałem autografy i byłem zły, jak Kazimierz Deyna mi nie dał. Gadocha, Ćmikiewicz, Mowlik, Nowak dali, a Deyna nie. Jawił mi się wtedy jak straszny chuj, bom pod szatnią stał trzy godziny, a on mnie spuścił. A niedawno ja sam wstydziłem się podejść do Gołoty „przybić piątkę", bo głupio się czułem. Więc nie mogę odmawiać. Nie kocham tego, ale byłbym penisem zasyfionym, gdybym odmawiał. A co do wywiadów – każdy może przeprowadzić ze mną wywiad, tylko czasem musi trochę poczekać. A przyjęło się, że nie lubię dziennikarzy. To jest tak, jakbym powiedział, że nie lubię hydraulików albo kierowców. Zarówno wśród hydraulików, dziennikarzy i muzyków są ludzie mądrzy i ludzie niemądrzy. Podkreślam – nie lubię dawać wywiadów, co nie jest tożsame ze stwierdzeniem, że nie lubię dziennikarzy. Nie lubię ryb i Lecha Nikolskiego wraz z Polem Markiem – niestety wicepremierem!


W drodze na Konkurs Piosenki Aktorskiej (2003)

Niedawno na twoich stronach internetowych pojawiła się piosenka o programie Idol...
Wpadłem na ten pomysł podczas nagrywania Waitsa. Zrobiłem i udostępniłem w Internecie, aby nie straciła na aktualności. Za rok czy dwa nikt nie będzie pamiętał, kto jest Leszczyński czy Wojewódzki, co to za program był ten Idol.

W studiu podczas nagrywania *Piosenek Toma Waitsa*



- Wojewódzki szczerzy się z każdego magazynu wysokonakładowego. Leszczyński samochody reklamuje. Teraz tylko trzeba czekać, jak ta pani pojawi się na rozkładówce, a Jacek Cygan zacznie reklamować sprzęt protetyczny.

Wygląda na to, że ty też oglądałeś.
Czasem w hotelach podczas wyjazdów na koncerty. Tak jak i kanały pornograficzne. Czasem człowiek z nudów lub zasypiając różne debilstwa generuje. To dalszy ciąg historii, która zaczęła się z nastaniem ery Big Brothera, czyli jak mówię, pornograficzna rzecz godna pożałowania. Oglądając Idola, w pewnym momencie skonstatowałem, że jest drugie dno. Tam nie chodziło o to, żeby wylansować piosenkarzy, ale o to, żeby pokazać jury. Teraz Wojewódzki szczerzy się z każdego magazynu wysokonakładowego, Leszczyński reklamuje samochody. Tylko trzeba czekać, jak ta pani pojawi się na rozkładówce, a Jacek Cygan zacznie reklamować sprzęt protetyczny. Żal mi było tych dzieciaków z pierwszej edycji. Przychodzili i byli konfrontowani z takim Kubusiem – perkusistą co się zowie, który ku uciesze hołoty dokonywał niemalże esesmańskiego przesłuchania i mieszania z błotem. W obecnej sytuacji ekonomiczno-gospodarczej wielu ludzi doprowadzonych jest na taki skraj braku nadziei i perspektyw, że zrobią wszystko, aby w jakiś sposób zaistnieć. To jest gest rozpaczy przecież, a jebać ich w tej rozpaczy jest fekalne.

Myślisz, że zwycięzcy mają jakieś szanse?
Żadnych. Może mają jakieś szanse w społeczeństwie bardziej zdominowanym przez kształtowanie światopoglądu przez mass media, na przykład w Ameryce czy Anglii. Ale i tam szybko się o nich zapomina. U nas wygląda to trochę inaczej. Ludzie pamiętają hasło „telewizja kłamie" i nic sztucznego nie pozostało na dłużej w ich pamięci. Kto dzisiaj pamięta Just 5? A program Idol? Za dwa lata TVN lub Polsat wygenerują program Wielka Peczda i nikt nie będzie nawet kojarzył, co to był Idol.

- Odradzam państwu posiadanie takiego idola, jak ja.

A jeśli już ten czy ów się znajdzie, to wspomni to jako ze wszechmiar kulturalną rozrywkę. Tłuszcza żąda ekstremalnych rozrywek.

Zostawmy program w spokoju. Czy idol jest potrzebny?
- Jest. W młodym wieku sam miałem idoli. Najpierw był Jimmi Pursey z punkowej kapeli Sham 69, a potem Ian Curtis z Joy Division. Póki człowiek emocjami młodości kipi, potrzebuje mieć idola, potem mądrzeje, statecznieje i to się zmienia. Śpiewanie piosenek czy granie w filmach nie jest powodem stawiania kogoś na piedestale czy ołtarzu.

Ale przecież ty też dla wielu jesteś idolem...!
I co ja za to mogę?

To co, odradzasz ludziom bycie ich idolem?
Tak. Odradzam państwu posiadanie takiego idola, jak ja.

Podobno przerobiłeś hymn polski?
On już dawno jest przerobiony, bo oryginał jest mocno inny, a ja zrobiłem go w rytmie disco. Ponad rok temu pojawiła się taka propozycja. Dali mi zaliczkę, a potem więcej się nie odezwali.

A jak dadzą do końca kasę, dasz im piosenkę?
Oni niestety już ją dostali. Gdybym mógł się z tego wycofać, chętnie bym to zrobił i umieścił na jakieś swojej płycie. Bo z tą solową *Czterdziestką* mam już sporo pomysłów. Widzę ją prawie w całości. I ten hymn pasowałby mi.

Kiedyś poseł ZChN Jan Szafraniec złożył skargę do prokuratury o obrazę narodu polskiego, jakiej rzekomo dokonałeś w piosence „Jeszcze Polska...". Nie boisz, że teraz ktoś zrobi to drugi raz?
Wcale bym się nie zdziwił. To dość ostra ironia.

UWAGA! KONKURS!

Mamy dla was **10 kompaktów** i **20 kaset** Kazika Staszewskiego *Piosenki Toma Waitsa* oraz **20 singli** z wieloma wersjami piosenki *Niewinna kiedy śni* i **10 książek** *Kult Kazika*. Wystarczy wysłać kartkę pocztową lub mail z uzasadnieniem, dlaczego chcielibyście otrzymać Kazika śpiewającego Waitsa. Najciekawsze kartki i maile nagrodzimy.

Czekamy na nie do 10 czerwca. Kartki prosimy przesyłać z dopiskiem „Kazik", a maile opatrzyć tytułem „Kazik".

Nasz adres:
Redakcja MUZA
pl. Defilad 1
skr. pocztowa 53
00-901 Warszawa
Mail: konkursy@muza.art.pl

Fonogramy ufundowała wrocławska firma Luna, wydawca płyty *Piosenki Toma Waitsa*, książki *Kult Kazika* wydawnictwo In Rock.

Fot. Olaf Deriglasoff, Agencja Gazeta, archiwum zespołu, Andrzej Georgiew, Bartek Makowski, Mirosław Grabarek, Dorota Grubek, Piotr Zambrowicz

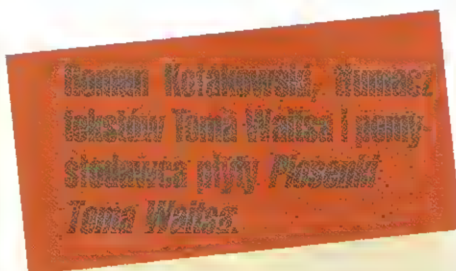
ZChN na szczęście już nie istnieje?
Ale żyją ludzie, którzy to tworzyli.

Jakiś rok temu, w angielskim piśmie The Face napisano o trzech nieszczęściach Polaków. Jednym z nich miał być Kult, o którym napisano, że to The Damned (sztandarowy angielski zespół punkowy z lat 70.), tylko z bałałajkami...
Napisał to jakiś niekompetentny kretyn, my przecież nie mamy bałałajek. Nie wiem, skąd on to wziął. Zresztą Angole to osły. Wiem, bo widuję, co robią na Teneryfie.

Pytam, bo niedawno grałeś z Kultem w prestiżowej londyńskiej sali Astoria. Zaprosiliście kogoś z The Face?
Nikogo nie zapraszaliśmy, ale koncert był nieprawdopodobny i fama o nim pewnie rozejdzie się po Londynie. Przyszło dwa i pół tysiąca ludzi, wszystkie bilety poszły dwa tygodnie przed koncertem, a w dniu występu zrobił się przed klubem taki zator, że musiała interweniować policja. Dawno tak dobrego koncertu nie zagrałem. Ale w pewnym momencie byłem gotów go przerwać, bo na scenie „meksyk" był, i wszystko wymykało się spod kontroli. Ludzie biegali, skakali, wariowali. Ochroniarze z Astorii zgłupieli, nie wiedzieli, co robić. Wiedziałem, że tego się nie opanuje, musiałem zaakceptować. Dlatego oddałem wszystkie rzeczy naszemu technicznemu i sam skoczyłem w ludzi.

Tym razem złapali cię?
Tak (śmiech).

Pytam, bo kiedyś zaliczyłeś podłogę...
Nawet dwa razy. Gorszy był ten drugi, żebra dwa złamałem i bolało mnie dość długo.



Po raz pierwszy przełożyłem songi Toma Waitsa w 1995 roku. Potem udało mi się skontaktować z menedżerem Waitsa, ale nie dostałem zgody na ich publikację. Dowiedziałem się od niego, że można zaśpiewać te piosenki, ale wyłącznie po angielsku. Próbowałem mu wytłumaczyć, że w Polsce nie można w ten sposób robić. Ale moje argumenty nie przekonały ich. Sytuacja się zmieniła w 2000 roku po zaśpiewaniu przez Kazika przetłumaczonych również przeze mnie piosenek Kurta Weilla. Dałem ją firmie Warner Music Polska, która wydaje płyty Waitsa w Polsce. Oni wysłali ją do centrali w Stanach. Tam spodobała się. Amerykańska centrala zadowolona też była z nakładu, bo płyt rozeszło się 40 tysięcy. To jak na Weilla, zaliczanego do muzyki klasycznej, niezły wynik. Wtedy ponownie wysłałem prośbę na opublikowanie polskich wersji piosenek Waitsa. Polski oddział Warner przekazał pismo amerykańskiej centrali, a ta dała je menedżerowi Waitsa. Potem pismo trafiło do samego Waitsa. Tym razem zaczęto ze mną rozmawiać. Na początek Waits zażądał... angielskich dosłownych tłumaczeń moich tekstów. Wysłaliśmy je razem z płytą Kazika śpiewającego Weilla. I wtedy dopiero Waits zgodził się na realizację płyty, koncert i rejestrację telewizyjną. Dostałem zgodę na dwadzieścia siedem. Kazik wybrał z nich osiemnaście piosenek i zaczął pracę. Gdy płyta się ukazała od razu wysłaliśmy ją do Waitsa. Czekamy na odpowiedź.

Tak mało ludzi było?
Mało i jeszcze rozstąpili się, bo to były już bisy. Byłem podochocony, bo był czadowy koncert. W dodatku chłopcy namówili mnie przed koncertem na red bulla z winiakiem. Ciężkich alkoholi raczej nie pijam przed występem, ale wtedy skusiłem się na cztery. Byłem w strasznym amoku i w ostatnim numerze skoczyłem. Dopiero następnego dnia zaczęło porządnie boleć. Ale generalnie skakanie na ludzi jest bardzo przyjemne. To tak jakbyś na materac skakał. Fajne jest, jak jeszcze ponoszą.

W Astorii ponosili?
Tak, choć był problem z powrotem na scenę. Techniczny Kultu Mizik King próbował mnie wyciągać, ale tamtejsi ochroniarze zaczęli go wyrzucać. Na szczęście udało się wrócić na scenę. Po koncercie właściciele Astorii powiedzieli, że był to najlepszy koncert w ciągu ostatnich dwóch lat. A w międzyczasie grali tam najwięksi: Red Hot Chili Peppers, Oasis, Blur i wielu, wielu innych. To dla nas bardzo ważne. Przyjeżdżamy stąd i pokazujemy, że koncertowo jesteśmy świetni. Zdaję sobie sprawę, że moje zespoły przebijają na żywo bardzo wielu wykonawców światowej rangi. KNŻ te wszystkie Linkin Parki czy Limp Bizkity kładzie na łopatki. Nawet długością grania. Tamci po godzinie i dziesięciu minutach mówią cześć. My jebiemy z KNŻ-tem ponad dwie godziny, a z Kultem to nawet prawie trzy. Amerykańce zawsze są zdziwieni. I to mnie nakręca do dalszego grania, wtedy wiem, że żyję i nie czuję się jak czterdziestolatek. Gdy mi tego zabraknie...

Leszek Gnoiński

Światowa piosenka autorska przenikała do polskiej kultury bardzo fragmentarycznie. W okresie szczytowej eksplozji ruchu folkowego Maryla Rodowicz wykonywała dwa klasyczne tematy: *Blowin' In The Wind* Dylana (jako *Odpowie ci wiatr*) oraz *Prolog do ballad* (w oryginale *This Land Is Your Land* Woody'ego Guthriego). Inną pieśń nierozłącznie związaną z tamtą epoką śpiewała Sława Przybylska *Gdzie są kwiaty z tamtych lat* to w oryginale *Where Have All The Flowers Gone* Peta Seegera (utwór oparty zresztą na ludowej pieśni rosyjskiej, cytowanej w powieści *Cichy Don*).

Nieco lepiej było z balladami ze wschodu. Największej ilości przekładów doczekały się pieśni Bułata Okudżawy i – co trzeba podkreślić – były to przekłady znakomite. Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski, Andrzej Dąbrowski i Andrzej Mandalian (między innymi) przybliżyli nam takie utwory, jak *Modlitwa*, *Trzy miłości*, *Balonik*. Wykonywali je najlepsi śpiewający aktorzy tamtych lat, m.in. Gustaw Lutkiewicz.

Potem przyszła kolej na Wysockiego, którego od lat doskonale tłumaczy Michał B. Jagiełło i ponownie na śpiewających aktorów: Fronczewskiego, Kondrata, Opanię. Także i tego autora przekładał Wojciech Młynarski, który następnie przygotował widowisko teatralne oparte na pieśniach Jacques'a Brela – była to pierwsza obszerna monografia jednego autora przełożonego na język polski przez jednego tłumacza.

Podobnego dzieła podjął się Maciej Zembaty od lat tłumaczący, śpiewający, ale też – może nawet przede wszystkim popularyzujący w naszym kraju Leonarda Cohena. Kanon Brassensa próbował stworzyć Filip Łobodziński – dziś znany dziennikarz – który w Zespole Reprezentacyjnym wykonywał własne przekłady pieśni wielkiego poety francuskiej piosenki (album *Pornograf*). Inną ciekawą płytą z tego zakresu, zasługująca na szerszą popularność, jest *Lubomski Conte'm* – Mariusz Lubomski wykonuje tu pieśni słynnego włoskiego barda Paolo Contego w tłumaczeniach Jerzego Menela. Ale podobnych albumów monograficznych jest niewiele.

Najnowszą propozycją z kanonu światowej piosenki w języku polskim jest album śpiewającego (ale kiepsko) aktora Piotra Machalicy, zarejestrowany na radiowym koncercie przed rokiem i wydany w serii „Złota Kolekcja - Portrety Muzyczne". Repertuar sygnalizuje tytuł recitalu: Brassens i Okudżawa. Rosyjski bard jest tu reprezentowany przez najbardziej znane przekłady sprzed lat, za to do Brassensa zbliżamy się dzięki translatorskiej pracy niestrudzonego Wojciecha Młynarskiego (zachęcamy do porównań z *Pornografem*), ale są tu także przekłady Jeremiego Przybory (*Złe zioło*) czy Edwarda Stachury (*Parasol*). Bardzo ciekawy wybór.

PIĘKNE PIOSENKI O STRASZNYCH RZECZACH



Notatnik Toma Waitsa wypełniają opowieści z życia insektów, jego głowę absurdalne aforyzmy i skojarzenia, a jego głos jest starszy od niego o jakieś 20 lat.

W swoim repertuarze ma zarówno sentymentalne ballady, jazzowo-bluesowe majstersztyki, eksperymenty dźwiękowe na miarę Johna Cage'a, ale i cover *Heigh Ho* – hymnu krasnoludków z *Królewny Śnieżki*. Niegdyś, najchętniej występował w duecie ze swoim najlepszym kumplem, Panem Fortepianem. Nigdy nie było wiadomo, który z nich jest bardziej pijany. Współpracował z Keithem Richardsem i Lesem Claypoolem. Któż to jest? To oczywiście Tom Waits – artysta, który nawet kaca potrafi podnieść do rangi sztuki.

AMERYKAŃSKI SEN...

Thomas Alan Waits (ur. 7 września 1949 roku) zadebiutował na początku lat 70. W Stanach Zjednoczonych to bardzo ciekawy okres. Społeczeństwo masowe, które pojawiło się po II Wojnie Światowej przeżywa swoje Złote Lata. Dom na przedmieściu, dwa samochody i telewizor stają się swoistym ideałem. Utożsamiane z seryjną produkcją kulturalną bez wyrazu, zupełnym brakiem refleksyjności i niezdolnością do krytycznego myślenia było wdzięcznym obiektem ataków dla intelektualistów i naukowców. Ci ostatni, jak Theodor Adorno na przykład boleli nad tym, że kultura tzw. wysoka znika na rzecz „przemysłu kulturalnego". D. McDonald z kolei stwierdził, że społeczeństwo masowe w żadnym stopniu nie jest kreatywne, a poziom kultury dostosowuje się do poziomu najmniej wrażliwego i najgłupszego spośród jego członków. Twórcy kultury masowej nazwani zostali „władcami kiczu" i oskarżeni o spisek przeciwko moralności i dobremu smakowi.

Intelektualiści i artyści na swój sposób starali się wyrazić sprzeciw wobec podobnych zjawisk. W latach 60. prym pod tym względem wiódł Pop Art, który z jednej strony wyśmiewał kulturę masową, a z drugiej próbował ją oswajać przenosząc w rejony sztuki. Zamknięta w ramy obrazu puszka zupy Cambell do reszty zatarła różnicę pomiędzy dziełem sztuki a seryjnym produktem.

Były jednak i ruchy radykalniejsze, które Amerykański Sen o dobrobycie i świętym spokoju traktowały z pogardą. Do tych należeli na przykład beatnicy. Waits zapytany kiedyś o to, jak określiłby motto Beat Generation odpowiedział: „Wódka, panienki, wódka i jeszcze trochę wódki". Dorzucić jeszcze można do tego skłonności do włóczęgi, fascynację brudnymi i perwersyjnymi stronami życia, zamiłowanie do skrajności, odrazę do stabilizacji i otrzymamy obraz przedstawiciela „pobitej generacji". Przewodnikami młodych gniewnych byli Jack Kerouac („Myślę, że każdy czyta Kerouaca w pewnym okresie swojego życia (...). Wywarł na mnie ogromne wrażenie" – Tom Waits), Neil Cassady, który tak bardzo wczuł się w swoją rolę wiecznego wędrowca, że nawet życie zakończył w samochodzie, Alan Ginsberg (jeden z „ojców założycieli" ruchu hippisowskiego), William Borroughs, Charles Bukowski. Spijali słowa z ust swych guru, kontestowali i prawdopodobnie nieźle się przy tym bawili. Na swój sposób stanowili pełną indywidualistów elitę, która, poprzez swoje upodobanie do stołków barowych w podrzędnych knajpach, biedy i ludzi z marginesu, uważała, że stoi w łańcuchu ewolucyjnym ponad „masą" bezmózgich mieszczan.

„Chciałbym kopnąć się we własny tyłek. Chciałbym sam decydować o presji, która na mnie ciąży. Przez większość czasu masz wrażenie, że walisz głową w mur. W końcu zdajesz sobie sprawę, że sam go przed sobą ustawiłeś."



ALBUMY STUDYJNE I KONCERTOWE

Closing Time 1973
The Heart of Saturday Night 1974
Nighthawks at the Dinner 1975
Small Change 1976
Foreign Affairs 1977
Blue Valentine 1979
Heartattack and Vine 1980
One From The Heart (soundtrack) 1982
Swordfishtrombones 1983
Rain Dogs 1985
Franks Wild Years 1987
Big Time (album koncertowy) 1988
Night On Earth (soundtrack). 1992
Bone Machine 1992
The Black Rider 1993
Mule Variations 1999
Alice 2002
Blood Money 2002

„Nie lubię tych ludzi. Nie bawię się w tych samych miejscach, co oni. Te żałosne grupy tworzą coś w rodzaju własnych świętych miejsc. To mnie męczy. Nie mam pojęcia skąd oni biorą te swoje pomysły. Skąd ja biorę własne? Śpiąc mam zawsze zamknięte tylko jedno oko." (Waits o wykonawcach z L.A. – Fleetwood Mac, The Eagles, etc.)

Punktem kulminacyjnym tej epoki stała się rewolta końca lat 60. Potem trochę ucichło. Bezmyślna masa niezdolna do refleksji nie bardzo przejęła się hippisowskimi rewolucjami i nadal żyła spokojnie i dostatnio. Odchodzili kolejni beatnicy (Kerouack zmarł w 1969 r.) i wydawało się, że już nic nie jest w stanie zakłócić harmonii Amerykańskiego Snu. Właśnie wtedy na scenie pojawił się niejaki Pan Waits i jego najlepszy kumpel, Pan Fortepian.

...W RYNSZTOKU

W pewnym sensie Tom Waits był jak żywcem wyjęty z kart beatnikowskiej biblii, *W drodze* Jacka Kerouaca. Samotny nonkonformista, który przemierza Stany w zdezelowanym samochodzie w poszukiwaniu wolności i prawdy o życiu. Swoje smutki zapija kiepską whisky w podrzędnych knajpach. „Nie mam problemów z piciem. Chyba że nie mogę dostać drinka" – zwykł mawiać. Artysta chętnie przyznaje, że Kerouac był dla niego ważną postacią: „Miał swój stołek w barze i nikt nie mógł na nim usiąść oprócz niego...Od samego początku pisał swój nekrolog i myślę, że został tragicznie uwiedziony przez własne przeznaczenie (...). Zasmakowałem w jego wizji Ameryki, na pewno głębszej niż można by znaleźć gdziekolwiek indziej, choćby w Reader's Digest. Gwar tłumu w barze po robocie; praca na kolei; spanie w tanich hotelach; jazz". To wystarczyło, by wraz z ukazaniem się jego debiutanckiego albumu, *Closing Time* (1973), uznać muzyka za kontynuatora ruchu beatnikowskiego. Właściwie wszystko, co stworzył w latach 70. będzie naznaczone duchami lat minionych – Kerouackiem, upodobaniem do włóczęgi i smakowaniem życia w rynsztoku, w którym egzystują odpadki Amerykańskiego Snu.

Od pierwszych taktów *Ol'55* otwierającego płytę Closing Time aż po ostatnie dźwięki z albumu *Blue Valentine* (1979) muzyczny świat Toma Waitsa wypełniają historie samotnych ludzi, którzy czują się zagubieni, kiedy zamykają nad ranem bar, którzy ciągle przed czymś uciekają – przed wspomnieniami, przed problemami, przed rzeczywistością, przed samymi sobą. Głos fortepianu krążąc w oparach jazzu i kłębów dymu papierosowego przedziera się przez pijackie bełkoty knajpianych gości. Przełożone na język muzyki życie „nocnych jastrzębi", tak doskonale uchwycone 30 lat wcześniej przez amerykańskiego malarza, Edwarda Hoppera. Obraz *Nighthawks* przedstawia śpiące, opustoszałe miasto, gdzie jedyne światło pada z oszklonego baru, w którym, odizolowana od reszty świata, siedzi trójka ludzi. Hopperowska wizja samotności w wielkim mieście odśpiewana przez Waitsa porusza jeszcze mocniej.

W latach 70. Waits jest wierny jazzowi, ale nie stroni też od folku. Stopniowo wzbogaca instrumentarium, choć jego postawę wobec eksperymentów w tamtym okresie można uznać za „ostrożną". Dopiero na *Blue Valentine* zmniejsza rolę

„Pamiętam jak pracowałem w restauracji, słuchałem muzyki płynącej z szafy grającej i zastanawiałem się, jak się stamtąd wyrwać. Stojąc tak, przepasany fartuchem w papierowej czapce na głowie, wyobraziłem sobie, że słyszę swój głos płynący z szafy grającej." (Odpowiedź na pytanie „dlaczego zostałem muzykiem?")

swojego ulubionego fortepianu na rzecz gitary elektrycznej. Dzięki temu album nabrał ostrości i zadziorności, której trochę brakuje wcześniejszym dokonaniom. Ale i tam można odnaleźć prawdziwe perełki. Refleksyjne *Shiver Me Timbers* i *San Diego Serenade* z *Heart of Saturday Night* (1974), niezwykły Tom Traubert's Blues z pięknie wplecionym refrenem *Waltzing Matilda* otwierał album *Small Change* (1976), na którym znalazły się jeszcze *The Piano Has Been Drinking* i *Bad Liver And A Broken Heart* – utwory pełne specyficznego, czarnego poczucia humoru. Na *Blue Valentine* uwagę zwracały *Somewhere* (utwór pochodzący z musicalu *West Side Story*), posępny *Romeo Is Bleeding* i niepokojący *Red Shoes By The Drugstore*.

Również historie snute przez Pana Toma ewoluują i stają się dziwniejsze, bardziej pogmatwane. Droga przez krainę Waitsa staje się coraz bardziej pokrętna i zaczyna prowadzić w rejony, przy których rynsztok to plac zabaw dla dzieciaków. Maniakalne *Potter's Field* czyli historia o zdradzie i upadku, pokrętne *Burma Shave* (obie kompozycje pochodzą z albumu *Foreign Affairs* z 1977 r.) daleko odchodzą od sentymentalnych utworów „o życiu złamanym" z *Closing Time*.

Nie wiadomo już, czy Waits w swoich utworach odmalowuje życie, które prowadzi i obserwuje, czy też naśladuje tryb życia swoich bohaterów. Artysta przyznawał, że sam nie jest już tego pewien. Jego głos staje się coraz bardziej zdarty, co właściwie jest eufemizmem. Dziennikarz New Musical Express określił to bardziej dosadnie: „Głos Waitsa nie brzmi już jak jego własny, lecz raczej jakby był własnością 13 różnych portorykańskich rodzin, których wspólną krewną jest gruźlica...". Do dziś nikt lepiej nie scharakteryzował wokalu artysty.

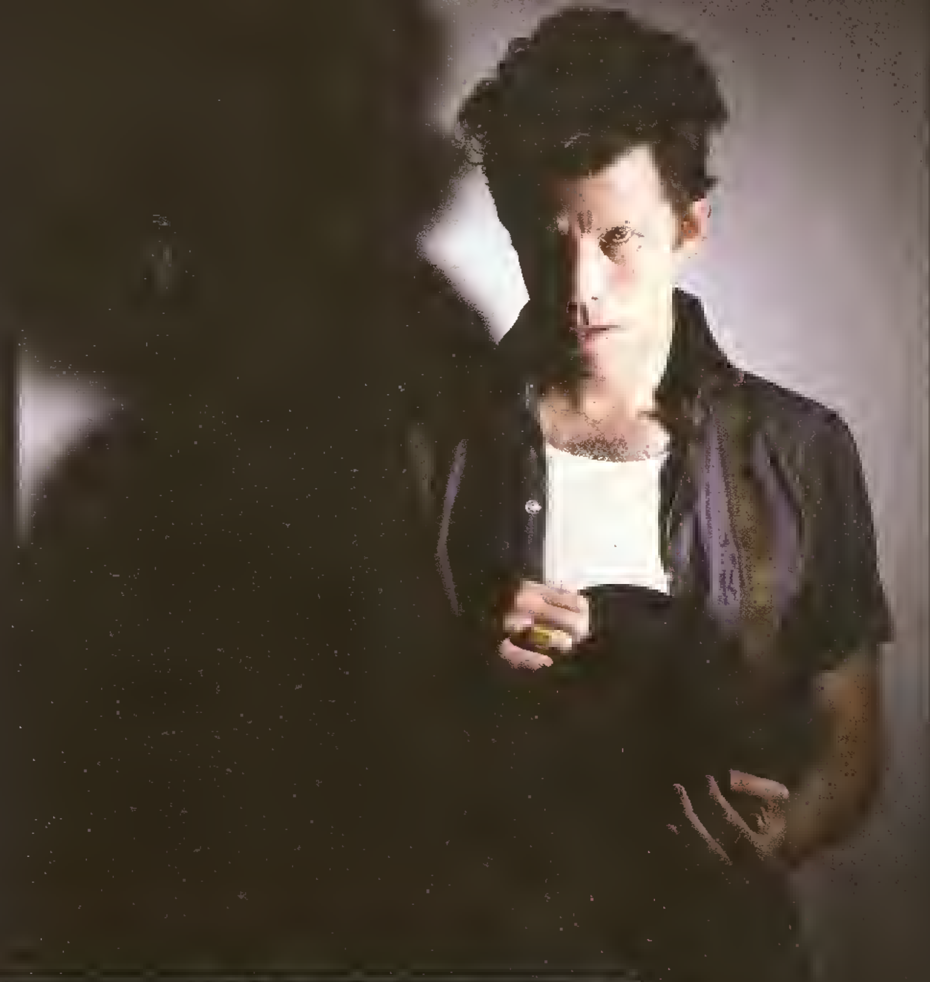
Waits – spóźniony beatnik. To ładny wizerunek, ale nawet samemu artyście zaczął wreszcie ciążyć. W wywiadzie dla Hit Paradera z 1978 r. wyznał: „To ważne, by mieć wyrazisty image i cieszę się, że mnie się udało coś takiego stworzyć, ale chciałbym też zbudować coś nowego. Pokazać się także od innej strony". Ta szufladka była dla niego stanowczo za mała. Waits miał do zaoferowania znacznie więcej niż chcieli usłyszeć ci, którzy go tam wcisnęli. Mocno „rozpychać się" i „kopać" zaczął już przy trzeciej płycie, *Nighthawks at the Dinner* (1975), która była środkowym palcem pokazanym wszystkim tym, którzy chcieli widzieć w nim wiecznego samotnika z fortepianem. Po jej ukazaniu się oskarżono go o zdradę mitu Beat Generation, o samowolne przywłaszczenie stołka barowego, który pozostał po Kerouacu, itd. Jaką zbrodnię popełnił Waits, że posypały się na niego takie gromy ? Otóż, do nagrania tego albumu artysta wykreował nocny klub...w studio nagraniowym. Zaprosił publiczność, zaserwował drinki i przez 70 minut wszyscy udawali, że to prawdziwa knajpa.

Słuchacze przyjęli album z mieszanymi uczuciami. Niektórzy uważali, że największą zbrodnią Waitsa było nie wykorzystywanie jakiegoś tam mitu, ale to, że przynudza snując za długie opowieści. A jednak, w tym albumie jest coś niezwykłego. Artysta bawi się z publicznością wytwarzając specyficzny rodzaj interakcji. Muzyka powraca do swojego „naturalnego środowiska" – pomiędzy barowych gości i dzięki temu sprawia wrażenie żywej materii. Waits przy jazzowym akompaniamencie fortepianu opowiada przedziwne historie – *Big Joe Phantom 309*, czy *Nighthawks Postcards*, ale nie brakuje też klasycznych Waitsowskich utworów, jak choćby przepiękna ballada *Nobody*.

Ten album to niezła ilustracja dla tego, co tak zgrabnie ujął swego czasu Edward Hopper: „W przypadku każdego artysty już we wczesnych pracach zawsze widać zarodek późniejszej twórczości. Jądrem, wokół którego umysł artysty tworzy prace, jest on sam. Jego ego, osobowość czy, jak by to nazwać, w niewielkim stop-



„Moja pamięć nie jest źródłem bólu. Jedna jej część to lombard, inna przypomina akwarium, a jeszcze inna szafę. Myślę, że jest takie miejsce, gdzie pamięć zniekształca się jak w lustrze z Gabinetu Smiechu i to jest ten obszar, który interesuje mnie najbardziej



niu zmienia się od narodzin do śmierci. Tym kim był kiedyś, z niewielkimi zmianami zawsze będzie. Moda na style lub jakiś temat zmieniają go w niewielkim stopniu albo wcale". Przekora, zamiłowanie do drwiny, ciągła chęć do przekraczania kolejnych barier i tworzenia czegoś zupełnie nowego były w Waitsie od początku. „Staram się, by każdy album był jakimś przełomem. Dlatego każdy kolejny album znacznie trudniej jest nagrać od poprzedniego. To bardzo ważne, żebym za każdym razem był w stanie zabrać moją publiczność do miejsca, w którym jeszcze nie była" – powiedział w jednym z wywiadów. Już wkrótce miał zabrać swoich miłośników do krainy, o której Dante nawet nie śnił tworząc swoje Piekło.

FABRYKA SNÓW...

Ciągła włóczęga od motelu do motelu zaczynała już Waitsa nużyć. W 1975 roku zainstalował się w ulubionym hotelu muzyków rockowych – Tropicana w L.A. Najważniejszy mebel – fortepian – został ustawiony w kuchni. „Wyjeżdżasz w trasę, po trzech miesiącach wracasz, otwierasz lodówkę i wszystko w niej wygląda jak eksperyment naukowy" – powiedział. Przyznawał się też, że znalazł się na artystycznym rozdrożu. Zawirowanie nie trwało jednak długo. Jaskółką zwiastującą nowy rozdział w życiu i w karierze artysty stała się redaktorka scenariuszy ze studia filmowego Francisa Forda Coppoli z którym Waits współpracował. Kathleen Brennan w sierpniu 1980 roku została Panią Waits. O swoje żonie muzyk wyrażał się zawsze z najwyższym uznaniem: „Ona potrafi leżeć na łóżku pełnym gwoździ, przekłuwać usta drutem i pić przy tym kawę". W innym wywiadzie chełpił się: „Chciała zostać zakonnicą, ale wyszła za mnie, więc można powiedzieć, że ocaliłem ją przed Bogiem". Tego samego roku ukazała się także płyta *Heartattack and Vine*, która była właściwym zwiastunem najbardziej intrygującego okresu w karierze Toma Waitsa.

„W broszurce „Jak osiągnąć sukces bez kończenia studiów" przysłali pełny wykaz wszelkich możliwych zawodów: radiotechnik, pomywacz i osuszacz, agent ubezpieczeniowy, bankier, muzyk, oszust podatkowy, maniak-zabójca, seryjny morderca. A mnie po prostu spodobało się brzmienie słowa „muzyk". Jestem więc żywym przykładem tego, że można do czegoś dojść w życiu nie posiadając dyplomu uczelni." (Alternatywna wersja odpowiedzi na pytanie „dlaczego zostałem muzykiem?")

Heartattack... to kpina z Hollywood, które Waits mógł poznać „od kuchni" pracując nad kolejnymi filmami. Na tym albumie królują blues i gitara elektryczna. To już zupełnie inny Waits. Słuchając jego gorzkich wynurzeń można odnieść wrażenie, że Pan Tom w dniu narodzin miał już na swoim niemowlęcym grzbiecie 40 lat ciężkich doświadczeń. Wystarczy posłuchać utworu tytułowego, *Saving All My Love For You*, *Downtown*, *Til' The Money Runs Out*, czy napisanego dla żony *Jersey Girl*. Ten ostatni zresztą do swojego repertuaru włączył Bruce Springsteen. „To miły chłopak, mam nadzieję, że moje koncerty nie wpłyną ujemnie na sprzedaż jego biletów" – z właściwą sobie drwiną skomentował wszystko Waits. Obaj debiutowali w tym samym czasie. Obaj śpiewali o Amerykańskim Śnie – Springsteen o jego urokach, Waits – o wypaczeniach podglądanych w krzywym zwierciadle, w którym przeglądała się rzeczywistość. Najciekawsze miało dopiero nadejść. Nosiło enigmatyczny tytuł, *Swordfishtrombones* i ukazało się w 1983 roku, dokładnie dekadę po debiucie.

...I SENNYCH KOSZMARÓW

Czym jest tytułowy *Swordfishtrombone* [połączenie miecznika z puzonem]? Oddajmy głos artyście: „To albo instrument, który brzydko pachnie albo ryba, która robi dużo hałasu" – wyjaśnia. O muzyce mówił zaś tak: „To dewiacje orkiestry z demobilu". O zespole wypowiadał się równie barwnie: „To festynowa orkiestra w stanie demencji".

Znowu blues bierze górę nad jazzem. Intryguje bogactwo instrumentów, wśród których znalazło się wiele instrumentów basowych i perkusyjnych oraz... krzesło, które zręcznie pomaga w budowaniu klimatu w utworze *Shore Leave*. Inspiracją dla muzyka była legendarna postać Harry'ego Parcha, który był konstruktorem przedziwnych instrumentów muzycznych.

Piękna ballada *Johnsburg, Illinois* była dalekim echem po latach 70. Reszta była bardziej w klimacie szpitala dla obłąkanych. Waits z lubością jęczał, syczał, wył potępieńczo i skrzeczał w akompaniamencie stuków, trzasków i brzęków niewiadomego pochodzenia. Zupełnie słusznie zatem Tom Waits na reżysera klipu do *In the Neighbourhood* wybrał *Haskella Wexlera*, który współpracował przy produkcji *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Czy to poprzez swój romans z filmem, w którym grał i do którego nagrywał muzykę (m.in. One *From The Heart*), czy



„Nie spotkałem nikogo, kto zarwałby panienkę na płytę Toma Waitsa. Mam wszystkie trzy i nigdy mi to nie pomogło!" (Tom Waits o własnej twórczości)

przez wykorzystanie tak bogatego instrumentarium, dość że muzyka Toma Waitsa staje się coraz bardziej plastyczna. Prawdziwym majstersztykiem pod tym względem okazała się kolejna odsłona nowego, pełnego ciemnych zakamarków świata Pana Waitsa – album *Rain Dogs* (1985). Otwiera go teatralnie złowrogi *Singapore*. Słuchając go trudno nie wyobrazić sobie jakiejś bandyckiej historii, w której złoczyńca niespiesznym krokiem oddala się w strugach deszczu z miejsca zbrodni. *Clap Hands* kojarzy się z opuszczonym domem, w którym wielki zegar złowrogo odmierza czas. W dość klasycznym *Jockey Full of Bourbon* Waits niepokojąco odśpiewuje w refrenie słowa z wierszyka dla dzieci. Osobom z bujną wyobraźnią na pewno do gustu przypadnie jeszcze *Cmentarna Polka*. Nie zabrakło także „hitów" – rozczulający *Downtown Train* i jeden z najpiękniejszych utworów w karierze artysty, *Time*. Za to w *Union Square* można usłyszeć na gościnnych występach niejakiego Keitha Richardsa. Panowie bardzo przypadli sobie do gustu i spotkali się także przy okazji kolejnej płyty Toma Waitsa pt. *Bone Machine*, która pojawiła się w 7 lat po swojej poprzedniczce.

Nim to jednak nastąpiło, światło dzienne ujrzał jeszcze album *Franks Wild Years*. Po raz pierwszy postać Franka Leroux po-

„Twoje opinie są jak dziura w dupie, koleś, każdy ma jedną." (Szybka riposta w kierunku niezadowolonej publiczności)

FILMOGRAFIA

Paradise Alley (1978), reż. Sylvester Stallone
Bad Timing (1980), reż. Nicolas Roeg
Wolfen (1981), reż. Michael Wadleigh
One From The Heart (1982), reż. Francis Ford Coppola
The Stone Boy (1982), reż. Chris Cain
The Outsiders (1982), reż. Francis Ford Coppola
Rumble Fish (1983), reż. Francis Ford Coppola
Cotton Club (1984), reż. Francis Ford Coppola
Down By Law (1986), reż. Jim Jarmusch
Ironweed (1987), reż. Hector Babenco
Shakedown (1988), reż. James Glickenhouse
Candy Mountain (1988), reż. Robert Frank, Rudolph Wurlitzer
Cold Feet (1989), reż. Robert Dornheim
The Two Jakes (1990),reż. Jack Nicholson
The Fisher King (1991), reż. Terry Gilliam
Queen's Logic (1991), reż. Steve Rash
Bram Stoker's Dracula (1992), reż. Francis Ford Coppola
At Play In The Fields of the Lord (1992), reż. Hector Babenco
Short Cuts (1992), reż. Robert Altman
Coffe and Cigarettes (1993), reż. Jim Jarmusch

jawia się na *Swordfishtrombones* w niespełna półtoraminutowym fragmencie, *Franks Wild Years*. Beznamiętny głos Waitsa, który akompaniuje sobie na nowym pupilku, akordeonie, to piękna ilustracja smutnego losu Franka, którego do szału doprowadził piesek chihuahua. Inspiracją do napisania utworu była jedna z nowel Charles'a Bukowskiego. Wkrótce ta krótka opowieść o znaczeniu błahych spraw, które mogą doprowadzić do skrajności, znalazła swoje rozwinięcie na *Rain Dogs*, by wreszcie przekształcić się w samodzielny projekt. Tym samym Waits rozpoczął zupełnie nowy rozdział w swojej karierze – tworzenie muzyki inspirowanej przedstawieniami teatralnymi. W kilkuletnich odstępach ukazały się jeszcze trzy świetne płyty. *The Black Rider* (1993) był wynikiem współpracy z Williamem Borroughsem i awangardowym reżyserem Robertem Wilsonem. To historia człowieka, który postanowił wyzwać diabła na pojedynek. W 2002 roku do sklepów trafiły *Blood Money* i *Alice*, również wynik współpracy z Wilsonem oraz żoną, Kathleen Brennan. Ta pierwsza inspirowana była sztuką *Woyzeck* Georga Büchnera, druga – postacią Alice Liddel, młodej muzy Lewisa Carolla, który uczynił ją bohaterką powieści *Alicja w krainie czarów*.

Kolejne dwa albumy studyjne Toma Waitsa to potwierdzenie tezy, że im dalej zagłębić się w koszmar senny tym robi się ciekawiej.

Na okładce *Bone Machine* (1992) widniała twarz Waitsa wykrzywiona w szatańskim grymasie, na głowie ma czapkę z rogami, a zamiast oczu dwa, jasne oczodoły. Odpowiada to mniej więcej temu, co można usłyszeć na płycie. To coś w sam raz dla miłośników koszmarów sennych, potępieńczych stuków-puków, wycia, jęków, tupania i trzasków w surowym sosie bluesowym. W *Jesus Gonna Be Here Waits* coś tam sobie brzdąknie na gitarze, w *Earth Died Screaming* głównie groźnie mamrocze przy akompaniamencie samego Lesa Claypoola, w *I Don't Wanna Grow Up* przypomina z lekka zdziecinniałego starca, a w *That Feel* pogrywa sobie wespół z Keithem Richardsem.

Z kolei *Mule Variations* (1999) to chyba najbardziej zróżnicowane, pod względem stylistycznym, muzycznym i tekstowym, dzieło artysty. To taki mały przegląd jego możliwości, który zahacza jeszcze o lata 70. Od przedziwnych, „stukających" *Big in Japan*, *Low Side of the Road*, poprzez bardzo ciepłe i refleksyjne *Hold On*, *House Where Nobody Lives*, *Pony*, niepokojące melorecytacje w *What's He Building?*, przypominające jego dawne barowe piosenki *Picture in a Frame*, bardzo

„Wrócę do Los Angeles, opiję się jak świnia, tak aby trzymało mnie przez 3 dni, a potem wejdę do studia." (Tom Waits zdradza tajemnice swojego warsztatu)

ostre jazzowo – bluesowo – rockowe *Filipino Box Spring Hog* aż po nostalgiczne *Take it with me*.

Skąd tytuł płyty? Waits przyznaje, że jest tak uparty, że kiedyś jego żona powiedziała po prostu „Nie poślubiłam mężczyzny. Wyszłam za muła".

ILE MOŻE ŻYĆ KARALUCH BEZ GŁOWY?

Tom Waits twierdzi, że dwa tygodnie. To jedna z jego ulubionych opowieści z życia robali, którymi raczy swoich znajomych. Prawdopodobnie, gdyby nagrał ją w formie piosenki byłaby równie przejmująca i poruszająca, co historie ludzi z marginesu, doświadczonych przez los poczciwców pokroju Franka Leroux. Jest w Tomie Waitsie ten rodzaj autentyczności, życiowego dystansu, który czyni każdą jego opowieść wiarygodną i bardzo ludzką. Nawet jeśli głównym bohaterem miałby być niekompletny karaluch. W końcu jak kiedyś wyznał najbardziej na świecie uwielbia piękne piosenki o strasznych rzeczach.

Siła Waitsa polega na tym, że nawet o najbardziej dramatycznych przeżyciach, które powinny każdego pozbawić złudzeń, że życie jest piękne i przyjemne, potrafi zaśpiewać z przedziwnym rodzajem optymizmu, który daje więcej nadziei niż zwątpienia. I to wcale nie dlatego, że każdemu robi się lepiej, kiedy usłyszy, że innym wiedzie się znacznie gorzej.

Od czasu do czasu w najlepszym stylu przypomni też, że życie to czysty absurd i jedyne na co można liczyć to to, że nie można liczyć na nic. A i to nie jest pewne...

Rozkład, choroba, dewiacje, zagubienie, życiowe porażki – czy to jakiś wstyd nie śnić razem ze wszystkimi Amerykańskiego Snu? Waits przekonuje, że ta odbita w krzywym zwierciadle rzeczywistość jest znacznie bardziej urzekająca od jakiegokolwiek snu. Jak śpiewa: „Cierpienia to rzeka okalająca świat".

Leszek Kołakowski powiedział kiedyś, że sztuka nie może narodzić się bez cierpienia i dlatego w niebie nie ma sztuki. My na szczęście jesteśmy wciąż na Ziemi i mamy Pana Waitsa, który od czasu do czasu chętnie nam o tym przypomina.

Dagny Kurdwanowska



„Nie obchodzi mnie kogo będę musiał zdeptać podczas mojej drogi na dno."

INNI O WAITSIE.

* „Kiedy ukazały się płyty *Swordfistrombones i Rain Dogs* (...) myślę, że byłem zazdrosny, nie tyle o samą muzykę, co o zdolność odrodzenia się na nowo, wydostania się z jednego stylu i pokazania drugiego oblicza. To było bardzo zuchwałe posunięcie i myślę, że każdy, kto nie potrafi dostrzec klasy tej muzyki, nie ma uszu na właściwym miejscu!" (Elvis Costello)

* „Kocham Toma Waitsa. Moim zdaniem to właśnie on w ciągu minionych 10 lat z największym talentem przedstawiał prawdziwą Amerykę." (The Edge)

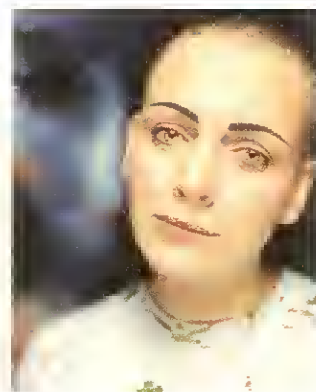
* „On powinien być Irlandczykiem." (Bono)

* „Na próbach Tom Waits wyglądał jakby za chwilę miał złamać się wpół albo jego głowa miała zaraz odpaść od tułowia i potoczyć się po podłodze. Widziałem raz głupka w małym miasteczku, który szedł przez park kompletnie zalany i trzymał w ręce loda, zataczał się, lecz przez cały czas uważał, żeby lód mu nie upadł. Myślę, że trochę podobnie było z Tomem." (Jack Nicholson podczas zdjęć do filmu *Ironweed*)

„Musisz być cały czas w ruchu. Jeszcze żaden pies nie obsikał jadącego samochodu."

Fot.: Adam Jagielak / Agencja Super Expres, Corbis, Agencja Piękna

KASIA NOSOWSKA



Samobójstwo medialne

Takie dziewczyny jak my rzadko rozmawiają o ciuchach. Zwykle umieszczają papierosa nietypowo, pomiędzy trzecim, a czwartym palcem dłoni, licząc od kciuka.

Każdy łyk alkoholu poprzedzają toastem „nasze kawalerskie", tryskają przez zęby jadem ironii, wypalając dziury w sukienkach pań i marynarkach panów.
Takie dziewczyny jak my odpalają fajki od stosu, na którym płoną – ciasno poukładani – wszyscy ci, którzy ośmielili się „z karata" potraktować ich serca...

Kilka dni temu, pogrążone w zachwycie nad cudem budzącej się do życia przyrody, odbyłyśmy podniecająco przygnębiającą dyskusję na temat natury samobójstwa. Zdaniem A, której opinie wielce sobie cenię, w ostatnim felietonie sprzedałam za monetę-fałszywkę, postać jednego z najwspanialszych teoretyków samobójstwa, upychając temat rzekę do kieliszka typu pięćdziesiątka. Dziewczyny takie jak my rozpoczynają znajomość od wymiany opowieści na temat osobistych doświadczeń ze śmiercią. Kajam się.

Znam wiele osób, które nigdy nie miały ochoty rzucić się w objęcia chodnika, w apteczkach trzymają tylko witaminy, noszą buty zapinane na rzepy (bo sznurówki kuszą), nie przekraczają białej linii oddzielającej peron od torów, starają się unikać tematu nawet na poziomie dyskusji. Zazwyczaj są to osoby mające wyidealizowany obraz życia wiecznego, będącego czymś w rodzaju atrakcyjnej nagrody w konkursie na najlepsze życie doczesne. Samobójstwo w takim przypadku jest niczym innym, jak bezsensownym wycofaniem się przed ogłoszeniem końca rozgrywki. Co innego artyści. Artysta potrafi popełnić samobójstwo, nie oddzielając ducha od ciała, na oczach tłumu. Powszechnie znane są przypadki zadławienia się szamponem, zawiśnięcia na rajstopach, przyjęcia śmiertelnej dawki pepsi lub lodów, uduszenia się pościelą, a także upadek z dużej wysokości na płytę stadionu w Korei lub mocno nagłośnione zbiorowe samobójstwo kilku artystów śpiewających covery. Równie popularną formą odbierania sobie życia jest odarcie się z tajemnicy. Przede wszystkim dokonuje się w ten sposób uśmiercenia w sobie wartości nadrzędnej, jaką jest pasja tworzenia. Artysta nie dzieli się ze światem sztuką, lecz sobą. Pokazuje swój dom, kolejnych partnerów, dzieci, ciało ubrane w piśmie o modzie, a nagie w piśmie o... nagich ciałach. Kilka lat temu musiałam przez moment dopisywać przed nazwiskiem „Św. pamięci", po historii z zaręczynami opowiedzianej na łamach Elle.
Nigdy więcej...

Śmierć niezmiennie porusza, choć w przypadku starych wyjadaczy nieco mniej. Zupełnie niewytłumaczalny jest pęd ku śmierci w przypadku młodych, często dobrze rokujących na przyszłość osób, które niczym stado lemingów rzucających się z urwiska do morza, skaczą w odchłań szołbiznesu. Pozwolić się zabić innym znaczy tyle, co zrobić to samodzielnie. I nagrywają te płyty z muzyką do wind, wyśpiewują bardzo brzydkie teksty z udawanym zaangażowaniem, uczą się układów choreograficznych, zamieniają dżins na satynę, trampki na pantofle, pazia na ściemnionego irokeza, warkocze na cieniowane grzywki. I łamią im kręgosłupy, korygują postawę, wyłyżeczkowują skrzydła, rozprasowywują fałdy w mózgach, osuszają oczy, poszerzają uśmiechy... A potem: PA, KOTEK!

Tych naprawdę WIELKICH, których życie przerażało bardziej niż śmierć, których duch wprost rozsadzał ciało – nie mam śmiałości dotykać. Wiosna nie przyszła w tym roku, lato będzie dwa razy dłuższe. Palę więcej niż zwykle i gubię tożsamość, zatracając się w miłości.

Znam wiele osób mających wyidealizowany obraz życia wiecznego, jako czegoś w rodzaju atrakcyjnej nagrody w konkursie na najlepsze życie doczesne.

Fot. Universal

Muzyka to magia

Udałem się do Londynu, aby porozmawiać z Aleksem Jamesem. Alex gra w Blur – gra na basie. Czekał na mnie w nowocześnie urządzonym pokoju Westbourne Studios. Rozsiadł się w wielkim skórzanym fotelu, popijając kawę z ogromnej filiżanki. Mówił niezbyt szybko, ale zaskoczył mnie błyskotliwymi wypowiedziami. Rzadko który z muzyków potrafi tak ciekawie mówić, jak on...



W opowieści Aleksa Jamesa wsłuchiwał się Paweł Kostrzewa

...o płycie *Think Tank*

To bardzo mistyczny album. Próbujemy dosięgnąć czegoś potężnego, jakiejś ogromnej miłości, być może czegoś boskiego. To płyta o zmierzaniu w jakimś kierunku i o tym, gdzie się doszło. Tylko dzięki temu można podążać swoją drogą. To ja wymyśliłem tytuł. Wydaje mi się, że wszystko doskonale łączy. Każda piosenka jest jak krótki spot reklamowy uczuć, jak bardzo precyzyjna i sugestywna reklama myśli. Kiedy mówisz: „I love you", znaczy to już całkiem sporo. Ale kiedy to śpiewasz przy akompaniamencie mocnej perkusji i ostrej gitary, cały świat zaczyna cię kochać. Wtedy dopiero te słowa nabierają naprawdę ogromnej siły. Robienie muzyki jest marketingiem myśli. Dzięki niej możesz stać się tak atrakcyjny, smutny czy wyrafinowany, jak tylko zechcesz. Wszystko wydaje się wtedy większe. Gdybyśmy prowadzili tę rozmowę gdzieś w knajpie, moje słowa nie miałyby nawet w połowie takiej siły, jaką będą miały na antenie radiowej. Trudno mi przekonać mamę, że to, co piszą o mnie w gazetach, nie jest prawdą. Skoro bardziej chce wierzyć im niż swojemu synowi, znaczy to, że w słowie pisanym, jak i w całym świecie mediów, czai się potężna moc. Jednak największą siłę mają słowa w połączeniu z muzyką. Piosenka za piosenką, wszystkie razem to *Think Tank*.

...o podróży do Afryki

Przy tej płycie najbardziej zależało nam na poszukiwaniu nowych brzmień, rytmów i znaczeń. Dlatego wyjechaliśmy na miesiąc do Afryki. Chcieliśmy zrobić krok naprzód, a jednocześnie nie nudzić, bo akademizm w muzyce też nie jest atrakcyjny. Chcieliśmy trafić do wielu ludzi, chcieliśmy stworzyć coś naprawdę atrakcyjnego, ale zarazem oryginalnego, coś, czego jeszcze dotąd nie było. Afryka dała nam szansę całkowitej ucieczki od nudy i monotonii codziennego życia. Ucieczki od konieczności rozmyślania o tych wszystkich bzdurach, na które traci się tak dużo czasu, kiedy mieszka się w wielkim mieście. W Afryce wystarczy usiąść na dworze: słońce wschodzi, robi się gorąco, potem słońce zachodzi. Nagle okazuje się, że dzień jest naprawdę długi, kiedy nie ganiasz taksówką za jakimiś kretyńskimi sprawami, które zawsze dopadają cię w mieście. Chcieliśmy poczuć się wolni, wrócić do korzeni, uciec od tych wszystkich pseudohinduskich bzdetów i głęboko nabrać powietrza. Afryka była długą podróżą w przeszłość, cofnięciem się w czasie o jakieś 100 lat. Europa jest tak wysoko rozwiniętym kontynentem. Byliśmy wszędzie od Grenlandii po Nową Zelandię, ale to Afryka jest najbardziej egzotycznym miejscem, do którego dotarliśmy. Ludzie wierzą tam w zupełnie innych bogów, nie noszą butów... To magia, która pozwala ci lepiej usłyszeć muzykę. Czułem tę magię na pustyni.

Robienie muzyki jest marketingiem myśli. Dzięki niej możesz stać się tak atrakcyjny, smutny czy wyrafinowany, jak tylko zechcesz.

...o producentach

Pracowałem dużo z Benem Hillerem przy paru różnych okazjach w ciągu tej czteroletniej przerwy Blur. To on był producentem *Music Is My Radar* [premierowa piosenka, która ukazała się na płycie *The best*]. Po prostu dobrze się z nim pracowało. Ma dobre ucho do brzmienia i rytmu, a są to cechy, których szuka się u producenta. Na kolejnych etapach pracy nad *Think Tank* pojawiali się różni ludzie. W pewnym momencie dołączył Norman Cook [czyli Fatboy Slim] by dodać nam swojej energii. Norman pojawił się z całym mnóstwem energii, nowych gadżetów, instrumentów i wielkim uśmiechem na twarzy. Cały czas powtarzał: „zróbmy to, zróbmy tamto, zróbmy to inaczej...". Nie wiem, czy da się dokładnie określić, co sprawia, że jest się dobrym producentem. Norman miał dużo entuzjazmu, energii i znał kilka nowych sztuczek. Pojawił się w dobrym momencie, bo nagrywaliśmy już od dziewięciu miesięcy i bardzo przydało nam się jego świeże spojrzenie. Z kolei William Orbit jest specjalistą od brzmień. Jest prawdziwym studyjnym geniuszem, czasami szalonym. Pracowaliśmy nad *Think Tank* przez rok, a to w końcu dość długo, by zdążyć coś dobrze przemyśleć. Miło jest pracować bez świadomości, że trzeba coś skończyć na przykład do najbliższej Gwiazdki, pracować nad czymś przez jakiś czas, a później móc zrobić sobie przerwę i po trzech miesiącach na świeżo wszystkiego posłuchać. Nagraliśmy w sumie dwadzieścia pięć piosenek i czternaście najlepszych wykorzystaliśmy na płycie.

...o dzisiejszym świecie

Muzyka jest potężną magią. Może zmienić wszystko. Podoba mi się to, co robią zespoły The Datsuns i Electric 6. A gdyby ich zabrakło? Ktoś by się w końcu wkurzył i coś z tym zrobił. Tak się zresztą zazwyczaj dzieje... Nie wiem, jak wygląda scena muzyczna w Polsce, ale u nas mainstream od dawna wygląda jakby wszyscy sensowni ludzie pozamykali się w działach marketingu firm płytowych, zamiast zajmować się muzyką. Fryzury i ubrania stały się potwornie nudne. Zero rock'n'rolla, nikt z niczym nie walczy, wszyscy myślą tylko o kasie i sławie. Robi mi się od tego niedobrze.

...o poprzedniej płycie *13*, która jest dla Blur tym, czym *OK Computer* dla Radiohead

Ta płyta była krokiem naprzód. Niektóre piosenki pisaliśmy tak, jak się tworzy symfonie. I dlatego nie mają tej typowej struktury popowych piosenek: zwrotka, refren, zwrotka, refren, bo to przecież tak mało odkrywcza formuła. Bardziej zależy mi na szukaniu czegoś nowego niż tworzeniu muzyki podobnej do pizzy schodzącej z linii produkcyjnej w fabryce, gdzie trzeba użyć tych samych konkretnych składników: cukierkowego rytmu, topornego taniego basu, ładnego wokalisty, który będzie śpiewał teksty o miłości. W każdej chwili mogę napisać piosenkę, która z pewnością stanie się hitem w Belgii, bo tworzenie muzyki pop jest oparte na kilku regułach, których każdy może się nauczyć. Nie czułbym się może z tym najlepiej, ale małe dziewczynki byłyby zachwycone. Przecież muzyka ma bardzo duży potencjał. Za jej pomocą można zmienić nastrój całego narodu, tak jak miało to miejsce w latach 60. czy na chwilę w połowie lat 90., kiedy Wielka Brytania zmieniła się przez pojawienie się nowej muzyki, nowych rządów i nowych pomysłów. To stosunkowo tanie, ale skuteczne lekarstwo.

...o odejściu Grahama Coxona

Jego odejście było początkiem nowego etapu. Wydaje mi się, że kiedy nas opuścił, umocniliśmy się jako zespół, zaczęliśmy podążać w tym samym kierunku, a to przecież bardzo ważne. Na początku jednak było inaczej, wydawało nam się, że to koniec Blur. Gdy Graham odszedł, żaliłem się Bernardowi Sumnerowi z New Order, że nie wiem, co teraz robić, a on powiedział: „O co ci cho-

Fryzury i ubrania stały się potwornie nudne. Zero rock'n'rolla, nikt z niczym nie walczy, wszyscy myślą tylko o kasie i sławie. Robi mi się od tego niedobrze.

dzi? My straciliśmy wokalistę i jakoś się udało" [chodzi o Iana Curtisa, wokalistę Joy Division, z którego narodziło się New Order]. I to prawda. Przy założeniu, że zespół ma długo istnieć, takie sytuacje są przykre, ale nie da się ich uniknąć. Jeśli bez Grahama udało nam się nagrać lepszą płytę, to znaczy, że tak musi być. Graham chciał zrobić coś swojego, nie mam do niego o to żalu. Jest moim najlepszym przyjacielem i świetnym gitarzystą. Będzie nam go bardzo brakować. Ciężko go zastąpić, bo tak naprawdę, aby zagrać na żywo wszystkie partie Grahama, potrzeba przynajmniej pięciu osób: trzech wokalistów, gitarzysty i kogoś, kto by grał na przeszkadzajkach. Na razie Grahama zastąpiliśmy Simonem Tongiem. Ale zagra z nami tylko na trasie.


Od góry: Dave Rowntree, Alex James, Damon Albarn

...o czterech latach przerwy

Przez ten czas grałem w zespole heavymetalowym, pracowałem z księżniczką pop i orkiestrą, uczyłem się pilotować samoloty, sporo balangowałem i tak dalej. Czyli... to co zwykle. Tak naprawdę to nie miała być aż czteroletnia przerwa, ale wcześniej kariera wymagała od nas wciąż nowych wyrzeczeń. Działo się tyle różnych rzeczy, że dobrze było choć przez chwilę zająć się własnymi sprawami. Oczywiście jeszcze lepiej było się ponownie spotkać. Szczególnie że mamy coś nowego do powiedzenia. Jesteśmy zresztą zupełnie innymi ludźmi. Kiedy pracowaliśmy nad poprzednią płytą, *13*, wciąż jeszcze byliśmy dziećmi. To wspaniałe, że kiedy jest się w zespole, można być szesnastolatkiem aż do trzydziestki. Mnóstwo ludzi chce nadstawiać za ciebie karku. Ale kiedy masz trzydziechę, najwyższa pora stać się własnym tatą. Damon został ojcem i wydaje mi się, że wszyscy staliśmy się bardziej dorośli. Zaczęliśmy w końcu brać odpowiedzialność za to, co robimy. Do tej pory granie w Blur zawsze wiązało się z wieloma dwuznacznymi sytuacjami. To było dość hardcore'owe doświadczenie. Grając w znanym zespole rock'n'rollowym, zawsze dostajesz wszystko, czego tylko zapragniesz i ciągle chcesz więcej. Dlatego trzeba nauczyć się sobie z tym radzić, nauczyć kłaść się do łóżka, prowadzić normalne życie. Po prostu dorosnąć.

O miłości nie można pisać, kiedy jest się zakochanym.

...o kondycji rock'n'rolla

To już nie jest rock'n'roll. W muzyce podoba mi się najbardziej, że dzięki niej możesz zrozumieć swoje uczucia. Kiedy słyszysz tekst, który do ciebie przemawia, uodporniasz się na cały otaczający syf. Kiedy pracujemy nad płytą, nie słucham radia, bo to przeszkadza. Trzeba się odizolować od reszty świata, między innymi dlatego pojechaliśmy do Afryki. To musi wychodzić od ciebie. Nie możesz po prostu słuchać radia, przerabiać nowe modne kawałki i wypuszczać je pod swoim nazwiskiem. Tak robiliśmy kiedyś. To jest ta łatwa droga.

...o przyszłości

Z każdym rokiem musimy coraz więcej udowadniać. To tak jak z pieniędzmi: im więcej ich masz, tym więcej ich potrzebujesz. Im więcej osiągasz, tym wyżej stawiasz sobie poprzeczkę. Tak to już jest. Tym razem chcieliśmy, aby nasz muzyka dotarła do Marsa... Bóg jeden wie, co będziemy musieli zrobić przy następnej płycie, żeby to przebić. Trzeba zawsze wierzyć, że robisz wszystko, na co cię stać. Potrzebujesz sukcesu, aby twoje życie było udane. Ale nie da się żyć sukcesami przeszłości, a do tego wniosku bardzo szybko się dochodzi. Jedno zwycięstwo nie wystarcza na całe życie. Nie da się wciąż żyć jego wspomnieniem.

...o piosence *Out of time*

To smutna piosenka o miłości. Ale takie piosenki są najlepsze, bo o miłości nie można pisać, kiedy jest się zakochanym. Najlepiej o niej się pisze ze złamanym sercem.

Fot. oma - EMI

KUBA SIENKIEWICZ



O estradzie rozrywkowej

Korzystając z możliwości, jaką daje felieton, uzupełnię moje obserwacje estrady rozrywkowej, o której Marcin Meller pisał w Polityce, opierając się na zeznaniach różnych wykonawców.

Rzeczywiście koszty występu popularnych zespołów muzycznych są duże, bo poza samymi grającymi i śpiewającymi jest jeszcze menedżer, techniczni, kierowca, a wszystkich trzeba dowieźć i przenocować. Warto też zadbać o dźwięk. Po drodze zwykle jest jeszcze impresariat nie związany z danym wykonawcą, który też chce zarobić. Nie jest realne, aby wszyscy lubiani estradowcy, których uzbierało się przez lata na rynku muzyki popularnej, występowali na biletowanych recitalach. Udaje się to nielicznym, którzy akurat mają mocną nowość. Stąd estrada rozrywkowa skupia się przy festynach, hipermarketach i bankietach. Nieopłacalność jest tutaj przyczyną pierwotną. Nie uważam, że w grę wchodzi kwestia przyzwyczajenia ludzi do darmowych występów. Ona jest tylko skutkiem załamania się możliwości udanej sprzedaży recitali. Innym skutkiem oszczędności jest zjawisko korzystania przez znanych solistów z playbacku, uzupełnionego co najwyżej jednym muzykiem akompaniującym. Jest to konwencja zupełnie wystarczająca w warunkach festynu, ale uniemożliwia jakąkolwiek wariacyjność programu i bije w zarobki muzyków towarzyszących.

Społeczeństwo jest plastyczne i zarówno widownia, jak i wykonawcy dostosowali się do nowej rzeczywistości. Otwarte występy plenerowe zaczęły pełnić rolę normalnego recitalu. Odczuwa się nastrój wydarzenia artystycznego. Szczególnie dotyczy to sytuacji, kiedy na koniec festynu, w godzinach wieczornych, następuje oczekiwane pojawienie się tak zwanej gwiazdy. Wbrew pozorom, tego typu wykonania w wielu miastach i miasteczkach są naprawdę artystycznie udane. Wykonawcy mobilizują się i jednocześnie otwierają na widownię, co sprzyja ciekawym interpretacjom. Zgadzam się, że występy przy hipermarketach, a zwłaszcza w ich wnętrzu, pozostawiają niesmak i źle się wykonawcom kojarzą. Zdarza się jednak, ku ich zaskoczeniu, że jest sympatycznie, bo spora grupa widowni nie przypadkiem kibicuje ulubieńcom przez cały program i wtedy na koniec wszyscy mają poczucie dobrze wykonanej roboty. Występy charytatywne pod względem jakości są kategorią niejednorodną. Wiele zależy od widowni i od atmosfery. Eleganckie gale nie sprzyjają ciekawym wykonaniom. Wszyscy się męczą.

Po dłuższej przerwie zimowej niebawem znowu ruszą liczne występy plenerowe. Muzycy, którzy decydują się na taki rodzaj sceny, muszą wkalkulować przestoje w swoje ryzyko zawodowe. Samodzielni piosenkarze i autorzy mogą ten czas wykorzystać na występy w domach kultury, małych klubach i na nagrywanie nowego materiału. Jak Szanowni Czytelnicy widzą, nie chcę narzekać. Wolę, kiedy rynek zmusza do inwencji, a o popularności decyduje odbiorca, a nie komisja. Trzeba samemu dbać o swój wizerunek i o widownię. Zabiegać o występy. Czasem warto samemu zorganizować coś ciekawego, nawet za mniejsze honorarium. Rodzaj i zasięg widowni wynika z obrazu siebie kreowanego przez wykonawcę. Rodzaj widowni zależy od postawy wykonawcy i od spraw, w które się angażuje (reklamy, akcje społeczne i polityczne). Martwić się należy raczej o sytuację kultury wysokiej, wymagającej większego wsparcia. Niestety, mocniejsze jej dofinansowanie w wielu innych krajach jest wynikiem rzeczywistego na nią zapotrzebowania, a z tym mamy problem dość złożony, poczynając od braku klasy średniej. Ale to już inny tematrzeka.

Estrada rozrywkowa skupia się przy festynach, hipermarketach i bankietach. Nieopłacalność jest tutaj przyczyną pierwotną.

Wolę, kiedy rynek zmusza do inwencji, a o popularności decyduje odbiorca, a nie komisja. Trzeba samemu dbać o swój wizerunek i o widownię.

Fot. Universal

Wojna wymaga medialnej cenzury nie tylko od korespondentów w Bagdadzie.

ZAKAZANE PIOSENKI

Lipiec 1997. Dolny Śląsk. Słońce świeci, trawka rośnie, ptaszki ćwierkają... Niestety.

Błogie nasłonecznienie, godowe odgłosy ptactwa i wegetację zakłóciła powódź. I to jak! W Programie Miejskim Radia Wrocław (dziś radio RAM) trudno było pokonać wszechobecny chaos. Odcięci od świata prezenterzy nie mogli przyjść do pracy. Inni, którzy feralnego dnia akurat byli w pracy, nie mogli wrócić do domu i na kilka dni zamieszkali w rozgłośni. Zamiast bielizny osobistej, firmowe koszulki stacji... A tu jeszcze trzeba na antenie mówić coś wiążącego i na dodatek uważać, by nikogo nie obrazić ani słowem, ani muzyką. A zatem eter bez żartów i bez... wody.

Szef muzyczny natychmiast usunął z playlisty wszystkie utwory „potencjalnie niestosowne": *Flood* (Powódź) Jars Of Clay, *It's Raining Again* (Znowu pada) Supertramp, *Rain* (Deszcz) Madonny – to tylko kilka przykładów.



Sześć lat później w zupełnie innych okolicznościach geo-meteo-politycznych problem cenzury playlisty powrócił lotem bumerangu. I trafił w Brytyjczyków, bo ich żołnierze pojechali na wojnę w Iraku i ginęli. Radia komercyjne zaczęły grać zatem nieszkodliwe utwory, by słuchacz czuł się neutralnie, a reklamodawca nie przestraszył. Radiowcom w BBC zalecono, by przed i po dziennikach grali „lekkie, melodyjne piosenki", zwłaszcza jeżeli w wiadomościach pojawiała się informacja o stratach w ludziach.

Przekreślone na czerwono

Brytyjskie BBC Radio 1 usunęło z playlisty *Diamonds and Guns* (Diamenty i broń) punkowej grupy Transplants, *Bandages* (Bandaże) formacji Hot Hot Heat (Gorący gorąc – to już doprawdy „dmuchanie na zimne", bo treść utworu nie ma nic wspólnego z wojną). Londyńskie radio Capital zaleciło swoim dziennikarzom, by grali piosenki z pozytywnym, optymistycznym wydźwiękiem. Nawiasem mówiąc, nie różni się to specjalnie od obowiązującego na co dzień formatu stacji. Dużo większy wpływ miało Capital na stację Xfm, której jest właścicielem. Grające głównie rock alternatywny Xfm zmniejszyło ilość nadawanego przez siebie punku i nu-metalu.

Radio radiem, ale dzisiejsza wojna to przede wszystkim obrazy. Arcyostrożna stała się więc telewizja, w tym kanały muzyczne. MTV Europe wyprodukowała własną listę teledysków na cenzurowanym. Zalecenia szefów stacji mówiły o unikaniu obrazów przedstawiających „wojnę, żołnierzy, samoloty bojowe, bomby, pociski, zamieszki, niepokoje społeczne i egzekucje".

Bez kataklizmów

Dlatego na próżno podczas wojny wyczekiwać w MTV *I Don't Wanna Miss A Thing* zespołu Aerosmith, gdzie dominują katastroficzne sceny z filmu Armageddon. Menedżerowie stacji posunęli się tak daleko, że postanowili zdjąć z anteny wszystkie piosenki zespołu The B-52s! Formacja kręciła klipy raczej wesołe, obawy wbudziła jednak sama jej nazwa – symbol amerykańskiego bombowca. Co ciekawe, jest to aluzja jedynie pośrednia, nazwa grupy jest bowiem zaczerpnięta z amerykańskiego slangu, w którym B-52 to wybujała i napuszona fryzura; wielbicielkami takich koafiur były wokalistki zespołu, Kate Pierson i Cindy Wilson. W MTV wstrzymano emisję klipów *Boom* – System of a Down (antywojenne wideo przedstawiające możliwe ofiary w Iraku), *So Why So Sad* – Manic Street Preachers (ginący żołnierze), *Miss Sarajevo* – Passengers/U2 (broń, wybuchy), *Lucky* – Radiohead (tu już autentyczne sceny wojenne), *Hot In The City* – Billy Idol (eksplozja atomowa) i kilka innych.

Do chóru wrażliwych dołączyli też sami artyści. Madonna nie dopuściła do emisji teledysku *American Life*, gdzie ubrana jest w mundur wojskowy, a w kukłę prezydenta Busha leci granat. Paradoksalnie artystka twierdzi, że jest to klip... pokojowy. MTV zdecydowało się jednak na pokazywanie *The Grave* – antywojennego coveru piosenki Dona McLeana z czasów wojny wietnamskiej, wykonywanego przez George'a Michaela.

Prostest songami obrodził Internet: pacyfistyczne kompozycje umieścili na swoich stronach R.E.M., Beastie Boys, Lenny Kravitz (utwór nagrany z udziałem muzyków z Bliskiego Wschodu) czy Green Day. Międzynarodowa mieszanka artystów, od Paula McCartneya przez Davida Bowie do Avril Lavigne, przygotowała antywojenny album *Hope*. Dochód z jego sprzedaży zostanie przekazany dobroczynnej organizacji War Child, zajmującej się niwelowaniem skutków działań militarnych w Iraku, a zwłaszcza poprawą losu dotkniętych wojną dzieci.

Czy dzieci wojny zaczną się znów uśmiechać? Nielatwo to przewidzieć. Natomiast definitywny koniec działań wojennych poznamy po tym, że eksplozje na powrót przeniosą się z Iraku na ekrany MTV. I lepiej, żeby zostały tam na dłużej.

Rafał Motriuk, Londyn

Fot. Warner Music

Sharon Osbourne



Książę Ciemności i psie bobki

Dwie najbardziej zwariowane rodziny w historii telewizyjnej rozrywki to wiecznie pakujący się w tarapaty Simpsonowie i upiorna familia Addamsów: Rodzina Osbourne'ów, której życie świat poznał dzięki serialowi MTV, łączy w sobie najgorsze cechy obu wyżej wymienionych i ma nad nimi tę niewątpliwą przewagę, że jest prawdziwa.

Na pomysł sitcomu ze swoimi najbliższymi w roli głównej wpadła Sharon – bo któżby inny? – obserwując zabawne przekomarzania się męża z jednym z sąsiadów. Początkowo planowano, by Ozzy, Sharon, Kelly i Jack odgrywali zaaranżowane scenki, ale zaproszeni do domu Osbourne'ów scenarzyści szybko zrozumieli, że naturalny potencjał komediowy tkwiący w tej ekscentrycznej rodzince przewyższa najbardziej wymyślne dowcipy wychodzące spod piór profesjonalistów. Stanęło więc na tym, że kamery przez pięć miesięcy, po sześć dni w tygodniu i 24 godziny na dobę podglądały życie Osbourne'ów. Rewirem zakazanym były jedynie łazienki i sypialnie domowników.

Niby nic wielkiego. Widzimy jego dorastające dzieci – szesnastoletnią Kelly i młodszego o rok syna Jacka (najstarsza córka Sharon i Ozzy'ego – Aimee – nie chciała wziąć udziału w programie) – które mają dokładnie takie same problemy, jak wszystkie inne nastolatki. Widzimy jego energiczną żonę, której wszędzie pełno i która – co do tego nie ma żadnych wątpliwości – jest prawdziwą głową tej rodziny. Do tego sporo niewymuszonego humoru i cała masa słów powszechnie uważanych za wulgarne. Taka amerykańska, rockandrollowa wersja naszej *Wojny domowej*, przeznaczona raczej dla widzów dorosłych. Niby nic nowego, a cała Ameryka oszalała na punkcie *The Osbournes*. Ostatni odcinek pierwszej serii, wyemitowany w maju ubiegłego roku, obejrzało za oceanem siedem milionów widzów, co jest wynikiem – jak na telewizję kablową – oszałamiającym. O niezwykłej popularności sitcomu świadczy również fakt, że nad podobnymi serialami o swoim rodzinnym życiu pracują już ponoć m.in. Robbie Williams, Puff Daddy, rockowy wokalista David Lee Roth oraz Courtney Love. Doczekaliśmy się również polskiej wersji serialu, z liderem Ich Troje w roli głównej. Niestety, Michałowi Wiśniewskiemu – choć jest postacią niewątpliwie barwną – brakuje nie tylko charyzmy Ozzy'ego, ale również dystansu, z którym były wokalista Black Sabbath podchodzi do całego świata, z sobą samym włącznie.

Widzimy człowieka, który sam każe siebie nazywać „Księciem Pieprzonych Ciemności", człapiącego po domu w kapciach, przegrywającego nierówną walkę z pilotem od telewizora i załamującego ręce nad dywanem upstrzonym psimi bobkami.

Wartości rodzinne

„Emisja serialu całkowicie odmieniła nasze życie – przyznaje Sharon. – Ozzy zawsze był osobą publiczną, sprzedał miliony płyt, ale nigdy nie był pupilkiem mediów. Zawsze sami kupowaliśmy sobie ubrania, nikt nie dał nam nigdy niczego za darmo. A teraz? Mój Boże, ludzie naprawdę sławni w ogóle nie muszą wydawać pieniędzy. Wielkie firmy przywożą nam do domu ciuchy i telefony komórkowe, a kiedy chcemy zapłacić za obiad w restauracji, kelner wygląda na naprawdę zdziwionego. Nie zdawałam sobie sprawy, jaką siłę ma telewizja. To jednak nie potrwa wiecznie. Wiem, że ludzie, którzy teraz zaczepiają mnie na ulicy i mówią: »Kocham twoją



Mężowie swoich żon



Yoko Ono

Od 1968 roku muza i towarzyszka życia Johna Lennona. Awangardowa japońska artystka parająca się muzyką, sztukami plastycznym, filmem i słowem pisanym. Znawcy tematu twierdzą, że jest co najmniej dobra w tym, co robi, ale przyszłe pokolenia i tak pamiętać ją będą jako żmiję, przez którą rozpadło się The Beatles. Z Johnem nie tylko dzieliła łoże, ale nagrywała płyty, w tym słynne/niesławne *Two Virgins* i *Wedding Album*. Po jego śmierci nagrywa sama, skutecznie dowodząc, że jej żywiołem jest raczej obraz niż dźwięk.



Linda McCartney

Żona drugiego najważniejszego Beatlesa, Amerykanka, podobnie jak wiadoma Japonka także obwiniana za rozpad Wielkiej Czwórki. Chociaż rozwódka i z dzieckiem, wniosła w życie Paula pakiet niekwestionowanych „wartości rodzinnych". Zaczęło się życie na farmie, przyszło na świat liczne potomstwo. Niestety, Linda – której Paul dedykował większość twórczości – zaczęła śpiewać w zespole męża (Wings) i grać na instrumentach klawiszowych. Małżeństwo państwa McCartney skomentował kiedyś przyjaciel domu, Mick Jagger z The Rolling Stones: „Nie pozwoliłbym mojej starej siąść przy pianinie".



Tina Turner

Jako siedemnastolatka trafiła do zespołu Ike'a Turnera. Na scenie stanowili parę niemal doskonałą (czego dowodem choćby *Proud Mary* i *Natbush City Limits*), ale w życiu prywatnym małżonek zafundował jej drogę przez piekło. Bił i więził żonę, więc w końcu go zostawiła, uciekając z 36 centami w kieszeni. Buddyzm, nowy menedżer i ciężka praca – oto czemu zawdzięcza powrót na scenę. Zapewne nie przeszkodziły jej w tym niewiarygodnie długie nogi i wspaniały głos. Ike przez dwie dekady zmagał się z narkotykowym nałogiem i amerykańskim systemem penitencjarnym, aż w 2001 roku przypomniał o sobie płytą *Here And Now*, nominowaną do nagrody Grammy.



Cher

Została gwiazdą, gdy w duecie z mężem – Sonnym Bono – zaśpiewała *I Got You Babe*. Sukces nie służył jednak ich pożyciu, więc w 1973 roku doszło do rozwodu, a rok później stacja CBS wyemitowała ostatni odcinek popularnego programu Sonny And Bono Comedy Hour. Równie szybko zakończyło się jej małżeństwo z Greggiem Allmanem, z którym zdążyła nagrać płytę *Allman and Woman: Two the Hard Way*. Najlepiej jednak wychodzi jej solo, co udowodniła zarówno jako wokalistka (Grammy za *Believe*), jak i aktorka (Oscar za *Wpływ księżyca*). Od kilku miesięcy jeździ po Stanach Zjednoczonych z pożegnalną (!) trasą koncertową, która potrwa zapewne do końca b.r.





rodzinę«, za rok powiedzą »Twoja rodzina jest taka nudna«".

Po nakręceniu pierwszych dziesięciu odcinków serialu Ozzy zarzekał się, że nigdy więcej nie wpuści do domu ekipy telewizyjnej. Zmienił zdanie, gdy MTV zaproponowało 20 milionów dolarów za prawo do trzech kolejnych serii. W Hollywood już trwają przymiarki do wysokobudżetowego filmu o życiu Ozzy'ego (z Johnnym Deppem w roli głównej), a firma wydawnicza Simon & Schuster w zamian za czek z sześciocyfrową sumą (mówi się, że chodzi o trzy miliony dolarów!) przygotowuje dwie książki o Osbourne'ach. Pierwsza z nich będzie ściśle powiązana z emitowanym przez MTV serialem, druga ma być zbiorowym pamiętnikiem rodziny. A jeśli ktoś przegapił emisję serialu i jego liczne powtórki, może nadrobić zaległości, zaopatrując się w komplet odcinków *The Osbournes* na DVD lub VHS.

Ludzie naprawdę sławni w ogóle nie muszą wydawać pieniędzy. Wielkie firmy przywożą nam do domu ciuchy i telefony komórkowe, a kiedy chcemy zapłacić za obiad w restauracji, kelner wygląda na naprawdę zdziwionego.

Kelly Osbourne, choć nadmiarem talentu wokalnego nie grzeszy, wydała w listopadzie ubiegłego roku debiutancką płytę zatytułowaną *Shut Up*, a wciąż niepełnoletni Jack rozkręca własną wytwórnię płytową.

No i są jeszcze honory, których nie sposób przeliczyć na pieniądze. W maju ubiegłego roku Ozzy i Sharon gościli na uroczystym obiedzie w Białym Domu. George W. Bush zaprosił Osbourne'ów, rzekomo ujęty propagowanymi przez nich „wartościami rodzinnymi". Sielanka.

Bizneswoman, czyli suka

Nie wszyscy jednak kochają Sharon. Skuteczny menedżer musi mieć w sobie coś z drania, a Sharon należy do najbardziej skutecznych w branży. Mówią, że do celu dąży po trupach. Nic dziwnego, skoro stosuje metody podpatrzone u ojca.

„Nie jestem matką Teresą, jestem żoną Ozzy'ego Osbourne'a" – mówi z szelmowskim uśmiechem.

Nienawidzą jej fani Black Sabbath. Oskarżają ją o torpedowanie planów reaktywacji zespołu w oryginalnym składzie. Po emisji serialu *Rodzina Osbourne'ów* mają jej dodatkowo za złe, że zniszczyła legendę Ozzy'ego i zrobiła z niego klauna. Sporo w tym racji – Książę Ciemności, który nie potrafi znaleźć lodówki i zmienić kanału w telewizorze, przestaje być straszny.

Nienawidzą jej również muzycy Black Sabbath, szczególnie Tony Iommi, lider formacji. Plotka głosi, że zaprosiła go kiedyś na obiad do luksusowej restauracji i nie przyszła. Pojawił się natomiast posłaniec, który wręczył zaskoczonemu gitarzyście prezent od Sharon. Piękne pudełko, zawierające jej... kał.

Nienawidzą jej byli podopieczni, przeważnie z wzajemnością. Kiedy w styczniu 2000 roku zrezygnowała z prowadzenia interesów Smashing Pumpkins, ogłosiła publicznie, że robi to z powodów zdrowotnych. „Billy Corgan przyprawiał mnie o mdłości" powiedziała dziennikarzom.

Jeśli wierzyć temu, co było widać w *Rodzinie Osbourne'ów*, nie znoszą jej również sąsiedzi. Cóż, trudno kochać kogoś, kto wrzuca ci do ogrodu szynkę, krzycząc: „Oto jak wygląda dupa twojej żony!".

Nienawidzą i chyba boją się jej wszyscy, którzy choć raz weszli jej w drogę. Jak ten nowojorski promotor, którego kopnęła w pachwinę, bo nie chciał zapłacić za koncert. Jak ludzie z firmy, która produkowała



pirackie koszulki z wizerunkiem Ozzy'ego – wściekła Sharon wpadła do ich biura i zdemolowała stojące tam komputery.

„Gdybym była mężczyzną, postrzegano by mnie jako wspaniałego twardziela, dobrego biznesmena. Ale że jestem kobietą, faceci mówią: »Och, to dopiero suka, kurwa, dziwka«. A przecież robię dokładnie to samo, co oni. Poza tym, pracuję z mężem i jak każda kobieta zrobię wszystko, by chronić swoją rodzinę" – tłumaczyła się niedawno w wywiadzie dla The Guardian.

Trochę radości

W pierwszych dniach czerwca 2002 roku Sharon Osbourne trafiła do szpitala. Diagnoza brzmiała – rak okrężnicy, najdłuższego odcinka jelita grubego. Uleczalna forma raka – powtórzyły media, uspokojone oświadczeniem rzeczniczki prasowej Osbourne'ów. Niestety, choć zabieg usunięcia zaatakowanej przez chorobę tkanki powiódł się, badania histopatologiczne wykazały, że nowotwór zaatakował węzły chłonne i istnieje ryzyko przerzutów.

Plotka głosi, że zaprosiła Tommy'ego na obiad do luksusowej restauracji i nie przyszła. Pojawił się natomiast posłaniec, który wręczył zaskoczonemu gitarzyście prezent od Sharon. Piękne pudełko, zawierające jej... kał.

„Człowiek myśli, że nic mu się nie może stać, że jest niezwyciężony. Potem, kiedy minie szok i pierwszy atak paniki, zdajesz sobie sprawę, jak wielkim szczęściem jest życie" – powiedziała Sharon kilka dni po operacji w wywiadzie dla People. Jej spokoju nie podzielał Ozzy, który odwołał wszystkie letnie koncerty i nie odstępował na krok chorej żony.

„Zawsze myślałem, że zachoruję i umrę przed nią. Niestety, mój plan może się nie powieść... Życie zawsze znajdzie sposób, by kopnąć cię w jaja" – żyżmał się wokalista.

Opiekujący się panią Osbourne lekarze zalecili trzymiesięczną chemioterapię.

„Chciałabym puścić muzykę, przedstawić się i zachęcić wszystkich do wspólnego odśpiewania kilku piosenek. Może wniesiemy trochę radości w to miejsce" – oto jak Sharon wyobrażała sobie kurację tuż przed jej rozpoczęciem. Zamierzała zaprosić do kliniki ekipę MTV i tam nakręcić kolejne odcinki *Rodziny Osbourne'ów*. Bez przekłamań i upiększeń. Chciała mieć serial skrojony według scenariusza, który napisało życie.

Dość?

Ale życie lubi płatać figle. Sukces serialu, chorobliwe zainteresowanie ze strony mediów i fanów, nowotwór Sharon – to zbyt dużo nawet dla Osbourne'ów. Ozzy znów zaczął zaglądać do kieliszka, a co gorsza w jego ślady poszła osiemnastoletnia Kelly. Zaniepokojeni rodzice straszyli córkę kliniką odwykową, ta z kolei odgrażała się, że nie weźmie udziału w kolejnych odcinkach *The Osbournes*. W końcu nerwy puściły nawet żelaznej Sharon.

„Zostaliśmy pozbawieni prywatności. Ja nie mogę się wyrzygać, a Ozzy upić w samotności" – skarżyła się w wywiadzie dla telewizji ABC. „Gdybym mogła cofnąć czas, nie zdecydowałabym się ponownie na kręcenie tego serialu. Nie daję już rady. Jeszcze tylko dziesięć odcinków i wycofuję się."

Kilka dni po emisji wywiadu zmieniła jednak zdanie i obiecała, że powstanie jeszcze co najmniej 20 odcinków *The Osbournes*, zgodnie z kontraktem podpisanym ze stacją. „Kocham moją MTV" – oświadczyła.

Jarosław Szubrycht



Bianca Jagger

Paryska prostytutka. Naga prawda o jej przeszłości wyszła na jaw jeszcze przed ślubem, ale Mickowi zupełnie to nie przeszkadzało. Była ubogą Nikaraguanką, ale w Europie pozowała na egzotyczną arystokratkę. Jagger złapał się łatwo i chętnie na tą egzotykę i na fantastyczny seks, który – zważywszy na staż i doświadczenia Stonesa – musiał być niebiański (lub piekielnie dobry). Komentatorzy zwrócili uwagę na fizyczne podobieństwo pary (szerokie usta). Bianca skomentowała: „Mick ożenił się ze mną, żeby mu się zdawało, że kocha się ze sobą". Nie brakowało jej inteligencji, a jako żona objawiła silny, rywalizacyjny charakter. Powiedziała po rozwodzie: „Nigdy nie byłam panią Jaggerową, zawsze Bianką Jagger".



Courtney Love

Wulgarna, głośna, agresywna. Trudną ją lubić, znacznie łatwiej oskarżać o to, że zniszczyła Nirvanę, a męża doprowadziła do samobójczej śmierci. I chociaż te rewelacje nie znajdują potwierdzenia w opublikowanych niedawno dziennikach Kurta Cobaina, jego fani i tak wiedzą swoje. Uwikłana w batalię prawną z wytwórnią, Love zmuszona była w ubiegłym roku rozwiązać dowodzony przez nią zespół Hole i od tego czasu pozostaje bez kontraktu. Za to coraz lepiej radzi sobie przed kamerą (vide: *Skandalista Larry Flynt Formana*), obsadzana głównie w rolach charakterystycznych. Ostatnio wcieliła się w lady Makbet.

Fot. Archiwum, Agencja Piękna, MTV



SIMPLY RED

Kilka tygodni temu ukazał się nowy album Simply Red – *Home*. Mick Hacknall, rudowłosy wokalista zespołu, opowiada nam o płycie, wytwórni założonej specjalnie dla jej wydania i swoim oddaniu Manchesterowi United.

Zatytułowałeś nową płytę *Home*, ponieważ...
... osiem z jedenastu zamieszczonych na niej piosenek powstało u mnie w domu. To chyba wystarczający powód, by zdecydować się na taki tytuł.

No i nagrywałeś ją w domu. Masz studio?
Tak. Mój dom stoi pod Londynem. Już wcześniej było tam studio, które przekształciłem w – jak to nazywam – salę sportową. Miałem tam pełno koszulek piłkarskich, stół bilardowy, gry wideo i tak dalej. A na potrzeby *Home* znowu musieliśmy wnieść tam sprzęt nagraniowy i instrumenty, ustawiliśmy perkusję... To było jak nagrywanie płyty w latach 60. albo 70. Byłem bardzo zadowolony. Wszystko można zmiksować później, więc wcale nie musi brzmieć staroświecko, a w ten sposób zwiększa się liczba możliwych rozwiązań. Wspaniałe jest również to, że na koncercie zespół brzmi tak samo, jak na albumie, bo chociaż płytę nagrywaliśmy w studio, to graliśmy na żywo. Myślę więc, że na koncertach publiczność może być zaskoczona, że nasze piosenki brzmią prawie tak, jak w wersji studyjnej.

A może Simply Red to po prostu rasowy zespół koncertowy?
Też tak myślę. Zresztą zawsze mieliśmy reputację zespołu, który świetnie wypada na koncertach. Cieszę się już na nową trasę, bo wydaliśmy naprawdę niezły album, a gdy fani usłyszą go na żywo, jeszcze bardziej przypadnie im do gustu. Tak było na niedawnym koncercie.

Jak poszło, przecież Simply Red miało trzy lata przerwy w graniu na żywo?
Z ulgą stwierdziłem, że nasz pierwszy koncert po przerwie był naprawdę udany.

Dopadła cię trema?
Nie nazwałbym tego tremą... Byłem tylko ciekaw, jak sprawdzi się mój głos – czy przypadkiem nie sprawi mi zawodu. Po trzech latach przerwy w śpiewaniu mogą zdarzyć się różne rzeczy, ale wszystko poszło jak po maśle.

Wolisz bardziej koncerty klubowe czy też te zagrane w małych salach?
Wolę grać w większych salach, bo wtedy mam większą swobodę ruchów i więcej tlenu do oddychania, dzięki czemu śpiewanie jest łatwiejsze. Lubię też liczną publiczność. No, może nie stadiony, ale sale na pięć, dziewięć tysięcy miejsc. Uwielbiam słyszeć, jak tłum śpiewa i angażuje się w koncert. Mniejsze sale też są fajne – panuje tam atmosfera intymności, a publiczność czuje się jak grono wybrańców. Ale wolę większe obiekty. W ogóle lubię dzielić się muzyką z innymi ludźmi. Najwięcej energii daje mi myśl, że przy moich piosenkach ktoś się zakochał, ożenił albo począł potomka. To daje mi najwięcej satysfakcji.

Wróćmy do *Home*. Czy tę płytę różni coś od innych krążków Simply Red?
Po raz pierwszy płytę wydaliśmy w małej firmie. I dlatego odnoszę wrażenie, że jest to mój debiut płytowy. Pracowaliśmy nad tym materiałem tak, jak nad naszymi trzema pierwszymi albumami. Ostatnią płytą nagraną w ten sposób był krążek *A New Flame* z 1989 roku.

Mówisz o założonej przez was wytwórni Simplyred.com?
Tak. Dwa lata przed upłynięciem terminu mojego kontraktu płytowego odbyłem rozmowę z managementem. Zastanawialiśmy się, co powinniśmy zrobić, gdy skończy się nam umowa, czy szukać innej dużej wytwórni, czy może stworzyć małą, ale własną

Restaurator i producent wina



firmę. Opowiedziałem się za drugim rozwiązaniem, które w końcu wprowadziliśmy w życie. Jeżeli nam się powiedzie, uznam to za swoje wielkie osiągnięcie.

Widzę, że stajesz się biznesmenem. Jesteś przecież też udziałowcem sieci włoskich restauracji.
Nazywają się Manray. Oprócz mnie maczają w tym palce Sean Penn, Johnny Depp, John Malkovich i paru innych ludzi. Mamy restauracje w Paryżu, Nowym Jorku, a niedługo otworzymy nowy lokal w Las Vegas. Spiknął nas wszystkich ze sobą wspólny przyjaciel i w gruncie rzeczy weszliśmy w ten biznes właśnie dla niego.



Jesteś również producentem wina. Można je gdzieś kupić?
Nie jest to przedsięwzięcie nastawione na zysk. Nie jest tego dużo, obecnie produkujemy około pięciu tysięcy butelek. Większość zachowamy dla siebie i sami wypijamy. Wszystko zaczęło się od śmierci ojca mojego przyjaciela. Postanowiliśmy, że upamiętnimy jego osobę właśnie w ten sposób.

W ostatnim czasie znów modna staje się muzyka z lat 80. Cieszysz się?
Jest mi to obojętne. Ukazuje się teraz wiele płyt składankowych z muzyką lat 80., z nagraniami Duran Duran, Spandau Ballet i innych zespołów. Być może się mylę, ale my tam jakoś nie pasujemy. Wystartowaliśmy w latach 80., ale największe sukcesy święciliśmy w latach 90. Teraz wchodzimy w kolejne dziesięciolecie i oby również tym razem nam się powiodło.

Z tego wynika, że muzyka Simply Red jest ponadczasowa. A propos, kogo zaliczyłbyś do tego grona?
Muzyka ponadczasowa to taka, która ma długi termin przydatności do spożycia. Moje ulubione płyty zarejestrowano w skromnych warunkach domowych – tak nagrywali swoje albumy Beatlesi, Rolling Stonesi, Led Zeppelin, Jimi Hendrix, Marvin Gaye, Miles Davis, Aretha Franklin, Otis Reading czy Al Green. Muzyka przeniesiona na taśmę w ten sposób – nawet jeśli było to czterdzieści lat temu – pozostaje autentyczna i ponadczasowa. Dlatego nasze nowe nagrania dokonane zostały tak, jak nagrywaliśmy materiał na trzy pierwsze płyty, które prawdopodobnie stanowią nasze najlepsze osiągnięcia artystyczne. W szczególności mam tu na myśli *A New Flame* i *Picture Book*. Myślę, że piosenki z tamtych lat ciągle brzmią nowocześnie. Może też dlatego, że nie mieliśmy image'u typowego dla lat 80. Chociaż... kiedy oglądam nasze najstarsze klipy, mówię sobie: „Mój Boże! Kto mi zrobił taką fryzurę?" Zabawne.

Ale z najnowszego teledysku pewnie jesteś zadowolony. Kręciliście w Brazylii, otaczały cię piękne kobiety....
Każdy facet lubi, jak otaczają go piękne kobiety, a te były naprawdę przeurocze. Poza tym Brazylia to cudny kraj. Dom, w którym odbywały się zdjęcia, otoczony był dżunglą, wszędzie było zielono, a do tego pląsały te śliczne panny. W klipie gram człowieka obleganego przez te dziewczątka, ale ja ich wcale nie dostrzegam, bo myślę o kobiecie, którą kocham. Jedna dziewczyna wpatruje się we mnie uporczywie i to niby ona jest moją prawdziwą miłością, ale nie widzę jej, ponieważ ukrywa się przed moim wzrokiem. Mimo że nie jest to najwspanialszy teledysk na świecie, myślę, że może się podobać. No i samo kręcenie było bardzo przyjemne.

Jesteś częstym gościem na stadionie Manchester United – Old Traford. Jesteś fanem tej drużyny?
Kocham każdy futbol w dobrym wydaniu. Jednym z piłkarzy wszech czasów jest dla mnie Franz Beckenbauer. On jest po prostu bogiem piłki nożnej. Zdobył tytuł mistrza świata jako zawodnik, a potem też w roli trenera, wygrał Ligę Mistrzów jako menedżer – więcej chyba osiągnąć w tym sporcie nie można. W Anglii kibicuję Manchester United, ale gdy Manchester City gra na przykład z Arsenalem, to trzymam za nich kciuki. Popieram obydwa teamy z Manchesteru, bo pochodzę z tego miasta, ale niestety niektórzy kibice Manchester City nienawidzą Manchester United. Uważam, że to niezbyt mądre, ponieważ obydwie drużyny reprezentują nasze miasto i powinniśmy cieszyć się z sukcesów każdej z nich.

Często chodzisz na mecze swoich ulubieńców?
Staram się w miarę możliwości, ale mam napięty harmonogram zajęć. Miałem zamiar wybrać się na mecz Manchesteru z Juventusem w Lidze Mistrzów i niestety nic z tego nie wyszło, bo mój management chciał, żebym wystąpił wtedy we włoskiej telewizji. Pozostała mi tylko retransmisja.

Może warto pomyśleć o zmianie managementu?
Nie. Oni odwalają kawał solidnej roboty. Gdyby nie oni, nie doszłoby przecież do tej rozmowy.

W ostatnich latach największym sukcesem Manchesteru United było wygranie w 1999 roku Ligi Mistrzów. Pojechałeś na zwycięski, lecz niesłychanie dramatyczny mecz finałowy z Bayernem Monachium?
Nie i mam czego żałować. Menedżer Manchesteru, Alex Ferguson, z którym jestem zaprzyjaźniony, załatwił dla mnie miejsce tuż za ławką rezerwowych. Ale nie mogłem znaleźć hotelu w Barcelonie, bo za późno się tym zająłem. Mogłem wprawdzie się tam wybrać i spędzić noc na plaży, ale postanowiłem zrobić imprezę u siebie w domu. Z początku było dość smutno, bo wyglądało na to, że Niemcy wygrają, no a potem – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – wszystko się odmieniło. Zresztą niewiele z tego pamiętam, bo byłem zalany w pestkę.

Tegoroczny finał Ligi Mistrzów odbędzie się na Old Trafford. Niestety bez Manchesteru...
Myślałem, że zagrają z Realem Madryt, ale niestety spotkali się z nimi już w ćwierćfinale. W drużynie Realu jest teraz wielu rewelacyjnych piłkarzy. Chyba nikt im nie podoła. Wiadomo: Zidane, Figo, Roberto Carlos...

No i Ronaldo?
Właśnie! Zapomniałem o Ronaldo. W tym składzie mogliby zdobyć tytuł mistrza świata. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby nie doszli do finału. Pokonanie Realu przez jakąkolwiek drużynę będzie jednak graniczyło z cudem.

Rozmawiał Mark Skowronsky

Fot. Universal Music

NOWOJORSKA DEPRESJA

Mają po dwadzieścia kilka lat, są wykształceni, zdolni, przystojni i bardzo stylowi. Mieszkają w Nowym Jorku, ale grają, jakby dorastali w latach 70. w Manchesterze. To już nie The Strokes są obecnie najlepszym nowojorskim zespołem, ale właśnie Interpol.

Oprócz Nowego Jorku, modnych garniturów i fryzur niewiele mają wspólnego z The Strokes. Magazyn Rolling Stone w tekście o nowej rockowej rewolucji określił Interpol (wraz z zespołem The Walkmen) jako „anomalie". To nie jest kolejna grupa, której nazwę można wymieniać obok The Hives, The Vines czy White Stripes.

Wszystko zaczęło się na nowojorskim uniwersytecie w 1998 roku. Daniel Kessler wraz z perkusistą Gregiem od dłuższego czasu próbował sformować zespół. Podczas zajęć z historii Daniel zachwycił się słynnymi już martensami Carlosa Denglera. Ów student literatury i filozofii, który muzyką zajmował się wcześniej, okazał się odpowiednim kandydatem. Kolejną osobą, którą Daniel zaprosił do współpracy, był poznany podczas studiów w Paryżu wokalista i gitarzysta Paul Banks. Kiedy skład był już ustalony, z zespołu nieoczekiwanie odszedł perkusista, zastąpił go dawny znajomy Daniela, Samuel Fogarino. Jest rok 2000 – zespół Interpol w składzie: Paul Banks, Daniel Kessler, Carlos Dengler i Samuel Fogarino rozpoczyna działalność. Ich kompletnie niemodna muzyka nie mogła znaleźć miejsca na nowojorskiej scenie. Nie grali krótkich, prostych gitarowych piosenek jak The Strokes, których Nowy Jork zdążył pokochać. Melodie nie były chwytliwe, a teksty zbyt poważne, zbyt smutne, skomplikowane i niepokojące. To, czego nie doceniła Ameryka, podbiło serca brytyjskie. To właśnie w Wielkiej Brytanii historia zespołu Interpol zaczyna się naprawdę.

Pierwszy singiel został wydany w serii Fuk ID przez Chemikal Underground, szkocką wytwórnię założoną przez muzyków Delgados. Alun Woodward i Emma Pollock zachwycili się oryginalnym brzmieniem nowojorczyków i to z nimi zespół Interpol zagrał wspólne koncerty w Europie. Pomocny okazał się także John Peel, a wizyta w BBC Radio One sprawiła, że o zespole zrobiło się głośno. Kiedy pokochała ich Wielka Brytania, przyszedł czas na Amerykę. Po koncertach w Europie wrócili do Stanów i w kwietniu 2002 podpisali kontrakt z firmą Matador.



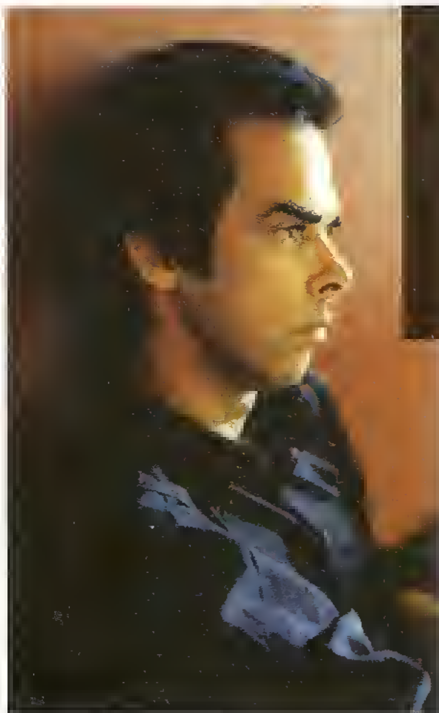
Album *Turn On The Bright Lights* ukazał się w sierpniu, a zespół został okrzyknięty nowojorskim wydarzeniem roku. Płyta zajęła dziesiąte miejsce w posumowaniu roku 2002 w tygodniku NME i trzydzieste siódme w The Face. Magazyny muzyczne jednym tchem wymieniały kolejne zespoły i artystów, do których Interpol nawiązuje; obok Joy Division, The Cure i The Smiths, najczęściej pojawiały się Echo And The Bunnyman, Elvis Costello, Bauhaus, czy Ride, Chapterhouse, Radiohead, a nawet Leaves. NME określiło ich jako zagubione ogniwo łańcuszka pomiędzy... Mogwai a The Cure.

Twórczość zespołu Interpol wymyka się prostym definicjom, można mnożyć porównania i określenia w stylu American Brit Pop, nie dotykając istoty dokonań grupy. Tę muzykę przepełniają emocje i głęboka świadomość, a obezwładniający, liryczny, czasem przerażająco zimny śpiew Paula Banksa podkreśla je. To nie jest brzmienie XXI wieku. I jednocześnie nie jest to kopia Joy Division. Nie naśladownictwo, ale raczej w twórczy sposób wykorzystana inspiracja. Ian Curtis z pewnością polubiłby tę płytę. Połączenie nowojorskiej atmosfery i brytyjskich fascynacji sprawia, że w muzyce grupy Interpol jest tyle świeżości i – mimo tych natarczywie powracających (czasem trudnych do zanegowania) porównań – oryginalności.

Kto by się spodziewał, że tak mroczna, klaustrofobiczna, depresyjna i przepełniona smutkiem muzyka spotka się z ogromnym zainteresowaniem? Wielka Brytania znalazła następcę Iana Curtisa. A Nowy Jork? Może po prostu nowojorczycy są zmęczeni, a Interpol – w przepiękny sposób – daje temu wyraz?

Maria Pachnicka

Fot. Matador Rec



KOLCZATKA AUSTRALIJSKA

Nick Cave wydal niedawno jedną z najlepszych plyt w swoim dorobku – Nocturama. Teraz odbywa trasę koncertową po Europie. Przypominamy sylwetkę artysty pod wrażeniem występu w Berlinie.

Chłopaki z sąsiedztwa

Nicolas Edward Cave urodził się 22 września 1957 roku w małym australijskim miasteczku niedaleko Melbourne. W szkole podstawowej wstąpił do chóru katedralnego. Dorastał w atmosferze przepełnionej religią. Szybko jednak pod wpływem starszego brata został buntownikiem; opuszczał lekcje, wdawał się w bijatyki. Z drugiej zaś strony interesował się literaturą i historią sztuki. Początkowo pragnął zostać malarzem. Przyjaciele z lat szkoły średniej – m.in. Mick Harvey – określali go jako ekstrawertyka.

„Całe życie czaiłem się na peryferiach i obserwowałem nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, niepowodzenia i druzgocące klęski, które były udziałem ludzi z mojego dominium. Byłem „Podglądaczem Pana". Przez wszystkie swoje dni służyłem jako donosiciel – podstawiony na teren wroga; gromadziłem wszelkie informacje, które udawało mi się zdobyć patrząc, słuchając lub węsząc".

W okolicach 1976 Nick i paru kolegów ze szkoły założyli swój pierwszy zespól – The Boys Next Door. Trzy lata później ukazał się jedyny album zespołu *Door, Door*. Z powodu wielu zatargów z organizatorami koncertów, bójek z publicznością, problemów z alkoholem i policją, chłopcy zdecydowali się wyemigrować z rodzimej Australii. Oczywiście – do Londynu.

Kilkanaście lat później, na konferencji prasowej w Polsce, Nick tak wspominał miasto, w którym mieszkał: „Londyn to dziwne miasto. Właściwie nic się tam nie dzieje. Miejscem, które znam najlepiej i w którym czuję się najbardziej komfortowo jest Melbourne. Boli mnie to, że australijska muzyka jest tyranizowana przez wpływy z Anglii i Stanów. Nie cierpię australijskiego rock'n'rolla, bo tym wpływom ulega. Wierzcie mi, w Australii jest cała masa interesujących zespołów, tyle tylko że nikt ich nie wspiera. Pomoc i promocję ma wszystko to, co brzmi angielsko i amerykańsko, a to zwykły chłam".

Urodzinowe przyjęcie

„To bardzo szczęśliwy dzień/ Mnóstwo zabawy/ Są lody, galaretka i poncz w brzuchu/ Ile można zostawić na ścianie?...".

W 1980 roku Chłopcy z Sąsiedztwa zmienili nazwę na The Birthday Party.



Zmieniło się także podejście do aranżacji – utwory stały się bardziej dojrzałe, a za sprawą Rowlanda Howarda gitary przestały wydawać z siebie tylko jazgot. Po podpisaniu kontraktu z wytwórnią 4AD zespół rozpoczął międzynarodową karierę. Razem z nią przyszedł alkohol, narkotyki i inne rozrywki: Jak twierdzą członkowie grupy, pomagało im to w stworzeniu autoparodii, wykrzywionej wizji rocka, swoistego potwora.

Ale Nick zaczął się coraz bardziej interesować country, bluesem i piosenką lat sześćdziesiątych. Dużo także podróżował. Na chwilę przeprowadził się do ówczesnego „miasta wolności" – Berlina Zachodniego. Tam nawiązał współpracę z zespołem Die Haut oraz spotkał Blixę Bargelda, charyzmatycznego lidera Einsturzende Neubauten. Dla Nicka był to wtedy najgłośniejszy i najbardziej agresywny gitarzysta, jakiego kiedykolwiek słyszał. I to właśnie Blixa wkrótce stał się głównym współpracownikiem nowego zespołu Cave'a.

Nick zwerbował do niego starych przyjaciół – Micka Harvey'a, Blixę właśnie, Jimma „Foetusa" Thrilwella (mistrz industrialu, też Australijczyk) oraz Barry'ego Adamsona. W 1984 roku ukazał się pierwszy solowy album Cave'a – *From Her To Eternity*. Utwór tytułowy został wykorzystany w filmie Wima Wendersa *Niebo nad Berlinem*.

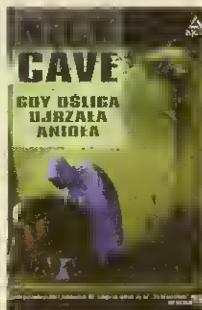
Złe nasiona – dobry plon

Zespół ponownie obudził się do życia, wydając w '88 genialny *Tender Prey*. To pierwszy bardzo spójny album Cave'a. Tematyka utworów oscyluje wokół religii i miłości (tak będzie zresztą już potem zawsze). Recenzje były znowu pochlebne – kajali się dziennikarze, którzy dotychczas wypowiadali się o Nicku niepochlebnie. Doceniono perfekcyjne zestawienie wyglądu (image na lata 50.), charyzmy i muzycznych umiejętności członków zespołu. Bo to jedyny chyba zespół złożony z samych indywidualności artystycznych, a jednocześnie prezentujący jednorodną stylistykę. Niewątpliwie to Nick i Mick Harvey trzymają całość w ryzach. Każdy z członków tej formacji pracuje od lat także na swoje konto, realizując solowe projekty. To ludzie magiczni, pozornie niedostępni, chłodni, nieobecni. Jednak po bliższym poznaniu okazują się normalni, sympatyczni, zwyczajni w swej nadzwyczajności.

W roku 1992 roku ukazał się album *Henry's Dream*. Płyta dotarła do 12. miejsca na liście brytyjskiej, stając się pierwszym dużym komercyjnym sukcesem artysty. Przed nim były jeszcze większe.

Nazywają mnie Dziką Różą

Nick od dłuższego czasu myślał o zebraniu na jednym albumie piosenek o morderstwach i mordercach. Tematy te po-



Nick Cave
Gdy oślica ujrzała anioła
Akia

Mroczne czeluście ludzkiej podłości opisane przez Cave'a tak, jakby sam doświadczył dokładnie takich właśnie cierpień.

Nick Cave umieścił swoich bohaterów w mrocznej, nieokreślonej krainie, w której cały czas pada deszcz. Historia opowiadana jest z perspektywy bohatera, dziecka – kaleki i społecznego wyrzutka. Książka aż kipi od mnogości skojarzeń i odniesień biblijnych. Cave opisuje ludzi, popisując się wnikliwą znajomością ich psychiki. Książka obnaża nędzę egzystencji i pokazuje, jacy są naprawdę ludzie, czyli my sami: mali, zawistni, skłonni do dominacji, poszukujący „miłości", która pozwoli zaspokoić nasze żądze. Odwrócenie pewnych biblijnych schematów daje porażające efekty. Oto bowiem przyszły zbawiciel mieszkańców doliny Ukulore narodzi się nie z dziewicy, ale będzie nieślubnym dzieckiem pogardzanej dziwki. Wybawieniem od cierpień nie jest zaś wiara, ale śmierć, która jest zresztą obsesją autora (powraca w wielu fragmentach książki). To trudna powieść, ale każdy, kto zetknął się z muzyką Cave'a powinien przynajmniej spróbować zmierzyć się i z książką.

Arek Lerch

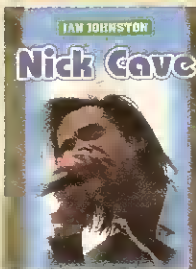


Nick Cave
Król Inkaust I/II
Akia

Obowiązkowa lektura każdego fana twórczości tego artysty.

Te dwie niewielkie książeczki zawierają bardzo dużo cennych informacji. Przede wszystkim są to tłumaczenia tekstów piosenek Birthday Party oraz utworów z płyt solowych Cave'a – od *From Her To Eternity* do albumu *Boatman's Call*. Oprócz tego zbiory zawierają próbki literackie Cave'a i fragmenty esejów dotyczących Biblii (oczywiście!) oraz krótkie sztuki teatralne, które Cave pisał m.in. z Lydią Lunch. To prawdziwe rarytasy, ukazujące twórczość Cave'a z dużo bliższej perspektywy – wyjaśniają wiele wątków z biografii artysty i stanowią znakomite uzupełnienie muzyki. Przede wszystkim jest to jednak zbiór znakomitych, mrocznych poezji, które nawet w oderwaniu od muzyki są w stanie samodzielnie funkcjonować. Świadczą również o ogromnej wrażliwości tego artysty, o tym, że jego niespokojny duch nie pozwalał mu ani na chwilę przestać poszukiwać absolutu. Pytanie, czym jest ten absolut?

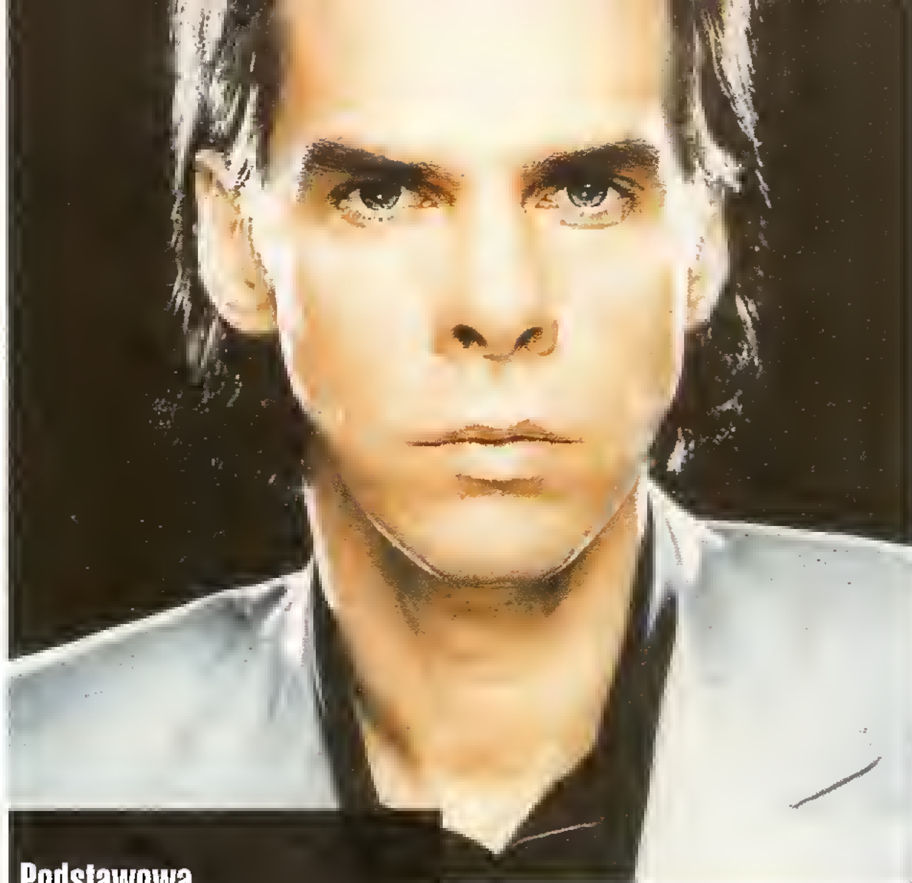
Arek Lerch



Ian Johnston
Nick Cave
C&T

Biografia Nicka Cave'a napisana w 1995 roku, a w Polsce wydana prawie sześć lat temu, jest jedyną na naszym rynku książką poświęconą temu artyście. Za to, co istotne, jest kompletna i ze wszech miar wiarygodna. Portretuje artystę jako wiecznie poszukującego swej drogi, niepokornego twórcę. Skrytego, a jednocześnie uzewnętrzniającego swoje frustracje często w sposób dość gwałtowny i nieprzewidywalny. Autor wykonał świetną robotę, docierając do osób związanych z Cave'em i wyciągając od nich informacje, o których zapewne jeszcze długo byśmy się nie dowiedzieli. W książce muzyka pełni równie istotną rolę, co życie osobiste Cave'a. Dlatego biografia obfituje w mocne sceny z tras i nie stroni od opisywania niezbyt chlubnych zachowań nafaszerowanego heroiną artysty. Cave brutalny (kiedy maluje na ścianach własną krwią) miesza się z Cave'em lirycznym, który zmienia się w Cave'a rzucającego przekleństwami, a ten z kolei staje się Cave'em radosnym, sypiącym anegdotami. Autor nie stara się nawet zachować encyklopedycznego porządku, ale liczne dygresje i przeskoki w czasie podlegają pewnej logice. Zamiarem autora było bowiem napisanie takiej biografii, która oddawałaby nie tylko charakter muzyki Cave'a, lecz także jego usposobienie.

Jacek Żuławnik



Podstawowa dyskografia:

From Her To Eternity '84
The Firstborn Is Dead '85
Kicking Against The Pricks '86
Your Funeral My Trail '86
Tender Pray '88
The Good Son '90
Henrys Dream '92
Live Seeds '93
Let Love In '94
Murder Ballads '96
The Boatman's Call '97
The Best Of '98
No More Shall We Part '01
Nocturama '03

jawiały się zresztą wcześniej w jego utworach. I tak, w 1996 ukazała się płyta *Murder Ballads*. Już pierwszy singiel z tej płyty przyniósł wielką niespodziankę. *Where The Wild Roses Grow* Nick zaśpiewał w duecie z Kylie Minogue, gwiazdą pop z Australii.

„Od wielu lat miałem obsesję na jej punkcie i zawsze chciałem napisać coś specjalnie dla niej. To dialog pomiędzy zabójcą a ofiarą. Kylie jest bardzo szczerą osobą, śpiewanie z nią było wspaniałym przeżyciem. Jest taka piękna. Jest dla mnie świętością!".

Nick, pojawiając się w towarzystwie wokalistek i śpiewając o kobietach – ofiarach mordów, od razu wywołał pytania o stosunek do kobiet. „Oskarża się mnie o mizoginizm, o to, że wyjątkowo brutalnie traktuję kobiety w swoich utworach. Jest w tym trochę prawdy, ale nie chodzi tu o nienawiść totalną czy coś w tym rodzaju. Napisałem mnóstwo złych kawałków i czuję się teraz mało komfortowo w związku z ich treścią. Często jest tak, że moje piosenki są komunikatami skierowanymi do poszczególnych osób. Są formą listu, w którym mówię do danej osoby »nienawidzę cię«. Traktuję taki przekaz jako moją osobistą zemstę na tym kimś, ale, na Boga, nie ma to nic wspólnego z wrednym mizoginizmem!".

Własna wersja Boga

„Używam muzyki, aby chronić się przed światem" – mówi Cave. – „Powstaje najpierw jakieś środowisko, w którym umieszczam stworzone przez siebie postaci. Później sam staram się w to środowisko wskoczyć i w ten sposób odgrodzić się od całego świata. Moje utwory są inspirowane wyłącznie miłością. Nie interesuje mnie polityka, rzygam tym. Album *Murder Ballads* był niezwykle brutalny. Było tam chyba z 89 trupów, opisałem niektóre sytuacje dość bezpardonowo. Chcę pisać o zwykłym bólu, zwykłej miłości i duchowych tęsknotach. Taka jest płyta *The Boatman's Call*. To opowieść o dwóch moich związkach, które bezpowrotnie przeminęły".

„To także najbardziej osobista płyta w mojej dyskografii. Zrozumiałem wiele z tego, co działo się w moim dotychczasowym życiu. Odnoszę się na tej płycie do mojej wiary, ale to moja własna wersja Boga!".

Zrozumienie siebie wymagało najwyraźniej uporządkowania wielu spraw – a to wymaga czasu. „Po ostatniej płycie straciłem kreatywność, czułem się zdegustowanym wszystkim co zrobiłem dotychczas i po prostu nie chciało mi się pisać. Jednak po jakimś czasie zacząłem znów pracować. Wszystkie utwory powstały w moim biurze, miejscu, w którym jestem codziennie. Traktuję to jak normalną pracę, zaczynam o 10 i po prostu piszę". Tak powstała *No More Shall We Part*. Clip do singla *As I Sat Sadly By Her Side* był szokujący – pojawiali się w nim Hitler, Stalin i Mussolini. Wywołanie z historii świata tych mrocznych postaci to nic zaskakującego w przypadku tego „historiozofa". Wychowywał się przecież na literaturze dotykającej najciemniejszych ludzkich problemów. „Mój ojciec jest nauczycielem literatury. Kiedy miałem 13 lat, czytałem jakiś fajansiarski kryminał. Pamiętam to dobrze. Ojciec wyrwał mi go z ręki i powiedział: »słuchaj no, jeżeli chcesz przeczytać naprawdę dobrą książkę kryminalną, spróbuj tego!«. I podał mi *Zbrodnię i karę* Dostojewskiego. Od tamtej chwili to moja ulubiona powieść".

Sukces to wolność

„Proces związany z promocją płyty, koncertami jest niewiarygodnie długi. To dlatego od razu po wydaniu ostatniej płyty zająłem się pisaniem następnej. Chodziłem do mojego biura i pisałem. Dużo marzyłem. Bałem się przestać pisać, aby znów nie wpaść w pustkę. Ten album nagraliśmy w tydzień. Pomysł był prosty – powrót do starych technik nagrywania i odrzucenie wszystkich napięć towarzyszących zwykle powstawaniu płyty. Koncentrowałem się tym razem głównie na tekstach i fortepianie. Staram się grać jak najlepiej, jak najprościej. Gdybym potrafił robić to lepiej, grałbym zupełnie inne kawałki. W ten sposób powstał *Nocturama*, czyli zbiór piosenek, których nic łączy żaden wspólny temat. Mieliśmy pełną wolność przy ich powstawaniu. Zawsze staramy się robić coś, co nas kręci. Robienie płyty to wielka rzecz, nie można przyjść do studia kompletnie nieprzygotowanym. A my chcemy robić dobrą muzykę".

W dobie idoli mizdrzących się do publiczności za pośrednictwem machiny promocyjnej *Nocturama* sprzedaje się zaskakująco dobrze, także w naszym kraju, choć nie wspiera go wielka strategia marketingowa. Nick jest bowiem postacią z jednej strony kultową, a z drugiej zaś komercyjną, sprzedawcą milionów egzemplarzy płyt, megagwiazdą show-biznesu. Mimo to ufam, że to co mówi, jest prawdziwe.

„Nie jestem nieszczęśliwy, mimo że moja twórczość mogłaby na to wskazywać. Sukces zawiera się według mnie w jednym słowie – wolność. Bo im więcej zarabiasz kasy, tym mniej masz wolności. Im stajesz się bogatszy, tym więcej osób patrzy ci na ręce i próbuje tobą manipulować. A ja cieszę się ze swojego statusu. Koniec, kropka".

Maciej Werk
Fragmenty konferencji prasowej w Warszawie '97 – Piotr Stelmach

Nick Cave na koncercie
w warszawskiej
Sali Kongresowej
22 maja 1997 ▶





Nick Cave grany przez innych:

Johnny Cash *The Mercy Seat (American III: Solitary Man)*

Heather Nova *The Ship Song* (singiel *London Rain)*

The Walkabouts *The Loom Of The Land* (*Satisfied Mind)*

Metallica *Loverman* (*Garage Inc.*)

Pavel Bobek (czeski pieśniarz folkowy) *Where The Wild Roses Grow* po czesku, jako *Divoka Ruze* (*Jsem Pouhy Znamy*)

U2 *Right Now I'm A-Roaming* jako *When I Get Home* (koncert w Arnhem, Holandia)

Aborygen Jimmy Little *Are You The One!* (*The Message*)

W 1999 na wrocławskim Festiwalu Piosenki Aktorskiej polskie wersje zaśpiewali m.in.:

Wojciech Waglewski – *Red Right Hand* (*Krwawa prawa dłoń*)

Kazik – *The Mercy Seat* (*Krzesło łaski*)

Anna Maria Jopek/Maciek Maleńczuk – *Where Wild Roses Grow* (*Tam gdzie rosną dzikie róże*)

Stanisław Sojka i Nick Cave – *Into my arms* (*W moich ramionach*)

Reklamy:

Nick odrzuca wszelkie prośby odsprzedawania swoich utworów do reklamówki. Krótkim, acz stanowczym listem odmówił słynnej, amerykańskiej firmie ubraniowej Gap: „Nawet za miliard dolarów – nie". Artysta tłumaczy także: „Dostaję listy od ludzi, którzy pobrali się przy *The Ship Song* lub pochowali najlepszego przyjaciela przy *Into My Arms*. Jakby się czuli, gdyby tak potem okazało się, że pogrzeb odbył się przy reklamówce do lodów Cornetto?".

Romanse Nicka:

Wśród rozlicznych przygód artysty na pewno warto wspomnieć o:

Anicie Lane – poznał ją jeszcze za czasów The Boys Next Door; ich romans trwał wiele lat;

Viviane Carneiro – projektantka brazylijska; Nick mieszkał z nią tam przez jakiś czas, w '91 urodził się im syn Luke;

Polly Harvey – krótki, lecz burzliwy romans, czasowo w okolicy Murder Ballads

Susie Bick – modelka, pobrali się w '99 w dniu zaćmienia słońca; mają bliźniaki Earla i Arthura

Fot.: Pomaton EMI, Paweł Relikowski/Super Express



Bóg ma różne imiona

Album z piosenkami Agnieszki Osieckiej był wielkim sukcesem grupy Raz Dwa Trzy. *Trudno nie wierzyć w nic* to nowa, znakomita autorska płyta – najciekawsza w dorobku zespołu i jego charyzmatycznego lidera Adama Nowaka, który opowiedział nam o jej przesłaniu.

O czym jest *Trudno nie wierzyć w nic*?
To bardzo dziwna płyta. Powstawała długo i przez ten czas wiele rzeczy na świecie się zmieniło. Z początku miała być wyłącznie bilansem 40-latka. Miała mówić o wątpliwościach, bo im bardziej jestem pewien niektórych rzeczy, tym szybciej ta pewność traci wartość. Potem zdarzył się 11 września 2001 i jeszcze kilka innych nieszczęść. Musiała zmienić się tematyka płyty. Przesunęła się w kierunku lęku jednostki i zagubienia. Ja, jako człowiek, jestem atakowany wszystkim, co wymyślono i po prostu z tym sobie nie radzę. Mam coraz więcej wątpliwości i jestem coraz bardziej zalękniony masą przemocy.

Jakiej przemocy?
Każdej. Jest wojna, którą żyje telewizja. Jest przemoc na co dzień. Idziesz ulicą i nie wiesz, czy przeżyjesz, skręcając w lewo za rogiem.

Jak chronisz przed tym swoje dzieci?
Żyjemy w kraju, w którym człowiek ma obawę przed otwarciem drzwi domu i powiedzeniem dziecku, aby poszło się pobawić do piaskownicy. Gdy byłem dzieckiem, to spędzałem na podwórku pięć czy sześć godzin, aż do zmroku. I nie działo się nic złego. Tego już nie ma. Obawiam się, że to jest sprawa nie do rozwiązania. My dorośli musimy bardziej dbać o stosunki między sobą, uczynić te kontakty uczciwymi, bo to od nas bierze się agresja. Za dużo w nas zobojętnienia i lekceważenia drugiego człowieka.

Do kogo kierujesz piosenkę *Trudno nie wierzyć w nic*?
To piosenka osobista. Wiem, że są autorzy, którzy piszą z myślą o kimś konkretnym. My nie mamy określonego odbiorcy. Piosenka ta odpowiada na pytanie, czy wierząc i ufając Bogu, wiem na pewno, że robię dobrze? Pozostawiam odpowiedź temu, któremu zawierzyłem. Jest w tym dużo pokory, ale i dużo przekory.

Jesteś osobą bardzo wierzącą?
Wierzę w Boga, ale jest to trudna znajomość. Twierdzę, że Bóg jest jeden, ma tylko różne imiona. A to prawdziwe imię wciąż nie jest poznane, nikt jeszcze go nie rozszyfrował z języka jidysz. Ponoć poznamy je w odpowiednim momencie.

U nas korupcja zawsze była, choć nie mówiło się o niej; tutaj to wręcz fizjologiczny sposób „załatwiania" spraw.

Jak oceniasz to, co się dzieje wokół nas?
Wojna z pomocą telewizji stała się przede wszystkim „programem rozrywkowym", umieszczonym między dobranocką a reklamą. Co to w ogóle znaczy, oglądać wojnę w telewizji? Część otaczających mnie ludzi potrafi powiedzieć „mnie ta wojna nie interesuje!". Wojna ich nie interesuje!? Jak to? Chyba tylko dlatego, że nie słychać wybuchów na sąsiedniej ulicy. Wojna to przecież najwyższy poziom zła, bo to zło zbiorowe i tym bardziej nieuchwytne. Ale na przykład dobro jako takie to dzisiaj żaden temat. Dziś przekazanie kilku tysięcy złotych na jakiś cel czy uratowanie komuś życia ma swoje miejsce na szóstej lub dwudziestej stronie jakiejś gazety; w najlepszym wypadku.



W Polsce, obok wojny, na pierwszych stronach gazet jest też afera korupcyjna...
Ale tak przecież jest na całym świecie. Bez względu na to ,czy są to rządy komunistyczne, czy demokratyczne. A u nas korupcja zawsze była, choć nie mówiło się o niej; to tutaj wręcz fizjologiczny sposób „załatwiania" spraw. Trudno wymagać od osoby, która w tym celu przynosi w kopercie sto tysięcy dolarów, aby za chwilę poszła do mediów i powiedziała, że uczestniczy w korupcji. Z jednej strony jest się w kleszczach takiego sposobu „załatwiania", a z drugiej strony nie widzę żadnej możliwości zmiany tego. To niemal naturalne, że ludzie, którzy pracują w ośrodkach decyzyjnych, wykorzystują swoją władzę i przewagę. My też niejednokrotnie mieliśmy do czynienia z organizatorami koncertów czy ludźmi mieniącymi się agentami artystycznymi, którzy proponowali: zagracie trzy koncerty, my powiemy, że to kosztuje osiem tysięcy, ale wam płacimy siedem. Czyli podnosząc słuchawkę telefonu, chcą zarobić tysiąc złotych. Mało tego! Strona organizacyjna, czyli dom kultury albo klub, są znajomymi tego agenta, który dodatkowo straszy nas, że jeżeli będziemy chcieli zrobić to sami, to i tak nam nie pozwoli.

Inni jeżdżą po nas, jak po łysej kobyle. Jest portal internetowy, który nazywa się tak jak my. Są frytki Raz Dwa Trzy. Nie mamy z tym nic wspólnego.

a ja ciągle jestem w trasie. To, co zdążę zapamiętać na temat planu miasta, nazw ulic, po wyjeździe od razu zapominam, a potem uczę się miasta od nowa. To nawet ciekawe. Być może całe życie będę odkrywać to miasto na nowo?

Chyba wszędzie jesteś gościem?
Miejsca, w których przebywam, nie są do końca moimi miejscami. Myślę, że zwariowałbym, gdybym nie miał rodziny. Przy nich jest moje miejsce ostateczne. Wiem, że oni czekają na mój powrót. To bardzo ważna świadomość.

Nazwa waszego zespołu bywa mylona z nazwą zespołu Ich Troje. Nie wkurzasz się?
Istniejemy od 1990 roku. Czy w tym czasie powstanie zespół Ich Troje, czy zespół 123 nie ma dla mnie znaczenia. Jedziemy do dowolnego miasta w Polsce i gramy dla półtoratysięcznej widowni, która doskonale wie, na co kupuje bilet. Nie jesteśmy zespołem, który rywalizuje z innymi, nie stajemy do konkursów, nie bierzemy udziału w rankingach. Zespół Ich Troje musi podążać swoją drogą. Myślę, że jest potrzebny. Ale nie mnie to oceniać. A po nas i tak inni jeżdżą, jak po łysej kobyle. Jest portal internetowy, który nazywa się tak jak my. Są frytki Raz Dwa Trzy, ciasta, zespół taneczny... Nie mamy z tym nic wspólnego. Na zdrowie. Widocznie mają za mało wyobraźni, aby wymyślić coś własnego.


Od lewej: Jacek Olejarz, Grzegorz Szwałek, Adam Nowak, Jarosław Treliński, Mirosław Kowalik

Czy z muzyki można się utrzymać?
Zdecydowanie tak. Od początku działalności twierdzę, że jest to kwestią standardu, jaki sobie człowiek ustali. Jeżeli ktoś dąży do tego, aby jeździć cadillakiem, kąpać się w trzech basenach i mieć prywatne kino w domu, to będzie musiał zrobić bardzo wiele, również niedobrych rzeczy. Dla mnie muzyka to normalne zajęcie. Cieszę się, że mogę je wykonywać i jeszcze z niego żyć. Czy za koncert zarobię 500 złotych czy pięć tysięcy, nie jest aż tak wielką różnicą. Najważniejsze, że praca sprawia przyjemność.

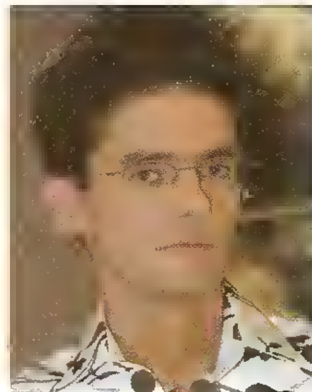
Jaki jest twój standard?
Siedemdziesięciometrowe mieszkanie w Toruniu, gdzie mieszkam z żoną i czwórką dzieci. I duży samochód, w którym mieści się cała nasza rodzina. Mieszkamy tam od czterech i pół roku,

A zdarzyło się, że jacyś widzowie trafili na wasz koncert, myśląc, że to Ich Troje?
Jeden taki koncert zagraliśmy w małej miejscowości na Śląsku, w ruinach zamku. To był moment wielkiego boomu zespołu Ich Troje. I część widzów przyszła na nas, myśląc, że idzie na Ich Troje. Ale nie wyszli w trakcie. Nie wiem, dlaczego. Może nie chcieli stracić czasu i drogi, którą pokonali, a może po prostu spodobało im się to, co robimy.

Rozmawiała Ilona Lewandowska

Fot. Polskie Radio / Andrzej Świetlik

KUBA WOJEWÓDZKI



Hołdys Guru Limited

Zbyszek nigdy nie był moim guru. Lubiłem go i szanowałem za bezkompromisowość, suwerenne myślenie i odwagę wygłaszania niepopularnych sądów. Za bycie pozytywnym chuliganem i awanturnikiem. Za tupet i swoistą megalomanię.

Facet, który wyprodukował numer *Obracam w palcach złoty pieniądz*, może sobie na sporo pozwolić. Jego szalony pomysł na Szmatę kupiłem z mety. Stary rocker patroszy show-biznes we własnym organie prasowym. Wy, dziatki, nie pamiętacie czasów gazety Non Stop, której to, że przypominała ulotkę wyprodukowaną na kradzionym powielaczu, nie przeszkadzało mieć statusu gazety kultowej. Tam poznałem Hołdysa dziennikarza i zapamiętałem go. Dziś nie oglądam jego programu telewizyjnego w MTV Classic, bo nie oglądam programów osób, które „o muzyce wiedzą wszystko" (a on tak reklamuje swój program). Bo to znaczy, że już niczego nie można ich nauczyć. Skostnieli w swojej mega kompetencyjnej megalomanii. Stali się emocjonalnie muzealnymi omnibusami. Urzędnikami rock and rolla. Księgowymi wzruszeń. Kilka lat temu wielki powrót na estrady Zibiego Hołdysa wielki był, jak trenerski powrót Zibiego Bońka. Wielki subiektywnie. Ani płyta, ani trasa nie targnęły Polską tak, jak zaplanował animator targania. Mnie koncert w Sali Kongresowej porwał, wzruszył i udokumentował, że gitarzysta ZH ma jeszcze krzepę i zadrę, by namieszać. Większość muzycznej krainy leniwie olała comeback niegdysiejszego buntownika. Płyta nakładem nie sięgnęła żadnego kruszca i sprawa przycichła, jak żona Krzaklewskiego po wyborach. Ambicje publiczne starego wygi nie cichną jednak i chwała mu za to, niestety ich kanalizowanie to kanał maksymalny. Najpierw wyłuskanie niejakiego Pici z popularnego przytuliska dla ciasnogłowych znanego jako Big Brother. Następnie wspólne powicie piosenki, nędznej jak czupryna Klaudiusza kucharza. Stary wiarus i popcornowy bohater telenoweli o podglądaczach i podglądanych. Zgroza. Następnie mój bohater poświęcił sporo czasu na komentowanie podłej doli skrzywdzonych i poniżonych przeze mnie własnoręcznie i własnogębnie w programie – nomen omen – Idol. Sądy stawiał mocne, tylko że niechętnie w mojej obecności. Z okazji publicznej konfrontacji nie skorzystał, motywując to podobno alergicznym obrzydzeniem nachodzącym go w chwilach naszej styczności. OK. Znana jest i jemu, i mnie taka środowiskowa partyzantka na paszkwile. Następnie mój bohater wyraził wolę współżycia artystycznego z liderem komandy Ich Troje. Zbigniewie! – pomyślałem. Larum grają! Obłęd czai się u bram twych? Niestety, kolejne publiczne objawienie, a właściwie aspiracja do publicznej obecności, powiała już lekkim skundleniem. ZH za pomocą Internetu wysyła ohydne elektroniczne donosy na Leszcza zwanego dalej Robertem Leszczyńskim. Informuje w nich, że RL będąc nieudanym muzykiem, w młodości wykonywał piosenkę o mało ciepłym stosunku do Gazety Wyborczej („ty dziwko, ty szmato, ty kurwo pierdolona"), że to słabizna i disco polo niemal. A wszystko to sprawa Leszcza sumienia i on, srogi Zbigniew nie uważa, że jest dalej sens się tym zajmować, bo nie jest jego celem niszczenie ludzi! Ale zajmuje się ochoczo! Pokrętne i demagogiczne. Mocno niesmaczne. Leszczu nie jest ideałem. Bywa zapiekły w swych sądach, sporo w nim brawury i skrajnego subiektywizmu. Ale zawsze przy otwartej przyłbicy. Mówił i pisał jawnie, dążył do konfrontacji postaw, poglądów. Nie dał się skorumpować firmom fonograficznym, które wysyłając płyty dziennikarzowi, zaczynają zachowywać się jak Rywin w składzie porcelany Michnika – arogancko i grubiańsko, traktując zarówno danego pismaka, jak i jego organ tak, jak PZPR traktował Trybunę Ludu. Czyli instrumentalnie. Wykonanie przez faceta, który swym nazwiskiem firmuje numer gigant, *Autobiografię* Perfectu, tak słabej estetycznie i moralnie intrygi, to dla mnie okazja do wyrzygu. Odważny byłby dla mnie Hołdys, gdyby ujawnił swoje demaskatorskie newsy w czasie, gdy Robert jeszcze cieszył się namaszczeniem najjaśniejszej Agory. Co się z tobą stało, Zbychu? Twoja legenda topnieje w tempie okrutnym. Facet z westernowymi zasadami, za jakiego cię wielu miało, nie radzi sobie z zapomnieniem, artystycznym niebytem, publicznym nieistnieniem albo własną próżnością. O co, kurwa, chodzi?

Co się z tobą stało, Zbychu? Twoja legenda topnieje w tempie okrutnym

Fot. Studio 69



Miłość, Przyjaźń,

Jak przyjmujecie nagrody, nominacje choćby do Fryderyków? Czym są dla was wyróżnienia?
Sokół: Bardzo je szanuję, o ile pochodzą od odbiorców. To chyba banalne stwierdzenie, ale jeśli są przyznawane przez jakieś gremia dziwne, podejrzane, to są mniej wartościowe, tak jak na przykład jest z Fryderykami. Fryderyki nie są miarodajne.

Jak długo pracowaliście na swoją pozycję?
Sokół: Pierwsze rymy napisałem z Ponem w Drink Barze na Wspólnej w Warszawie, w '96. Pierwsze dwa kawałki nagraliśmy w małym studiu Indigo, które było naprzeciwko. Daliśmy je potem komuś, a on komuś następnemu itd. Dotarły do Mesjasza w sklepie muzycznym za Relaxem. On był w jakimś jury, które organizowało losowanie supportów na koncert Run DMC. Nasze kawałki zostały zakwalifikowane. Pierwszy koncert w życiu zagrałem z Ponem dla 3,5 tysiąca osób przed Run DMC. Myślę, że to dobry początek.

Trzeba mieć szacunek do rzeczy, których się nie kuma, bo niekoniecznie musi to być coś głupiego.

Czym jest dla was WWO?
Sokół: WWO jest projektem ZIP Składu. Cenię sobie pracę z Jędkerem i z Deszczem, który jest teraz w WWO na stałe. Bardzo dobrze się czuję w WWO – to coś, co pożera dużo czasu, ale produktywnie. Chciałbym to kontynuować i niezależnie czy będziemy robić jakieś inne projekty, które są niewykluczone a wręcz nawet wskazane, mam nadzieję, że WWO będzie trwało w niezmienionym składzie i uda nam się parę ładnych lat podziałać.

Wkrótce podobno nowa Zipera?
Sokół: Tak, tak, nowa Zipera, w składzie Pono, Fu, Koro kończy nagrywanie płyty dla Prosto. Gościnnie na pewno reszta ZIP Składu się pojawi. Za wcześnie, aby mówić o szczegółach. Na razie jest to plan, mały projekcik do zrealizowania w ciągu roku. Bez sensu byłoby wydanie płyty tak szybko. Chcemy, aby krążki były różne – na tym chcemy pokazać szerszej publiczności ludzi mało znanych, którzy nam pasują do tematu w danym kawałku. Może się spodobają?

Na najnowszym krążku, *We własnej osobie*, występują ciekawi goście Tyga Duo, czyli yassowiec Macio Moretti oraz Francuzi z Soundkaił. Jak się poznaliście?
Deszczu: Tyga Duo poznałem w Galerii Off, a Soundkail przez znajomego z Paryża. Puścił im naszą płytę, która się im spodobała.

Sokół: Soundkaile stwierdzili, że mogą przyjechać i coś nagrać. Kiedy przyjechali, poszliśmy na imprezę promocyjną pisma graficiarskiego Uwaga. Grał tam znajomy, DJ DFC razem z Tyga Duo. Dużo haszyszu i wódki. Przyłączyliśmy się i nawijaliśmy jakieś zwrotki, było to takie niezapowiedziane jam session razem z Tyga Duo i Soundkailem.

Zdziwił mnie kawałek *Sen* – mało kto podejmuje w polskim hip-hopie temat snów. Sokół, wierzysz w znaczenie snów?
Sokół: Nie znam konkretnego wytłumaczenia snów, ale chyba nie są one przypadkowe. Coś w tym jest. Na pewno wiele jest rzeczy, których nie ogarniam i mam do nich szacunek, podświadomie po prostu. Trzeba mieć szacunek do rzeczy, których się nie kuma, bo nie koniecznie musi to być coś głupiego.

***Powinnaś* to rzadkie wyznanie w polskim hip-hopie, bardzo wrażliwe i czułe spojrzenie na kobiety. Jesteście tacy na co dzień?**
Sokół: A moja dziewczyna była obrażona przez jakiś czas za ten kawałek. Z tymi babami to właśnie różnie jest. Mówimy to, co myślimy, to zostało powiedziane i podpisuję się po tym.

Komiczny utwór – *Halabardy* – dedykujecie Kalibrowi 44 i Paktofonice?
Sokół: Nie, nie, to jest polewka. To jest żart ze wszystkich, którzy pierdolą o niczym i jarają się tym, że to im tak fajnie wychodzi. Nie podchodziliśmy do tego personalnie.

Polska scena hiphopowa zjednoczona czy skonfliktowana?
Deszczu: Raz jedni są przeciwko innym, a potem się kumplują. Nigdy nie będzie zjednoczona do końca. Są różne podejścia do życia. Ja lubię, jak ktoś ma inne zdanie, ale nie znaczy to, że będę z tym kimś współpracował. Każdy chyba tak do tego podchodzi. Nigdy nie będzie tak, że wszyscy razem zrobią wielki projekt, to nie byłoby prawdziwe.

W niezbyt wyjątkowych okolicznościach, za to we własnych osobach, Muzie spowiadają się Deszczu i Sokół.

Lojalność

Czemu ma służyć kontrast w kawałku *W wyjątkowych okolicznościach*?
Sokół: Kontrast jest potrzebny, bo kawałek nie jest o nim i o niej, jak większość myśli, ale o miłości i pieniądzu, czyli o dwóch skrajnościach. Kontrast był bardzo potrzebny, aby przekazać tę treść. Ona jest miłością, on jest pieniądzem. Łatwiej było nam tę miłość zmaterializować i pokazać w ludzkich szatach, pieniądz natomiast troszkę uduchowić i również pokazać w ludzkim obliczu. To taki delikatny podstęp. Kawałek jest o naszych czasach. Miłość sprzedawana, a pieniądz kochany, w wyjątkowych okolicznościach witamy. Tak to już jest.

Świat się kończy, ale nigdy się nie skończy, bo świat jest nieskończony.

Co myślicie o legalizacji i liberalizacji prawa wobec gandzi?
Sokół: Nie należę do palaczy, jaram sporadycznie. Prawo jointowe trzeba jednak zmienić, bo jest złe. A przynajmniej wrócić do starych przepisów. Nowa ustawa zrobiła dużo złego. Teraz dzieciak za sztukę w kieszeni może iść na sanki do puchy i dopiero sędzia decyduje, co dalej. A w Pradze czeskiej wszyscy jarają i jest fajnie. Wiadomo, że dealerzy wszędzie są tępieni oprócz Kolumbii. Nawet w Holandii dealer jest tępiony, bo tam skuna sprzedaje państwo. Zarzucić grzybki, jarać dla siebie... Ludzie powinni mieć wolną rękę.

Jakie jest wasze zdanie o antyglobalizmie?
Sokół: Globalizacja jest chujowa, ale antyglobaliści są śmieszni. Co oni robią, porzucają kamieniami? Pierdolę to. Antyglobaliści, punkowcy, ta cała jazda to „odmrażanie sobie uszu na złość babci". Ja nie jestem punkiem czy skinheadem – jestem sobą. Śmieszą mnie skrajne poglądy.

***Damy radę, Wierzę że* – w tych kawałkach jest dużo wiary. Czym jest dla was wiara?**
Sokół: Wiara jest podstawową rzeczą ludzkości i to nie jest pseudoreligijny bełkot. Dziecko zostawione w lesie i wychowane w lesie będzie zachowywać się inaczej niż my. Wiara jest fundamentalna częścią społeczeństwa, bo ktoś musi ci powiedzieć, co jest czym, że np. pomidor jest czerwony, a ty musisz w to uwierzyć. Potem z wiekiem zaczynasz powątpiewać. Wiara w coś wyższego niż ludzie, coś bardziej duchowego, jest dla mnie bardzo ważna. Bez tego płytko się myśli – nie ma się lęków przed samym sobą i przed konsekwencjami czynów.

Czy uważacie, że świat się kończy?
Sokół: Wszystko co się zaczyna, ma swój koniec, tylko kto zna początek świata? Świat się kończy, ale nigdy się nie skończy, bo świat jest nieskończony. Wszystko to jest niezbadane, pulsuje i żyje, a my o tym nie mamy pojęcia. Nawet jeśli my pozdychamy, to świat się nie skończy.

Deszczu: Urodziłem się w złych czasach, powinienem urodzić się wcześniej. Teraz panuje brak poszanowania zasad. Na każdym kroku człowiek się z tym spotyka i często na to się godzi, co świadczy, że jest coraz gorzej.

Sokół: Zawsze był brak zasad i zawsze była grupa, która te zasady posiadała – była to tzw. elita. Była mniejsza lub większa moda na posiadanie tych zasad i bycie elitą. Ludzie, którzy ich nie mieli, udawali chociaż, że je mają. Teraz jest moda w drugą stronę, na brak zasad, na popierdoleńców, którzy uważają, że anarchia jest w porządku, na gejostwo. Ale jakie są ich wartości? Poruchać w dupę, pochodzić do Utopii [warszawski lokal trendy] i pokazać się w modnym towarzystwie. Pierdolę to. Ja się pod tym nie podpisuję. Staram się przekazywać dobre wartości. Podkreślam to, co jest dla mnie ważne: Miłość, Przyjaźń, Lojalność. To są istotne sprawy, które tak banalnie brzmią, jak się o nich mówi, a ludzie o nich zapominają.

Ktoś nazywał Rage Against The Machine Konradem Wallenrodem. Nasuwa mi się podobne skojarzenie wobec was – też chcecie od środka zniszczyć show-business.
Deszczu: RATM to ściema. Oni nie byli prawdziwi. Czas zweryfikował ich pozycję. Wydali chyba trzy płyty – o dwóch z nich nikt nie pamięta.

Sokół: Ja lubię Cool Kids Of Death. Mają zrobić remiks naszego kawałka. Ale czekam na rozwój wydarzeń. Czy oni nie podzielą przypadkiem losu RATM, czy ten ich bunt nie jest przesadzony? A Konradem Wallenrodem nie jestem – Wojtek Sokół, bardzo mi miło...

Rozmawiał Artur Pleskot

WWO

Miłość sprzedawana, a pieniądz kochany, w wyjątkowych okolicznościach witamy.

Fot. Pedro, Pau



HANS ZIMMER

Popularność tego twórcy wykracza poza ekran, głównie dzięki wielkim sukcesom muzyki z *Króla Lwa* i *Gladiatora*. Ale najważniejsze filmy ma wciąż przed sobą.

Z natury jest pogodny i elokwentny, a przy tym wiecznie zapracowany. „Gdybym odpowiadał na dziesiątą część telefonów, które odbieram, i tak byłbym uwiązany cały dzień" – żartuje. Ma zaprzysięgłych fanów i krytyków. Pierwszych zachwyca świeżość i nowatorstwo jego muzyki, drudzy narzekają, że za dużo w niej komputerów. Ale mniejsza o to. Hans Zimmer to jeden najlepiej opłacanych kompozytorów Hollywoodu. Może sobie pozwolić na artystyczną niezależność, co w tym biznesie nie jest wcale takie oczywiste. Mówi wprost: „Komponuję z własnego punktu widzenia. I nie ma znaczenia, czy reżyser się ze mną zgadza, czy nie".

Drogę do sławy miał niezbyt wyboistą. Hans Florian Zimmer (ur. 1957 we Frankfurcie) o muzycznej karierze marzył od trzeciego roku życia (!), kiedy to po raz pierwszy zagrał na pianinie. Chciał zostać muzykiem rockowym, więc w połowie lat 70. rzucił szkołę i przeniósł się z Niemiec do Londynu. Najpierw zajmował się dżinglami i pisaniem ścieżek do reklam, aranżowaniem i komponowaniem dla innych, wreszcie współpracą z grupą The Buggles (kompozytora widać w *Video Killed The Radio Star* – pierwszym klipie wyemitowanym przez stację MTV). Wtedy też, w 1981 roku, poznał kompozytora Stanleya Myersa (*Łowca jeleni*). Ten nie dość że zaznajomił młodzieńca z tajnikami swojej pracy, to pozwolił mu asystować przy pisaniu muzyki. Tak powstała oprawa do filmu Jerzego Skolimowskiego (*Fucha*) czy Stephena Frearsa (*Moja piękna pralnia*). Przełomowy okazał się rok 1988. Barry Levinson szukał właśnie kompozytora do swej najnowszej produkcji, *Rain Man*. Żona podsunęła mu soundtrack ze *Świata na uboczu* autorstwa niejakiego Hansa Zimmera...

Dalej poszło gładko. Zimmer zaskarbił sobie przychylność fanów (niekoniecznie krytyków) nowatorskim łączeniem tradycyjnej orkiestry z brzmieniami elektronicznymi. Czerpał przy tym inspirację z rozmaitych źródeł: rocka (*K-2*), amerykańskiej muzyki folk (*Wożąc panią Daisy*), etno (*Król Lew* czy *Helikopter w ogniu*) i – przede wszystkim – muzyki klasycznej (*Karmazynowy przypływ*). Obecnie na jego dorobek składa się blisko 80 filmów. „Ale naprawdę dumny jestem tylko z kilku z nich" – śmieje się dziś ten człowiek sukcesu.



Zimmer nie zasypia gruszek w popiele. Jest współwłaścicielem potężnego studia Media Ventures, prawdziwej kuźni kompozytorskich talentów. Hollywoodzką przygodę zaczynali tu m.in. John Powell, Harry Gregson-Williams, Klaus Badelt i Mark Mancina. Jest również muzycznym dyrektorem wytwórni Dreamworks, a od niedawna próbuje swoich sił w roli... producenta filmowego (jego debiutem na tym polu będzie niskobudżetowa komedia *Waiting*). Jak przy tym wszystkim znajduje czas na nową muzykę? „Dobre pomysły pojawiają się wtedy, kiedy o nich nie myślisz" – wyznaje. „Wstaję około południa, zapalam papierosa, robię sobie kawę i ląduję na godzinę w wannie. A wtedy, kiedy jestem rozluźniony, pomysły przychodzą do mnie same".

Paweł Piotrowicz

WYBRANA FILMOGRAFIA

Świat na uboczu (*A World Apart*) 1988
Rain Man 1988
Wożąc panią Daisy (*Driving Miss Daisy*) 1989
Thelma i Louise (*Thelma & Louise*) 1991
Ognisty podmuch (*Backdraft*) 1991
Dom dusz (*The House Of The Spirits*) 1993
Król Lew (*The Lion King*) 1994
Karmazynowy przypływ (*Crimson Tide*) 1995
Twierdza (*The Rock*) – 1996
Lepiej być nie może (*As Good As It Gets*) 1997
Cienka czerwona linia (*The Thin Red Line*) 1998
Gladiator 2000
Pearl Harbor 2001
Hannibal 2001
Helikopter w ogniu (*Black Hawk Down*) 2002

SPOZA KADRU

W dzieciństwie chodził na lekcje gry na pianinie. Wytrzymał dwa tygodnie... Nauka zawsze szła mu jak po grudzie. Wyleciał z kilku szkół. „Po prostu nie miałem ochoty zajmować się czymś innym niż muzyka".

Ścieżka dźwiękowa z *Króla Lwa*, za którą otrzymał jedynego jak dotąd Oskara, sprzedała się w liczbie 12 milionów egzemplarzy. Uwielbia grupę Nine Inch Nails.

Muzyka jest jedna

Smolik to mały chrząszcz, szkodnik lasów iglastych. Muzyka, Andrzeja Smolika, oprócz nazwiska łączy z nim jeszcze jedno – ogromna popularność „występowania".

Producenci rzadko zostają zauważeni na równi z gwiazdą, z którą pracują. Współpraca z Robertem Gawlińskim czy Katarzyną Nosowską nie dała Smolikowi takiego rozgłosu, jak solowe produkcje. I to być może wtedy zaczęto o nim mówić „mistrz drugiego planu"; słuszność tego określenia potwierdza druga solowa płyta artysty (*Smolik 2*), choć w zasadzie nie wiadomo już, jak traktować Smolika – jako stricte producenta, muzyka, kompozytora? „Podstawą jest zawsze to, kogo się produkuje, i tak zresztą powinno zostać. Odpowiada mi, że mówi się o mnie jako o człowieku, który wyprodukował płytę" – mówi Smolik. „To przyjemna rola – nie pierwszoplanowa, nie gwiazdorska, ale godna w robieniu muzyki. Najbardziej jednak czuję się muzykiem, lubię grać na żywo".

Jego muzyka to także współpraca z innymi artystami. Dzięki kobiecym głosom (m.in. Novika i – po raz pierwszy u Smolika – Mika Urbaniak) ta płyta jest bardzo ciepła, sympatyczna i zapraszająca do relaksu. Obecność artystów z zupełnie innych wymiarów nie przeszkodziła w jej spójności. „Zgłaszam się do ludzi, których w jakiś sposób czuję i oni mnie najprawdopodobniej też. Pochodzą oni przeważnie z otoczenia o wspólnym mianowniku: są otwarci i oświeceni muzycznie. Chętnie wchodzą w inny klimat, bo pozwala to im wypowiedzieć się na innym terenie, ale w swobodny sposób. Wnoszą siebie, a że są świadomymi ludźmi, to robią to tak, aby pasowało do mojej muzyki. To się dzieje naturalnie, to jest partnerstwo". Smolik wyjaśnia, że jest to logiczne następstwo tego, iż obecnie w muzyce brak wyraźnych trendów, to raczej jeden wielki miks. „Muzyka jest jedna – style i podziały są sztuczne, służą tylko nomenklaturze. Są dziesiątki płyt, które same w sobie stanowią jakiś odrębny nurt. Muzyka staje się przez to wielokulturowa, wielowarstwowa, ma wiele estetyk, ale także traci swój wyjątkowy, osobliwy charakter, który mógłby stanowić o jakimś zdecydowanym stylu muzycznym. Pozwala się jednak artyście bardzo szeroko i swobodnie wypowiedzieć".





W przypadku swojej pierwszej płyty Smolik został okrzyknięty czołowym przedstawicielem sceny klubowej. *Smolik 2* wymyka się takim przyporządkowaniom – to popowe piosenki, ocierające się o nurty elektroniczne, które w klubach gra się przeważnie w tzw. chilloutach. To krążek, która również nie odbiega poziomem i stylem od produkcji zachodnich. „Płyta jest zaśpiewana po angielsku, a muzyka jest uniwersalna, dość nowoczesna. Ale może trochę szkoda, że ta płyta ma taki europejski charakter. Brak tu narodowych, specyficznych elementów, takich jak w muzyce elektronicznej np. Niemców, Islandczyków czy Finów. Oczywiście istnieją brzmienia typowo polskie – ze względu na teksty czy śpiewające je postacie. Nie chcę wymieniać tych wykonawców, bo ta polskość nie jest atutem, to jest kostropate. Większość polskich rzeczy, mówię to ze smutkiem, jest trochę słabsza od tzw. standardów europejskich. Kiedyś był Izrael, Armia, zespoły które miały »nasz« charakter, ale też były przy tym bardzo uniwersalne. Teraz trudno znaleźć kogoś takiego, jest Ścianka, ale poza tym naprawdę niewiele". Zapytany o przyczyny takiego stanu rzeczy, Smolik wskazuje na brak wsparcia dla kultury w naszym kraju. „Kultura nie zajmuje ważnej roli w życiu Polaka i nikt jej nie wspiera. To gdzie mają się rodzić nowe nurty? Poza tym u nas nie ma tej tradycji ciągłości muzycznej. Młodsze pokolenia nie szanują starszych i vice versa, bo starsi dla młodych są estradą, a młodzi dla starszych palantami, którzy nie potrafią grać i śpiewać". Nie wiem, czy Smolik myśli o tym co ja, ale próbą przełamania tego stereotypu była na pewna produkcja płyty Krzysztofa Krawczyka. „Pojawiła się chęć »liftingu« muzycznego ze strony starszych gwiazdorów, ale dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi. Choć Krzysztofa bardzo polubiłem i chętnie jeszcze raz spotkałbym się z nim przy pracy". Może za jakiś czas Smolik znowu zaskoczy słuchaczy współpracą z kimś z zupełnie innego rejonu muzycznego? „Wolałbym aby to ktoś odświeżył mnie. Chciałbym też dostać propozycję wyprodukowania kogoś bardzo zdolnego, kto myśli młodziej ode mnie. Bo tacy są na pewno, tylko mogłem ich nie dostrzec; albo oni mnie".



Rozmawiała Ewa Śródka

Fot. BMG

Andrzej przedstawia pozostałych bohaterów projektu *Smolik 2:*

Mika Urbaniak – „Poszedłem kiedyś na koncert Michała Urbaniaka, gdzie Mika śpiewała. Oczarowała mnie śpiewem. Wychowała się właściwie w Nowym Jorku, w bardzo muzykalnej rodzinie i to słychać w pracy z nią. Poza tym ma piękny angielski, co też słychać".

Kasia Nowicka – „Pracowaliśmy przy poprzedniej płycie, w jakiś sposób związaliśmy się, bo gramy razem koncerty. Jest wyjątkową postacią na polskim rynku muzycznym – łączy w sobie nowoczesność, bezpretensjonalność z dobrym warsztatem, jako wokalistka".

Magda Kasprzyszyn – „Śpiewa w zespole Noon, jest z Oleśnicy. Usłyszałem jej demo u mojego wydawcy, Józka, i totalnie mnie zachwyciła. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze coś razem zrobimy, bo świetnie dziewczyna śpiewa".

Maciej Cieślak – „Podziwiam go za jego muzykalność i sposób myślenia o muzyce. Nie byłam pewien, czy zgodzi się wziąć udział w tym projekcie, bo jego muzyka i moja dość poważnie się różnią, ale wszedł w to i ja się cieszę".

Artur Rojek – „Znamy się od bardzo dawna, bo od samego początku Myslovitz (nagrywaliśmy razem wczesne ich płyty). Razem nagrywaliśmy też inne rzeczy, które nigdy się nie ukazały".

Bogdan Kondracki – „Zasłynął jako wokalista zespołu Kobong. Od kilku lat razem robimy projekt o nazwie Boa (jeszcze właściwie nie ujrzał światła dziennego). To strasznie zdolny muzyk i jedyny człowiek, który łączy dwa tak radykalne style: ostry, bardzo nowoczesny, ultrametal, z moją muzyką. Dla mnie to rozpiętość ekstremalna".

Waldek Kacperkowiak – „Śpiewa u mnie jedną piosenkę. To gość z mojego rodzinnego Świnoujścia, graliśmy razem w ogólniaku i trochę później."

Mirek Stępień – „To bardzo, bardzo zdolny basista i wyrafinowany muzyk".

Antoni Ziut Gralak – „Obecność trąbki muzyka tej klasy na płycie jest dla mnie równomierna z obecnością wokalisty – traktuję jego grę jak śpiew".

TOMASZ STAŃKO i natura rzeczy



Płyta polskiego trębacza *Soul Of Things* nie tylko przyniosła mu kolejny, trzeci już komplet Fryderyków (album i artysta jazzowy), ale i cały muzyczny świat uznał ją za wydarzenie. Głębi muzyki tego artysty towarzyszy głębia rozważań, które zamieszczamy poniżej w formie nieskalanej niepotrzebnym dialogiem.

1 – Sztuka i horyzonty

Jeżeli ktoś jest utalentowanym artystą i wiele ćwiczy, a poza tym ma jeszcze chęć i czas, żeby chodzić do teatru i interesować się innymi rzeczami – musi głębiej grać. To poszerza horyzonty. A że sztuka jest częścią życia, więc i ona staje się szersza.

2 – Słuchanie, czyli inspiracja

Wszyscy czegoś słuchają. Rzecz jasna, co innego słuchać, żeby kogoś naśladować – takie słuchanie zupełnie mnie nie interesuje. Ale przyznam, że kilka taktów z nowego Shortera zadziałało na mnie niezwykle inspirująco. Ta ich wspólna improwizacja i brak podziałów na poszczególne partie solowe – dawno myślałem o tym samym.

3 – Gwałtowny postęp wszystkiego

Wszystko się miesza, ale nie ma od tego odwrotu, bo kula [ziemska – przyp. MUZA] robi się coraz mniejsza. Wszystko dzieje się coraz szybciej, style trwają krótko. Barok trwał dłużej od romantyzmu, romantyzm dłużej od stylów, których w samym XX wieku mieliśmy kilka. Na tym tle nieźle wygląda jazz, który przetrwał jako styl muzyczny już ponad sto lat i pozostaje sztuką kreatywną, wyciskającą piętno na całej kulturze.

4 – Tajemnica wiecznego początku

Mnie nigdy nie było lepiej. Publiczność jest coraz lepsza, coraz bardziej wyrobiona. Ale pamiętam, że Coltrane umarł, że Parker umarł... Nie chcę się wypowiadać, czy jazz skończył się na Coltranie, bo tego nie wiadomo. Jeszcze za życia Bacha działali jego synowie, a muzyka już się zmieniała. Sztuka to tajemnica, tajemne są jej drogi.

5 – Forma a piękno

Mozart jest geniuszem, kwintesencją genialności, a jednocześnie komunikatywności. Dlatego, że Mozart jest geniuszem formy. Dla mnie Ives też jest geniuszem, ale pisze tak skomplikowane formy, że dla wielu ludzi nie jest to do ogarnięcia. A przecież to także muzyka wielka i piękna. Więc niby wymyka mu się forma, ale ma prawo mu się wymykać. Zostaje kryterium piękna, a to są sprawy niezgłębione. I pozostaną takimi.

6 – Filozofia (a)komercyjności

Cecil Taylor... Grałem z nim i facet zrobił na mnie duże wrażenie. Kiedy grał tutaj w Warszawie w 1965 roku, miał standing ovation, czyli ludzie to rozumieli. A przecież ta muzyka to czysty chaos, czysta energia. Totalne free, kompletnie niekomercyjne. Wychodziły mu piękne rzeczy, dyktował nam kompozycje, które od razu zapominał. Zupełnie mu nie zależało, żeby je notować, pamiętać. Ta filozofia akomercyjności była dla mnie niesłychanie szlachetna – idealistyczna i piękna. Są i tacy artyści.

7 – Największa siła jazzu

Największą siłą jazzu jest improwizacja. Podkreśla to Jarrett: on jest improwizatorem. Podejrzewam, że i Mozart był improwizatorem. I dlatego się nie mylił. Miał taki łeb, że improwizował na orkiestrę i limitował go jedynie czas pisania. De facto był to ten sam proces, jaki demonstruje Keith Jarrett na koncercie. Tylko jeszcze trudniej.

8 – Technika komponowania

Komponowanie to pisanie w czasie improwizacji – jeśli ktoś ma odpowiednio wielki mózg, ogarnia formę natychmiast i niczego nie poprawia. Bo jeżeli jest genialny, nie powinien poprawiać. Kiedy się jest Mozartem, po co dyskutować, czy ten akord, czy ten? To wynika konsekwentnie i jest piękne i nienaruszalne. To fascynujący proces, ale nie jestem purytaninem i nie chcę powiedzieć, że jest to jedyna technika.

9 – Nieustająca świeżość

A co to jest naprawianie błędów? To jest korzystanie ze świeżości. W improwizacji, prawdziwej improwizacji, nie ma miejsca na rutynę. A błąd się uzasadnia i przestaje być błędem. Lubię improwizacyjność, bo oznacza dla mnie nieustającą świeżość. To bezwzględnie zostanie i zawsze będzie jazz odróżniać. Ale kompozytorzy nie lubią tego czynnika, bo i tak zostawiają duże pole dla wykonawcy. Dużą niewiadomą.

10 – Mózg poety

Kompozytorzy muzyki poważnej mają inny mózg niż ja. Ich mózg zbliżony jest do matematyki, mój nie. Ja widzę się raczej wśród poetów. Szybkie formy, impresje po nabrzmiałym doświadczeniem życiu. Myślenie bardziej oparte na wrażeniach i na skojarzeniach. Malarskość, czyli też abstrakcja. A idąc dalej: ja param się czymś innym, używając dźwięków do wyrażania się. Czymś innym niż kompozytor.

11 – Ameryka

Myślałem o tym, że jadę z drzewem do lasu. Jazz jest zdecydowanie amerykańską formą sztuki. Kreacja idzie cały czas ze Stanów. Jest parę wyjątków potwierdzających regułę, większość z nich – co tu dużo mówić – nagrywa dla wytwórni ECM. Cała ta stajnia, tacy ludzie jak Garbarek. Manfred Eicher nagrywa tylko muzykę z pierwszej ręki i bardzo zwraca na to uwagę. Mnie się wydaje, że mam osobisty

język i to od początku kariery. Udolny czy nieudolny, ale osobisty. Kultywuję go i staram się go rozwijać, od samego początku miałem swój własny ton, swoje ulubione zwroty melodyczne i harmoniczne. I kocham jazz sensu stricte.

12 – Komeda i inni

To właśnie najbardziej łączyło mnie z Komedą. Myśmy obaj wychodzili ze źródeł mainstreamowych – Miles, Coltrane, muzyka skalowa. Oczywiście u podstaw mojej muzyki jest też Ornette [Coleman], bo zawsze miałem skłonności do nowatorstwa. Łączy mnie to z takimi wykonawcami, jak Don Cherry czy Art Ensamble Of Chicago. Ale ten główny nurt plus mój własny język spowodowały, że najbardziej mogłem być doceniony w Stanach. Krytyka europejska bardzo często porównuje nas do muzyków amerykańskich: ten grał jak ten, a tamten jak tamten. Kopia staje się więc niejako wartością samą w sobie. A to jest prowincjonalizm.

13 – *Kind Of Blue*

Doprawdy, nie wiem dlaczego w Stanach porównano moją płytę do *Kind Of Blue*. Oczywiście jest to najwyższy komplement. My gramy muzykę, której w Ameryce nikt już nie gra. I nie może tak grać, bo powiedzieliby, że gra – pod Milesa. A ja się nieszczególnie tego obawiam, bo mam swój ton, który jest rozpoznawalny. Gram też trochę ad libitum, czego oni w ogóle nie grają. Ad libitum jest klasycznie europejskie, bo ma korzenie w muzyce klasycznej. Mam także inną ekspresję – trochę namieszam free i już mam inną atmosferę. Nie muszę się niczego bać. Zupełnie niczego.

14 – Jazz w ofensywie

Kocham Milesa i kocham ten czas, bo był piękny. Bo z niczego robił muzykę. Z paru dźwięków można było robić piękną muzykę, dającą nastrój. Moja muzyka faktycznie podobała się w Stanach, mamy ósme miejsce w Jazz Times, a to przyzwoite miejsce. Mówi się, że jazz jest w defensywie, a tymczasem na festiwalach w San Francisco i Seattle tłumy ludzi, wielkie zainteresowanie, wręcz entuzjazm. Kluby mogą padać, zresztą teraz wszystko się zmienia, a najwięcej właśnie na scenie klubowej.

15 – Hip-hop czyli rewolucja

To, co dzieje się teraz w muzyce popularnej, demonstruje po raz kolejny siłę tekstu. Zresztą to wcale nie są głupi ludzie. Przeciwnie. Rewolucje mają to do siebie, że ktoś spogląda na tradycję na nowo, innymi oczami. Za pewien czas i ta muzyka stanie się bardziej skomplikowana. Bo może, bo ma w sobie ten potencjał. Jest wielka pogoń za pieniądzem i czasy są dziwne, ale instynktownie czuję, że to nie są gorsze czasy, one są lepsze. Wszystko idzie w dobrym kierunku. Możemy słuchać najlepszych wykonań muzyki poważnej, a jednocześnie gra Wayne Shorter i wszędzie ma pełne sale.

16 – Rytmiczna sublimacja

Jestem przekonany, że sztuka musi być służebna w życiu człowieka. Jest przecież formą poznania. Co leży u podstaw naszej egzystencji? Seks i pewne formy poznania. Sztuka jest jedną z nich. Rytmy stosowane w dzisiejszej muzyce są niewiarygodnie wysublimowane. Poznałem trochę tych ludzi i cenię ich jeszcze za prostotę. My już gdzieś to zgubiliśmy, wspominany Ives doszedł do absurdu w komplikacji formy. Tymczasem oni to redukują. I każdy z nich coś jednak wnosi, ta muzyka żyje.

17 – Melodia i swing

Melodia wróci. Nie wiem kiedy i w jakiej postaci, ale wróci. Nie jesteśmy ograniczeni skalą dur-mol, jest wiele innych skal. A może jednym z moich atutów jest właśnie to, że gram melodie? Huśtanie przestaje być warunkiem jazzu, improwizacja pozostaje. Nawet w hip-hopie jeden huśta, drugi nie. To nie ma wielkiego znaczenia. Dalej jest tak, że w jazzie musi być swing, ale jest to umiejętność, której można się nauczyć. A w rocku nie ma tego wcale. Taki Lenny Kravitz, bardzo muzykalny człowiek, a też nie swinguje. On jest zapatrzony w białą muzykę rockową. Ale blues już huśta.

18 – Rola mistrza

Mam poniekąd poczucie relacji mistrz-uczeń, a jednocześnie nie chcę go mieć. Moich muzyków nie musiałem nigdy uczyć i właśnie dlatego z nimi gram. Przed pierwszym koncertem, jaki zagrałem z Michałem i ze Sławkiem, mieliśmy 20 minut na zrobienie całego repertuaru. I oni to zagrali jak najlepsi muzycy. Nie jestem nauczycielem i nie poczuwam się do tej roli. Muzyk musi mieć od początku instynkt. Ale też z drugiej strony, rozmawiamy razem i często sam sobie pewne rzeczy porządkuję. Ostatnio rozmawialiśmy o free jazzie i doszliśmy do wniosku, że jest to pewna filozofia – trzeba ją znać, żeby w ogóle grać free. Tkwi więc w tym pewna sprzeczność.

19 – Gra zespołowa

Gra zespołowa to pewien ideał, do którego się dąży, a którego się nigdy nie osiągnie. Mówimy o tajnikach improwizacji. Mówimy o niuansach – jak ważne jest to, żeby na siebie patrzeć, wtedy łatwiejsze jest „razem". Może być niedokładne, ale „niedokładne razem". Sam patrzę na nich kątem oka, bo jest mi wtedy łatwiej grać precyzyjnie takie gumowe falowanie. Razem się uczymy. Ja ich trochę uczę kompozycjami, bo jestem piekielnie wymagający. To ważne, że jak jest seksta w akordzie, żeby o tym wiedzieć. Potem można jej nie grać, można ją kompletnie olewać. Ale wie się, że tam jest.

20 – Puste studio

Przed nami nowy, autorski album. Tylko w kwartecie. Mamy już termin, dokładnie 23-26 lipca robimy nowe nagrania dla ECM. Część nowych kompozycji grałem już na ostatniej trasie, ale ten proces to właśnie wielka improwizacja. Zbieram materiały, dużo materiałów. Tak że teraz sporo wiem, ale mam nadzieję, że coraz mniej będę wiedział przed nagraniem. Wreszcie już nic nie będę wiedział, to wtedy wejdę do studia i będzie szansa na kolejny udany album. Podstawa to nic nie wiedzieć.

Wysłuchał w skupieniu
Daniel Wyszogrodzki

Fot. Andrzej Tyszko/ECM



Tomasz Stańko Quartet
Od lewej:
Sławomir Kurkiewicz – kontrabas
Michał Miśkiewicz – perkusja
Marcin Wasilewski – fortepian
Tomasz Stańko – trąbka

CHOPIN – wydanie narodowe

Najważniejszy Fryderyk przypadł w tym roku wyjątkowej edycji fonograficznej. Po raz pierwszy otrzymaliśmy komplet dzieł Fryderyka Chopina w eleganckiej, pięknie wydanej serii. Co więcej – jest to* Wydanie Narodowe *dzieł mistrza.

Ale czym właściwie jest „wydanie narodowe"? Zwracam się z tym pytaniem, do producenta i wydawcy serii, pana Marka Wierońskiego, szefa wytwórni BeArTon:
Wydanie „narodowe" może kojarzyć się z wydaniem pomnikowym dzieł wielkiego kompozytora, a tymczasem jest to wydanie... źródłowe. I pod tym pojęciem kryje się zasadnicza treść. Profesor Jan Ekier, który jest autorem nutowej edycji tego wydania, od bez mała czterdziestu pięciu lat zajmuje się redagowaniem nowej wersji nutowej pełnego dzieła Fryderyka Chopina, pod kątem jego zgodności z wolą kompozytora. Senat Rzeczpospolitej nadał więc tej edycji oficjalne miano i rangę narodowej.



Jakie są źródła takiej edycji? Co jeszcze zachowało się z czasów życia Chopina?
Profesor Ekier sięgnął po maksymalny zakres źródeł. Bierze pod uwagę wszystko, więc w konsekwencji pojawiają się warianty tekstu Chopinowskiego. Pamiętajmy, że jest to twórczość in statu nascendi – twórczość otwarta. Wszak nawet sam kompozytor nie był przekonany do jednej wersji!

Chopin był znakomitym improwizatorem...
Słynął z tego. A *Wydanie Narodowe* pokazuje wykonawcy, że można to grać tak albo tak. Pod jednym warunkiem: trzeba się trzymać jednego, przyjętego wariantu. Dla wykonawców jest to niesłychanie inspirujące i fascynujące. Otrzymali wybór. Dlatego też jest to odkrywanie muzyki Chopina na nowo.

Czy na *Wydanie Narodowe* składają się nowe nagrania?
Wyłącznie nowe. Zgodne – po raz pierwszy – z kanonem źródłowym. Nasza praca w studiu nad nagraniem na nowo wszystkich dzieł Fryderyka Chopina trwała sześć lat.

A jaki był klucz doboru artystów?
Waga projektu nakazywała sięgnąć po najlepszych polskich pianistów chopinowskich. To było najważniejsze. Czynnikiem drugorzędnym – choć nie bez znaczenia – jest fakt, że są to laureaci konkursów chopinowskich. Albo warszawskiego, albo innych. Jest pięcioro solistów: Ewa Pobłocka, Piotr Paleczny, Janusz Olejniczak, Krzysztof Jabłoński i Wojciech Świtała. Towarzyszy orkiestra Sinfonia Varsovia, prowadzona przez dwóch dyrygentów: Jerzego Maksymiuka i Jacka Kaspszyka. Dobry przykład optymalizowania sił twórczych to połączenie, jakie przy nagraniu dwóch koncertów fortepianowych stworzyli Piotr Paleczny, Jerzy Maksymiuk i Sinfonia Varsovia. To optymalne połączenie, ale także kreacja artystyczna, która zaistniała pierwszy raz.

Wydawało mi się, że pewien kanon stworzył Zimerman z Orkiestrą Festiwalową, nagrywając oba koncerty po bardzo udanej milenijnej światowej trasie koncertowej.
Osoba wybitnego pianisty wywołała wielkie zainteresowanie tymi nagraniami, które odniosły wielki sukces rynkowy. Natomiast pomiędzy wykonaniami Zimermana i *Wydaniem Narodowym* istnieje wiele istotnych różnic. Zimerman oparł się na uznanym źródle. W jego przypadku była to edycja Breitkopfa, poddana zresztą przez prof. Ekiera gruntownej rewizji. Ale poszedł – jeśli brać pod uwagę intencje kompozytora – zbyt daleko. Materia muzyczna została potraktowana swobodnie. Przełożyło się to m.in. na długość trwania utworów.

Oba koncerty są u Zimermana wyjątkowo długie...
Właśnie. Natomiast w przekonaniu chopinistów jest to sprzeniewierzenie się idei kompozytora. Oczywiście można interpretować muzykę każdego kompozytora na wiele sposobów, ale ostatnio dochodzi do głosu tendencja powrotu do źródeł, czyli oddania oryginalnych intencji twórcy z jak największą pieczołowitością. Przykładem wcielania jej w życie są nowe nagrania muzyki barokowej. Już nie tylko sięga się po oryginalny zapis nutowy, ale wręcz po instrumenty dawne, instrumenty z epoki.

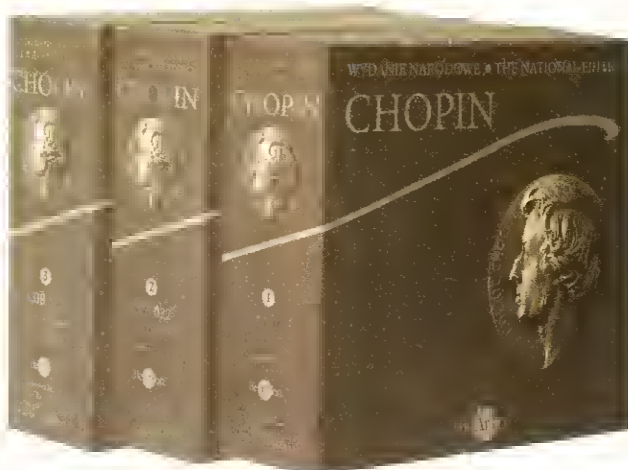
Dlaczego nie sięgnął pan po młodych wykonawców muzyki Chopina?
Młody artysta, nawet genialny, nieczęsto potrafi myśleć w kategoriach cyklu. A my nagrywaliśmy pełne cykle utworów – ma-

zurków, nokturnów, etiud czy preludiów. Etiudy czy preludia to nie są pojedyncze utwory. To skończone cykle tematyczne.

Na czym polegają różnice w zapisie, a więc także w wykonaniu utworów?
Dla niewtajemniczonego melomana mogą się one wydawać małe. Powołam się na przykład Polonezów nagrywanych przez Janusza Olejniczaka. On trochę się zżymał, że ma przejście z pianissimo do fortissimo, a nie wolno mu zrobić crescendo. Wydaje się to naturalne, a tymczasem – według Chopina – nie wolno go robić w tym miejscu. Przy pozornie małej zmianie następuje przesunięcie punktu ciężkości całej formy.

Skąd wzięły się tak istotne różnice w wydaniach nutowych?
Kiedyś nie było praw autorskich. Panowała swoboda wydawnicza i wielka dowolność w samych edycjach. Redaktor wydania wychowany był na muzyce swojej epoki, znał ją i rozumiał. A Chopin to kompozytor prekursorski, wybiegający poza swoją epokę. Dlatego kiedy w jego kompozycjach pojawiały się rozwiązania nietypowe – a było ich wiele – redaktorzy „poprawiali" je. Owocowało to zwykłymi uproszczeniami. Akordy nietypowe przerabiano na „ładne", a nietypowe skale na system dur-moll.

Przecież czwarta część Sonaty b-moll to muzyka współczesna. Ekspresjonizm!



Edycja kompaktowa, która powinna – obok *Trylogii* i *Pana Tadeusza* – znaleźć się w każdym polskim domu.

A więc *Wydanie Narodowe* może zmienić nasz wizerunek Chopina?
Ta bezcenna praca przywraca autentyczne oblicze Chopina. I okazuje się, że nie był to wcale kompozytor grzeczny, salonowy, idol egzaltowanych panienek. To geniusz muzyczny, który wyprzedza swoje czasy o co najmniej dwie muzyczne epoki!

Zacytujmy wreszcie samego kompozytora, który bardzo jasno sformułował stosunek do własnego dorobku, jak zapamiętał to jeden z jego przyjaciół, Antoine Marmontel: „Chopin nie znosił w swoich kompozycjach żadnych zmian tekstu i uważał, że należy grać jego tekst tak jak został napisany. Chopin nie wyłączał z tych zastrzeżeń nawet swoich przyjaciół – w tym Liszta" [cytowane za Jan Ekier, *Wydanie Narodowe*].

Na koniec dobra wiadomość dla kolekcjonerów: Te dwanaście albumów (14 CD) zawiera jedynie utwory wydane za życia kompozytora i składa się na tzw. Serię A *Wydania Narodowego* dzieł Fryderyka Chopina. A więc ciąg dalszy nastąpi.

Z wydawcą serii, Markiem Wierońskim, rozmawiał Daniel Wyszogrodzki



DJ POOK





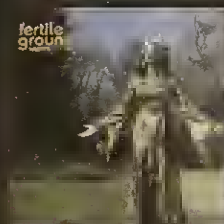
Marcin Puk

Fot. Archiwum Radia Jazz

Muzykę puszcza od 5 lat. Przedstawiciel klubowej sceny offowej vel intelligent dance music. Obecnie pracuje w warszawskim klubie Trasa (organizator imprez) i Radiu Jazz (czwartkowe autorskie sety DJ-skie w ramach „Sety Fusion"). Nie lubi nazywać się DJ-em – kojarzą mu się oni z megaspędami, a on preferuje bardziej kameralne miejsca i bliski kontakt z bawiącymi się: „W mniejszym klubie można pozwolić sobie na eksperymenty i wszczepianie ludziom swoich propozycji – jest w tym jakiś element edukacji. A świeże, ciekawe trendy muzyczne pojawiają się najczęściej w podziemiu, i to właśnie DJ-e dają o nich znać publiczności". Marcina zawsze interesowały fuzje muzyczne – łączenie soulu, funku i jazzu z nowoczesnymi, elektronicznymi brzmieniami, tak jak dzieje się to np. w gatunku digital soul.

es

Marcin poleca winyle, które często goszczą na jego adapterach:



FERTILE GROUND
Season Change Counter Point rec.

To pozycja wprawdzie z ubiegłego roku, ale w naszym kraju raczej mało znana. Wysmakowana muzyka rozrywkowa na wysokim poziomie. Bezpretensjonalna i mocno nasłoneczniona, unosi swoją lekkością, bujając funkowo-hiphopowymi groovami. W warstwie muzycznej doszukać się można wielu wpływów: od funku, soulu, jazzu i hip-hopu po elementy afrykańskie (głównie za sprawą stylu znakomitej czarnoskórej wokalistki); wszystko to jest idealnie ze sobą zestrojone – ma się wrażenie słuchania doskonałego koncertu.



DUBLUB PRESENTS SUMMER SELECTIONS

Singiel ten nie jest zwykłym samplerem do lounge'owo-bezpłciowej kompilacji, jakich ukazało się ostatnio wiele na naszym rynku (Budda Bar, Private Lounge). Trzy utwory, znajdujące się na tej płytce, wydane zostały przez Dublub – wydawnictwo znane głównie jako internetowe radio. Na uwagę zasługuje utwór Burnta Friedmana – wyjątkowa hybryda elektroniki i akustycznego dubu – oraz mój faworyt, Cody Chesnutt, prezentujący utwór spod znaku digital soul; przejmujący, soulowy wokal połączony został z nowoczesnym, dubowodowntempowym i lekko złamanym podkładem, tworząc rzecz niezwykłą, przywołującą najlepsze skojarzenia z klasycznym soulem lat 70.



Pół miliona winyli

Endtroducing... ***DJ-a Shadowa czy składanki typu* Turntable Essence *to mistrzostwo łączenia na adapterach różnych dźwięków i brzmień: muzyki klasycznej, hip-hopu, soulu, latino... Jak wyglądały początki zabaw DJów?***

SCRATCH – (ang. drapać, rysować) – poruszanie do przodu i do tyłu winylowym krążkiem w trakcie jego odtwarzania na adapterze. Za wynalazcę scratchowania uchodzi Grand Wizard Theodor „Wielki Czarodziej". Było to na początku lat 70. Od tego czasu scratch przeszedł wielką ewolucję, a scena hiphopowa stała się masową, światową subkulturą.

23 maja na ekrany polskich kin wchodzi *Scratch* – dokument o zjawisku scratchowania, pokazanym od podszewki. Pokazuje nieznany świat DJ-ów hiphopowych, sięga do początków gatunku; opowiada o pierwszych próbach scratchowania na płytach winylowych i o wpływie hip-hopu na tancerzy break dance'u i rapu. Twórcy filmu wspominają także o najnowszym ruchu hiphopowym, zwanym „turntablism". Przede wszystkim jednak jest to historia o DJ-ach, którzy sprawili, że sposób, w jaki słyszymy i odbieramy muzykę, zmienił się radykalnie.

Reżyserem obrazu jest Doug Pray, twórca wielokrotnie nagrodzonego filmu *Hype!* – dokumentu poświęconego historii powstania i rozwoju muzycznej sceny rockowej w Seattle.

Scratch jest zlepkiem kilkunastu wywiadów, przeprowadzonych z protoplastami i legendami hip-hopu oraz scratchowania. Na ekranie pojawiają się Qbert, Rob Swift, X–Ecutioners, Steve-Dee, Cut Chemist & Nu Mark (z Jurassic 5), DJ Craze, The Bullet Proof Scratch Hamsters, The Beat Junkies (wspólnie z Babu, z Dilated Peoples), Z-trip, DJ Premier (Gang Starr), DJ Swamp (Beck), MixMasterMike (Beastie Boys), a także legendy oldschoolowe, tj.: Afrika Bambaataa, Grand Mixer DXT, Jazzy Jay i Grand Wizard Theodor. Tłem do ich opowieści są ulice oraz przedmieścia Los Angeles i Bronksu. Wykorzystano także relacje z imprez i konkursów scratchowania. Jednym z najbardziej niesamowitych fragmentów filmu jest rozmowa z Jazzy Jay'em w jego domu w Brooklynie, gdzie artysta chwali się swoją kolekcją ponad 350 tys. płyt. DJ Shadow zaprasza filmowców do sklepu muzycznego, w którym jako nastolatek spędzał całe dnie. Właściciel sklepu tylko jemu pozwalał wchodzić do piwnicy, gdzie DJ Shadow mógł do woli buszować wśród prawie 500 tys. winyli. Jeden ze współproducentów filmu, John Carluccio, prezentuje unowocześniony przez niego system zapisu technik gry na adapterach, tak by kompozycje DJ-ów mogły w przyszłości stać się swego rodzaju podręcznikiem dla początkujących. Kamera zawędrowała także do Nowego Jorku, gdzie odbywała się pierwsza na świecie konwencja Skratchtona. Ekipa pojechała również specjalnie do San Bernardino, aby sfilmować koncert DJ Premiera oraz Gang Starr.

Scratch, utrzymany w bardzo surowym klimacie amatorskiej produkcji, jest jednocześnie bardzo profesjonalny pod względem merytorycznym. Porządkuje w przejrzysty sposób całą historię hip-hopu. To obowiązkowa pozycja dla znawców i tych, którzy o muzyce chcą wiedzieć ciut więcej. Uprzedzam, że po obejrzeniu filmu na długie godziny pozostaje w palcach mimowolny odruch scratchowania.

Marta Ślendak

Fot. Vision



wehikuł czasu

czerwiec 1963

Singiel #1

LESLIE GORE
It's My Party
Autorzy: Gluck/Gold
Producent: Quincy Jones
2 tygodnie na topie



Lesley Gore miała 17 lat i trzy dni, kiedy śpiewana przez nią piosenka *It's My Party* weszła do Hot 100. Jest to jeden z najciekawszych debiutów na listach przebojów. Młoda dziewczyna z New Jersey śpiewała w zespole, który usłyszał przypadkiem świeżo upieczony producent wytwórni Mercury - nazywał się... Quincy Jones. Odwiedził piosenkarkę w domu, wspólnie wybrali repertuar i nagrali w profesjonalnym studio cztery numery. Lesley była dużą dziewczynką, nie spodziewała się cudu. Nie wierzyła nawet, że jej debiutanckie nagrania ujrzą światło dzienne. Możemy sobie wyobrazić jej zdziwienie, kiedy w sześć dni później usłyszała w samochodowym radio samą siebie, śpiewającą *It's My Party*! Zaparkowała przed domem znajomych i zdążyła jeszcze zadzwonić do matki, podając częstotliwość nowojorskiej stacji WINS, która zagrała ją pierwsza. Był marzec. Trzy miesiące później miała hicior numer jeden.
Nastolatka z New Jersey była trzecią najmłodszą kobietą na pierwszym miejscu w historii listy przebojów. Ubiegły ją 15-letnie Little Peggy March z hitem *I Will Follow Him* (# 1 w kwietniu 1963) i Brenda Lee z *I'm Sorry* (lipiec 1960).
Warto zaznaczyć, że *It's My Party* to pierwszy hit numer jeden w imponującej karierze producenta Quincy Jones (m.in. Michael Jackson) oraz inżyniera dźwięku Phila Ramone (m.in. wszytkie nagrania duetu Simon & Garfunkel i solowe płyty Paula Simona).

1963

COME ON
I WANT TO BE LOVED
the rolling
STONES



Skromny początek

Ukazuje się pierwszy singiel The Rolling Stones, *Come On* (autorem piosenki jest Chuck Berry). Ich numer trafi na 21 pozycję na liście przebojów, za to oni sami trafili właśnie na cudotwórcę promocji i marketingu. Menażerem grupy został 19-letni Andrew Loog Oldham, który wpadnie na pomysł, żeby Stonesi, jako „niegrzeczni chłopcy", stali się przeciwieństwem Beatlesów, czyli „grzecznych chłopców" i wymyśli hasła w rodzaju: Czy pozwoliłbyś swojej siostrze pójść na koncert Stonesów? Albo: Złe wieści to dobre wieści dla The Rolling Stones. Naturalny geniusz socjotechniki.

1963

Spółka autorska

Beatlesi - największe wyzwanie dla debiutujących Stonesów - cieszą się tymczasem sukcesami autorskimi. Piosenki zielonej jeszcze spółki autorskiej Lennon/McCartney (w takiej i tylko takiej kolejności) wykonują inni artyści i odnoszą sukcesy. *Do You Want To Know A Secret*, w wykonaniu kolegów z Liverpoolu, zespołu Billy J. Kramer & The Dakotas, dochodzi do szczytu brytyjskiej listy singli, natomiast popularny w Stanach piosenkarz Del Shannon wprowadza *From Me To You* na 77 miejsce amerykańskiej listy Hot 100. Moment jest historyczny - pierwszy raz utwór Lennona/McCartneya trafia na amerykańską listę przebojów. Ale nie ostatni...



1983



W 10 lat po pamiętnej kłótni w czasie koncertu w Hollywood, kiedy to brat Phil strzaskał gitarę i zszedł ze sceny, duet The Everly Brothers ponownie połączył siły, dając gorąco przyjęty występ w londyńskiej Royal Albert Hall. Ten bardzo wpływowy zespół (chłopcy łączyli harmonie wokalne rodem z Appalachów z rock'n'rollem, co wywarło wielkie wrażenie m.in. na Beatlesach oraz na duecie Simon & Garfunkel) ma na koncie serię wielkich hitów, w tym legendarny hymn onanistów, *All I Have To Do Is Dream*.

1983



1983

Co za dzień! Dokładnie 4 czerwca rozwiązują się dwa ważne zespoły nowofalowe - irlandzka grupa The Undertones i australijska, Birthday Party. Solista pierwszego z nich, Feargal Sharkey zaśpiewa jeszcze brytyjski hit numer jeden, *A Good Heart* w 1985, drugi solista zaśpiewa jeszcze sporo innych rzeczy - wokalista Birthday Party nazywa się Nick Cave

1983

Album #1



Flashdance - soundtrack

Kolejny – po wylansowaniu m.in. Donny Summer – komercyjny tryumf producenta, Giorgio Morodera. Płyta z muzyką z popularnego filmu przyniosła takie hity, jak *What A Feeling* (Irene Cara) albo Maniac (Michael Sembello), ale Moroder miał też na koncie *Call Me* w wykonaniu Blonde (film *American Gigolo*). Czyni go to jednym z najlepszych producentów muzyki tanecznej w USA, zarówno ery wczesnego, jak i późnego disco.

wyszperał Daniel Wyszogrodzki

czerwiec 1973

Album #1

PAUL McCARTNEY & WINGS
Red Rose Speedway
Producent: Paul McCartney
3 tygodnie na topie

Solowe albumy dwóch byłych Beatlesów - Paula i George'a - trafiły w czerwcu na pierwsze pozycje amerykańskiej listy płyt długogrających. Paradoksalnie, *Red Rose Speedway* to bodaj najsłabsza płyta w całym bogatym dorobku McCartneya i o jej sukcesie zdecydowało wyłącznie niebywałe powodzenie singla *My Love* - poza tą piosenką na całej płycie nie ma ani jednego utworu wartego polecenia. Inżynier dźwięku, Glyn Johns, obrazowo opisał stan Paula, mówiąc że artysta „nie potrafił się zdecydować, czy chce być basistą w zespole, czy McCartneyem". Satysfakcję mógł przynieść Paulowi fakt, że z pierwszej pozycji strącił album The Beatles 1967-1970, składankę singli swojej odrzuconej kapeli. Na ironię zakrawa jednak, że z kolei jego - po trzech tygodniach czerwca - zdetronizował z pierwszej pozycji na liście... młodszy kolega z bylego zespołu, gitarzysta George Harrison. Dla odmiany jego płyty, *Living In The Material World*, słuchamy z przyjemnością nawet dzisiaj - zawiera niemal same udane piosenki i ma pozytywną, przyjazną, naturalną wibrację.
„W owym czasie nuciłem na okrągło Hare Krishna" - wspominał jej nagranie Harrison - „a muzycy brali narkotyki w łazience, żebym tego nie widział. Taki byłem wtedy czysty".
Na osłodę Big Mac trafił jeszcze na listy przebojów singlem spoza żelaznej dyskografii - piosenka *Live And Let Die* (Żyj i pozwól umierać) pochodzi ze ścieżki dźwiękowej kolejnej części filmowych przygód Jamesa Bonda i należy do najciekawszych i najlepiej zaaranżowanych utworów w całym dorobku Paula. Singiel wszedł przebojem do Top 10. Niezłe numery: (George) - *Give Me Love (Give Me Peace On Earth)*, *Who Can See It*, *Don't Let Me Wait Too Long*; (Paul) - *My Love*, *Live And Let Die* (singiel)



Lista przebojów - czerwiec 1963

US #1 POP 45
Sukiyaki - Kyu Sakamoto
US #1 POP LP
Days Of Wine And Roses - Andy Williams
US #1 R&B 45
It's My Party - Lesley Gore
UK #1 POP 45
Do You Want To Know A Secret - Billy J. Kramer & The Dakotas

Lista przebojów - czerwiec 1973

US #1 POP 45
My Love - Paul McCartney & Wings
Give Me Love (Give Me Peace On Earth) - George Harrison
US #1 POP LP
Red Rose Speedway - Paul McCartney & Wings
Living In The Material World - George Harrison
US #1 R&B 45
One Of A Kind (Love Affair) - The Spinners
UK #1 POP 45
Can The Can - Suzi Quatro
UK #1 POP LP
Aladdin Sane - David Bowie

1973

Płowiejąca purpura



Po koncercie w Osace zespół Deep Purple opuszcza zdegustowany wokalista, Ian Gillian. W jego ślady idzie w kilka dni później Roger Glover (gitara basowa). Jako oficjalną przyczynę muzycy podają „zmęczenie", ale wiadomo, że to chimeryczny gitarzysta Ritchie Blackmore dał się im we znaki. Zastąpią ich wkrótce dwaj nowi, przejściowi „purpulaci" - David Coverdale i Glenn Hughes. I to już początek końca. Uwaga! To nie była trasa, w czasie której zarejestrowano historyczną płytę Made In Japan - tamta odbyła się w Japonii rok wcześniej i ukazuje zespół u szczytu formy.

1973

Brali z palca



Niewiele osób pamięta dzisiaj, że pierwszym dzieckiem Micka Jaggera była... czarnulka. Ale jej mama, wokalistka śpiewająca w musicalu *Hair*, Marsha Hunt, to jedynie epizodzik seksualny w życiu gwiazdora A.D. 1971 i już w czerwcu roku 1973 musiała upomnieć się o swoje prawa przed sądem. Ten stary sknera nie chciał jej płacić alimentów i posunął się nawet do zbadania grupy krwi! Na szczęście mała Karis ma bużkę tak podobną do paszczęki tatusia, że ten będzie musiał ją w końcu usynowić (tutaj: ucórzyć).

1973



Jaskółka wyzwolona

Nagroda dziennikarzy XI KFPP w Opolu przypadła piosence *Jaskółka uwięziona*, wykonywanej przez Stana Borysa. Prestiżowe wyróżnienie - przyznawane niejako na przekór orzeczeniom opolskiego jury - dotyczyło utworu, który stał się w polskiej muzyce popularnej symbolem piosenki artystycznej wysokich lotów. Był to tryumf interpretacyjny jednego z naszych najbardziej oryginalnych wokalistów, który - wielka szkoda - wyjechał do USA i zmarnował talent, jakiego potem nie było.

1993



Zespół U2 przemierza Europę z trasą koncertową *Zooropa '93*, a tymczasem nowojorski dziennik *The New York Post* podaje, że wytwórnia PolyGram (dystrybutor Island) zapłaciła za przedłużenie kontraktu z Irlandczykami ponad 200 milionów dolarów! Bardziej prawdopodobna wydaje się suma 50-60 milionów, podana oficjalnie. Akcję kwartetu z Dublina podniosła z pewnością nagroda World Music Award dla Najlepiej Sprzedającego Się Artysty Irlandzkiego. Bono zaczyna wierzyć w misję!

1993



1993

Pracowity miesiąc Bossa, ale „Szef" to bardzo zapracowany człowiek. Nie tylko jest gościem na ślubie Mariah Carey z Tommym Mottolą (dziewczyna widziała jeszcze światełko w tunelu...), nie tylko występuje w ostatnim w ogóle legendarnym programie NBC-TV „Late Night With David Letterman" (śpiewa - rzecz jasna - *Glory Days*), to jeszcze gra dla ludzi chorych i potrzebujących na koncercie charytatywnym zorganizowanym w Madison Square Garden. A wszystko to oczywiście w Nowym Jorku.

Album #1



Janet Jackson – Janet

Tej siostrze nieszczęsnego Michałka udało się pójść własnym torem i odnieść sukces niezależny od losów braciszka. Zaczęło się od płyty *Control* (# 1, lipiec 1986), potem było słynne *Rhythm Nation 1814* (# 1, październik 1989 - sześć singli w Top 5 i trzy single numer jeden), wreszcie ukoronowanie tryptyku, za którym stał producencki tandem Jimmy Jam & Terry Lewis. Trzecia płyta przyniosła aż siedem singli Top 10, w tym dwa kolejne (to wielka rzadkość) hity numery jeden: *That's The Way Love Goes* i *Again*.

Fot. Archiwum, M Picture

GRZEGORZ BRZOZOWICZ



40 lat minęło...

Dla mojego pokolenia serial telewizyjny *Czterdziestolatek* jest jednym z symboli epoki towarzysza Gierka, czyli dla niewtajemniczonych: okresu dobrobytu pierwszej połowy lat 70. ubiegłego wieku.

Cała Polska śledziła losy rodziny technokraty Karwowskiego, a my, nastolatkowie, niezależnie od wyznań piłkarskich byliśmy przekonani, że do czterdziestej wiosny jest nieskończenie daleko. Notabene tak czuli i czują wszyscy nastolatkowie, niezależnie od krainy czy epoki, w której przyszło im żyć i tyć.

No i cóż, „40 lat minęło jak jeden dzień", jak śpiewał w czołówce *Czterdziestolatka* król dancingowej klezmerki Andrzej Rosiewicz, i moja generacja nieuchronnie zmierza ku piątemu krzyżykowi. Nie, moi drodzy, nie będą to utyskiwania mężczyzny w trakcie kryzysu wieku średniego. Nie będę wam udowadniał, że prawdziwy rock był, kiedy grzmieli Parple, Cepelini i Pistolsi... Zresztą wcale tak nie myślę.

Chciałem wam tylko zwrócić uwagę, że rok 2003, czyli obecny, jest rokiem wielkiego jubileuszu polskiej muzyki rockowej. Nie wiedzieliście? No, więc ja, 43-letni Gryzmoł Bzdurowicz (tak mnie ochrzcił wielce szanowny Czesław Niemen), niniejszym informuję, że w 2003 roku czterdzieści lat kończą: Paweł Kukiz (kwiecień), Fiolka Najdenowicz (grudzień), Kuba Wojewódzki, Andrzej Zeńczewski (grudzień), Krzysztof Zwadka (grudzień), Robert Matera (październik), Olaf Deriglasoff (marzec), Robert Gawliński (sierpień), Kostek Yoriadis (styczeń), Kazik Staszewski (marzec), Muniek Staszczyk (grudzień)...

Albo inaczej: to wówczas urodzili się muzycy tak ważnych dla krajowej sceny zespołów, jak Kult, Piersi, Aya RL, Daab, T.Love, Apteka, Szwagierkolaska, KNŻ, Dezerter, Wilki, Homo Twist, Pudelsi... Powiedzcie, czy znacie inny równie płodny rok dla historii polskiego rocka, niż ten zapomniany 1963? A czy wiecie, że wówczas wymyślono hologram i telefon z przyciskami zamiast tarczy, zastosowano po raz pierwszy kod pocztowy przy adresach i replay podczas transmisji sportowej, brytyjska telewizja zniosła zakaz mówienia w program rozrywkowych o seksie i rodzinie królewskiej, w Hollywood powstał pierwszy klub, The Whisky A Go-Go, w którym grano do tańca z płyt, pierwsza kobieta była w kosmosie, oraz urodzili się Quentin Tarantino, George Michael, James Hetfield, Whitney Huston oraz Robert Smith z The Cure.

Jestem świadomy, że przedstawiona przeze mnie lista narodzonych w 1963 r. muzyków może być też traktowana jako donos. Bo czy mając 40 lat, można wciąż udawać, że jest się głosem młodego pokolenia? Nie, nie zamierzam wystawiać jubileuszowych cenzurek. Dla mnie niewątpliwe jest tylko to, że z tej listy postacią pierwszoplanową jest Kazik. Dzięki swojej postawie i dorobkowi artystycznemu jest niepodważalnym autorytetem na naszej scenie i to nie tylko rockowej. Niestety, jednocześnie zbyt szybko stał się świętą krową. I to najmniej z własnej woli. Okazuje się, że dla recenzenckiej braci Kazik-Autorytet nie podlega krytyce. I mamy szkopuł, bo Kazik-Autorytet nagrał płytę z piosenkami innego autorytetu i to zagranicznego – Toma Waitsa. Werdykt został wydany jeszcze przed ukazaniem się albumu. A ja mówię NIE! To po prostu słaba płyta. Kapela brzmi cienko i w żaden sposób nie umie uchwycić radosnego, jarmarcznego charakteru muzyki Amerykanina, a to jej podstawa. Kazik nie jest w stanie podrobić Waitsowskiej maniery wokalnej, bo nikt poza Tomem tego nie dokona, i śpiewa po swojemu. Recenzenci piszą: „No i dobrze, przecież Kazik to indywidualność. Zaprezentował nam nowe spojrzenie na muzykę klasyka". Indywidualnością z pewnością jest, tylko twierdzę, że najzwyczajniej ma on oziębły stosunek do piosenek Waitsa. I zaprezentował nie „nowe spojrzenie", tylko ubogą szwagierkolaskę. Jego interpretacje są beznamiętne. I co najgorsze, w żaden sposób nie umie uchwycić klimatu tego typu grania. Waitsa albo się czuje, albo lepiej się do niego nie zbliżać.

Kazik wielkim artystą jest i basta. Życzę i jemu, i nam, żeby nasz zacny jubilat wrócił do własnego pióra i własnych rozterek. Czas też przestać zgrywać się na pseudohardcorowca i zawiesić KNŻ. Wiek nobilituje.

Czy mając 40 lat można wciąż udawać, że jest się głosem młodego pokolenia?

Fot. Radomski Inc.

rock/pop/r'n'b



A-HA
How Can I Sleep With Your Voice In My Head
Warner

Na początku zadałam sobie pytanie, czy tak nudno będzie do końca. Pod koniec jednak poczułam niedosyt.

Dwupłytowy album *How Can I Sleep With Your Voice In My Head* to koncertowy zapis największych przebojów norweskiego zespołu. Pierwsza płyta w niczym jednak nie oddaje atmosfery koncertu. Jedynie oklaski pojawiające się między piosenkami przypominają o tym, że to nagranie koncertowe; utwory brzmią jak nagrane w studiu - bez improwizacji i emocji. Wydaje się, że zespół zagrał mechanicznie, poprawnie, jakby był już znudzony swoimi przebojami. Atmosfera rozkręca się nieco wraz z utworem *The Sun Always Shines On TV*, ale po chwili znów opada. Na szczęście druga płytka jest znacznie żywsza i ciekawsza. Dopiero na niej czuć klimat koncertu i przestrzeń, a po ostatnim - *Sycamore Leaves* zostaje niedosyt.

Agnieszka Borkowska



AND YOU WILL KNOW US BY THE TRAIL OF DEAD
The Secret of Elena's Tomb EP
Interscope

Idealny przewodnik po muzyce teksańskiego kwartetu.

Epkę otwiera pokręcony i żywiołowy *Mach Schau*. W *All St. Day* monofonne bębny i przesterowane gitary są tłem dla lekko histerycznego wokalu. *Crowning of a Heart* jest bardziej psychodeliczny i łagodny. To dobry wstęp dla ballady, *Counting Off the Days*. Podobnie rozpoczyna się *Intelligence*, ale rytm wybijany na perkusji przyspiesza, a wokal staje się ekspresyjny. Zespół świetnie czuje się w kompozycjach stylistycznie złożonych. Muzycy z lekkością bawią się tempem i nastrojem przeskakując od agresji do... ulotności. Albumy *Madonna* oraz *Source Tags & Codes* zostały uznane za muzyczne wydarzenie. Ta Epka to może małe, ale jasne potwierdzenie klasy i wyobraźni zespołu.

Dagny Kurdwanowska

muza poleca rock

BLUR
Think Tank
EMI

Lekcja poglądowa na temat: "jak stworzyć wybitną płytę bez swojego najlepszego muzyka?"

Załóżmy (choć to mało realne), że są jeszcze facy fani rocka, którym niewiele mówi nazwa grupy. Idę o każdy zakład - żaden z nich po przesłuchaniu tej płyty nie uwierzyłby, że Blur był (jest?) określany mianem "zespołu gitarowego". *Think Tank* to jedno wielkie machnięcie ręką na pożegnanie tym, którzy przed laty ukuli nieszczęsny termin "britpop" i siłą rozpędu dopasowali doń twórczość ekipy Damona Albarna. Cóż, nawet bardzo pobieżne porównanie ostatnich produkcji braci Gallagherów z tym albumem pokazuje jak bezmyślny był to werdykt. Ale metkowanie artystów to przecież jedna z ukochanych konkurencji prasy (zwłaszcza brytyjskiej), czyż nie? Dość przestawiania klocków w gitarowych akordach, witamy w świecie rockowej futorologii! "Nie mam już się czego bać" - śpiewa Albarn w otwierającym płytę *Ambulance*. To słowa (modlitwy, a może buntu?) skierowane do Boga. Później jest, nagrany z udziałem muzyków z Marakeszu, piękny *Out Of Time*. Następnie coś z zupełnie innej bajki, czyli zawierający odczłowieczone odgłosy, dynamiczny *Crazy Beat* (gościnnie przy konsolecie Fatboy Slim). Całość jest wyborną mozaiką nastrojów choć zdecydowanie więcej tu fragmentów spokojnych, ba, wręcz ckliwych (min. nagrany z Williamem Orbitem w roli współproducenta *Sweet Song*, najpiękniejszy na płycie *Caravan* i chyba najbardziej zaskakujący w dorobku Blur *Jets* z długą partią saksofonu). W finałowym *Battery In Your Leg*, jedyny raz na płycie, pojawia się Graham Coxon. To pożegnanie, będące jakby mistrzowską fuzją *A Whiter Shade Of Pale* Procol Harum i beatlesowskiego *The Long And Winding Road*. Warto wierzyć w Blur, nawet bez Coxona. Gorąco do tego zachęcam.

Piotr Stelmach



AND YOU WILL KNOW US BY THE TRAIL OF DEAD
Sources, Tags & Codes
Interscope 2002

Słodki hałas

Na trzeciej płycie (pierwszej nagranej dla dużej wytwórni) Trail Of Dead wciąż grają swoją piekielnie rockandrollową muzykę. W końcu dorastali na Dzikim Zachodzie, słuchając zapewne Sonic Youth, Pixies i My Bloody Valentine. Już rozpoczynający płytę (po krótkim, cichutkim wstępie) *It Was There Then I Saw You* zawiera wszystko, co najważniejsze w muzyce Trail Of Dead. Rozsadzająca energia, hałaśliwe gitary, epicki rozmach – ten album przytłacza swoją intensywnością, ale i urzeka wdziękiem. *Sources, Tags & Codes* to płyta klasycznie rockandrollowa, piorunująca mieszanka hałasu i melodii. Największa siła kwartetu z Teksasu tkwi jednak w niezwykłym liryzmie. Ich muzyka, choć ogłuszająca, agresywna i wściekle bezkompromisowa, jest przede wszystkim na wskroś liryczna. I słychać to nie tylko w delikatniejszych utworach (*Heart In The Hand Of The Matter; How Near, How Far*), ale zwłaszcza w hałaśliwych, gniewnych piosenkach.

Maria Pachnicka



ANKH
Expect Unexpected
Metal Mind

Skrzypki poszły w odstawkę.

ANKH był jednym z oryginalniejszych zespołów na naszej scenie rockowej. Zawdzięczał to odważnemu łączeniu rocka z elementami klasyki i Michałowi Jelonkowi; dzięki jego grze skrzypce stały się rozpoznawczą cechą grupy z Kielc. Gdy odszedł wydawało się, że propozycja zespołu stanie się mało strawna. Okazało się jednak, że ANKH nadal skostniałemu rockowi progresywnemu rumieńców, a brak skrzypiec wcale nie zubożył brzmienia i przekazu ich muzyki. Wręcz przeciwnie, otworzył przed zespołem zupełnie nowe możliwości brzmieniowe. Grupie udało się wybrnąć z tej, wydawałoby się, ślepej uliczki.

Leszek Gnoiński

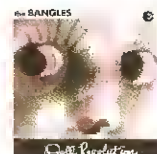


APPLETON
Everythingis Eventual
Universal

Rodzinny duet z All Saints wykonuje zaskakująco smakowity pop.

Po dwóch latach od rozwiązania grupy siostry Nicole i Natalie Appleton zatęskniły za muzyką. A że Angielki udowodniły już wcześniej, że śpiewać potrafią, to nie miały problemu ze znalezieniem dobrego repertuaru. Wszystko zaczęło się od energetycznej, wpadającej w ucho kompozycji *Fantasy*, którą przygotował dla nich ich rodak, Gareth Young. Takich świetnie brzmiących utworów, opartych na elektronicznym fundamencie, jest na płycie więcej. Wystarczy wspomnieć zahaczający o klimaty R&B *N.W.A.* czy wpadający w ucho superpop *Don't Worry*, który właśnie szturmuje listy przebojów w Wielkiej Brytanii.

Glassinjah



THE BANGLES
Doll Revolution
Liberty EMI

Zawsze lepiej wyglądały niż grały

Czternaście lat trwała hibernacja The Bangles. I po przebudzeniu wszystko zostało po staremu, czas jakby zatrzymał się w miejscu gdzieś w połowie lat 80., czyli czasu największych sukcesów kapeli. Susanna Hoffs wciąż wygląda tak powabnie jak przed laty, siostry Peterson nieustannie robią za brzydkie kaczątka, a bezpretensjonalne pioseneczki jak zwykle niczym specjalnym nie zaskakują. Ale jednak *Doll Revolution* wyróżnia się od swoich poprzedniczek. Nie ma na niej przeboju na miarę *Manic Monday* czy *Walk Like An Egiptian*. Dlatego nie wróżę kariery ani tej płycie, ani kociakom po czterdziestce, które obudziły się z dość długiego snu zimowego i w dodatku zupełnie nie wiadomo po co.

Leszek Gnoiński

czytasz i słuchasz



THE CLASH
The Essential Clash
Sony

Greatest hits gigantów punkrocka.
41 reprezentatywnych utworów począwszy od *White Riot*, a na *This is England* kończąc. Wiadomo, że na śmierci dobrze się zarabia - ostatnio zmarł frontman grupy Joe Strummer. Jednak wydanie płyty było planowane na długo przedtem - sam Strummer dobierał materiał do tej płyty. Dla nie znających tematu jest to szansa na poznanie twórczości jednej z największych punk rockowych grup. The Clash byli jednak eklektykami jakich mało, bawili się jamajskim brzmieniami: ska, dub, reggae, flirtowali z gospel, folkiem, funkiem. Ta składanka to dowód na to jak istotny był to zespół dla rozwoju muzyki. I pomyśleć, że jakiś pismak z New Musical Express w '77 nazwał ich kolejnym garażowym zespołem, który powinien w nim na zawsze zostać i nigdy nie wychodzić.

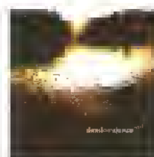
Artur Pleskot



DALIDA
Mademoiselle Romantique
Universal

Drugie miejsce, pomiędzy de Gaullem i Janem Pawłem II!
Tak uplasowała piosenkarkę francuska opinia publiczna w plebiscycie na postać, jaka wywarła największy wpływ na Francuzów w minionym trzydziestoleciu. Dalida była symbolem muzyki swojego kraju przez dwie dekady – od nagrania *Dzieci Pireusu* w 1960 roku, po *Koniec komedii* w 1984. Po drodze było porywające wykonanie *Tańca Zorby*, niemożliwe *Gigi L'Amoroso* oraz niezapomniany duet z recytującym aktorem Alainem Delonem w przeboju *Paroles Paroles*. Wszystkie te utwory i wiele innych – doskonale znanych – są na tej płycie, która w pełni potwierdza wielką klasę piosenkarki i oryginalność jej stylu. A na koniec ciekawostka: pasja wielbiciela artystki sprawiła, że najlepsza składanka Dalidy powstała... w Polsce.

Daniel Wyszogrodzki



DEAD CAN DANCE
Wake. The Best of
4AD/Sonic

Smakołyk dla amatorów niezwykłych snów.
Ta antologia o muzyce DCD na pewno mówi jedno: mimo tak różnych inspiracji będących źródłem *Cantary*, *Rakima*, *Nieriki* czy *Saltarella*, doskonałość i wszechstronność utworów pozwala im razem zabrzmieć magicznie i niepowtarzalnie. Tej płyty nie należy traktować jak podsumowania. To raczej kolejny rozdział w opowieści, którą Lisa Gerrard i Brendan Perry zaczęli tworzyć prawie 20 lat temu. Tutaj w jednej chwili trupa renesansowych bardów może zmienić się w celtyckich kapłanów, którzy już za moment przeniosą się do Afryki, a stamtąd na Bliski Wschód i dalej w głąb Azji. Album czaruje bogactwem i różnorodnością dźwięków, które pomagają nam oderwać się od szarej rzeczywistości i odbyć fascynującą podróż przez egzotyczny świat zaczarowanych brzmień, w którym pojęcia czasu i przestrzeni nie istnieją.

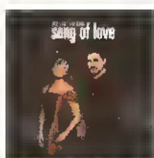
Dagny Kurdwanowska



CELINE DION
One Hart
Sony

Celine Dion konsekwentnie trzyma się stylu, który wymyśliła sobie kilkanaście lat temu i po prostu jest nudna.
Trudno powiedzieć, co różni płytę *One Heart* od poprzednich krążków tej wokalistki. Jak tamte jest poprawna i niczym nie zaskakuje. Celine w każdym utworze konsekwentnie prezentuje swój piękny i łagodny głos. Wyjątkowo na tle wszystkich utworów prezentuje się *Reveal* - Celine eksperymentuje w piosence z rytmicznym, ciekawym brzmieniem. Resztę można sobie darować. Bo nawet *I Drove All Night* - piosenka wspaniale zaśpiewana niegdyś przez Roya Orbisona, jest tak przesiąknięta stylem piosenkarki, że absolutnie traci swoją drapieżność i wiele brakuje jej do dawnego wykonania.

Agnieszka Borkowska



JOSÉ CURA, EWA MAŁAS-GODLEWSKA
Song Of Love
RCA Victor

Światowe głosy w nowych polskich kompozycjach.
Projekt zaczął się od – niemal przypadkowego – nagrania przed rokiem *Song Of Love*. Powodzenie singla zaowocowało albumem, na który składa się materiał, napisany dla pary śpiewaków przez m.in. Dębskiego, Kilara i Krajewskiego. Znalazł się tutaj także fragment musicalu *Metro* oraz cover duetu *Tell Me* (Barbary Streisand i Celine Dion). Wszechstronny argentyński tenor (okazjonalny dyrygent orkiestry Sinfonia Varsovia), to mocny głos liryczny, zaś atutem polskiej sopranistki jest niezwykle zmysłowa aura i – o co w operze najtrudniej – naturalnie kobieca barwa głosu. Najmocniejsze punkty tej płyty to *Ou Est Le Temps* Kilara i przepiękne *Solo Con Amore* Krajewskiego. Jej słabość leży w ograniczeniach formuły i w monotonii pozostałych kompozycji.

Stanisław Maciąg

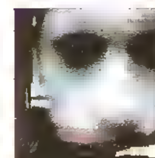


MARTIN GORE
Counterfeit 2
Mute

Coś dla tych, którym „podchodzą wolne numery, ta ra ra ra...".

Jaki wpływ na ostateczną ocenę płyty może mieć tzw. złe pierwsze wrażenie? Najbezpieczniej chyba napisać, że mylące, bo czyż nie jest duchową frajdą uzmysłowienie sobie faktu, że oto nasze receptory dokonały względem danego dzieła istnej rewolucji?! Myślałem, że mój niedosyt po pierwszym przesłuchaniu tej płyty minie szybko. Nie minął. Gdzie jest gore'owska dramaturgia?! Słuchanie i czekanie, że coś się wreszcie na tej płycie wydarzy jest pozbawione sensu. Pozytywna zasada tworzenia muzyki, czyli "minimalne środki - maksymalny efekt", tu jakoś nie działa. Aranżacje ukazują Martina jako "mistrza jednego palca", w najlepszym przypadku palców dwóch, a przeróbka *Lovermana* z repertuaru Nicka Cave'a jest najbardziej klinicznym dowodem na to, że nagrywanie "coverów" to konkurencja niezwykle ryzykowna. Oryginał autentycznie przerażał, wersja Gore'a autentycznie nudzi. Pozytywną ciekawostką jest natomiast niemczyzna Mistrza, którą popisuje się w piosence Wernera Heymanna i Roberta Gilberta *Ein Lied vom einsamen Madchen* (mieszkało się kiedyś w Berlinie, mieszkało). Ładnie brzmią także: zapomniany przebój Davida Essexa *Stardust*, stara jak świat piosenka *I Cast A Lonesome Shadow* z repertuaru klasyka country Hanka Thompsona i śliczne *Oh My Love*, zakochanej pary Lennon - Ono. Album zamyka wzruszające *Candy Says*, czyli jedna z tych piosenek The Velvet Underground, które mogłyby nigdy się nie skończyć. Cóż, na wyrywki całkiem przyjemnie, za to w całości, niestety, nudnawo. A może trzeba było wydać kolejny mini-album?

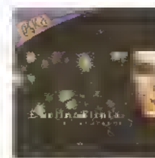
Piotr Stelmach



MATT ELLIOTT
The Mess We Made
Domino

Skromna płyta której nie sposób nie mieć.
Artysta dużo nagrywał w jednoosobowym projekcie Third Eye Foundation. Najnowsze dzieło wydał już pod własnym nazwiskiem. *The Mess We Made* to krótki album, zawierający raptem osiem utworów. W dodatku pierwsze cztery nie są warte uwagi. Esencja płyty zawiera się dopiero w genialnym, hipnotycznym *Cotardis Syndrome* oraz w bełkotliwej szancie pijanych żeglarzy z tonącego statku czyli *The Sinking Ship Song*, odśpiewanej w niesamowicie urokliwy sposób. Na koniec zostaje kawałek *End*, utrzymany w klimacie tanich dreszczowców. Wszystkiego tak niewiele ale jak cieszy. Rewelacja.

martek



EWELINA FLINTA
Przeznaczenie?
BMG

Intrygująca wokalistka wtłoczona w banalne opakowanie muzyczne.
Lekkość z jaką Ewelina Flinta steruje swoim głosem budzi podziw. Skala

czytasz i słuchasz

możliwości i charyzma jaką prezentuje w *Respect*, *Moja sprawa*, *Agape* czy *Wiary nie masz* zachwyca. Raz ostra, raz subtelna, zawsze bardzo kobieca. I cały ten potencjał wciśnięto w sztampowe do bólu aranżacje i melodie, którym brakuje oryginalności i odwagi. I to ma być przeznaczenie tej utalentowanej wokalistki? Nagrywanie utworów, które natrętnie kojarzą się z dokonaniami Kasi Kowalskiej czy Anity Lipnickiej to znacznie poniżej możliwości Eweliny Flinty.

Dagny Kurdwanowska



ROBIN GIBB
Magnet
SPV

Głos Robina Gibba drży tak, że aż mi go żal. Ale nie mam dlań litości.
Wokalista Bee Gees materiał na płytę zbierał podobno aż 17 lat. Jak widać i ten okres okazał się zbyt krótki. Jego głos w części piosenek irytuje, jest po prostu za głośny. W pozostałych już tak bardzo nie wkurza, bo zanika zagłuszony instrumentami. Ale wciąż drży i drży. To wyjątkowo denerwujące. Tym bardziej przy tekstach tak prostych jak budowa młotka lub przy zaśpiewach "Ooo" i "uuu", którymi Robin wypełnia miejsca, gdzie akurat brakuje mu słów. Na tym tle wyróżnia się piosenka *Inseparable*, w której dla uatrakcyjnienia pojawia się przeciągłe "yeah". Oczywiście drżące. Do płyty Robina swoje trzy grosze dorzuciło kilku znaczących artystów (m.in.: Mary J. Blige). Dzięki temu płyta jest mniej męcząca.

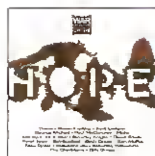
Agnieszka Borkowska



VIVIAN GREEN
A Love Story
Sony

Kolejna ciemnoskóra piękność podbija serca (i wytrawne ucho) fanów muzyki soul.
Najpiew Erykah Badu, potem Macy Gray, Jill Scott i święcąca tryumfy w 2002 roku Alicia Keys. Do tego szacownego grona dołączyła ostatnio 23-letnia Vivian Green. Debiutancki *A Love Story* to mieszanka soulu, bluesa i smooth jazzu. Głos artystki jest urzekający nie tylko ze względu na porządny warsztat (wcześniej Vivian śpiewała w chórkach u Maxwella i Jill Scott), ale niezwykłą subtelność. Młoda, a jednak dojrzała kobieta, śpiewa z taką łatwością i lekkością, jaka charakteryzuje tylko artystów przez duże "A". *What Is Love* stylowo przypomina dokonania Alicii Keys (uwaga fortepian), a w *Fanatic* słychać wpływy Erykah Badu (*Baduism*). Utwór tytułowy to knajpiana perełka, do faworytów zaliczam też jazzowe *No Sittini By The Phone* z trąbką w tle.

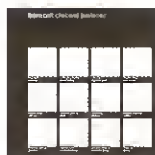
Dagmara Leszkowicz



HOPE
m.in.: David Bowie, Moby, New Order, The Charlatans, Billy Bragg, Yusuf Islam
London

Wielcy małym, czyli artyści specjalnie dla dzieci w Iraku.
Same nowe nagrania! Płyta powstała w wariackim tempie, w czasie kiedy wojna w Iraku nabierała tempa. Część artystów śpiewa własne utwory (Bowie, McCartney), ale na szczególną uwagę zasługują covery: George Michael wykonujący piosenkę Dona McLeana *The Grave*, czy Ronan Keating śpiewający na żywo *In The Ghetto*. Repertuar płyty jest znakomity, szkoda tylko, że zabrakło Dylana i to Avril Lavigne musiała zaśpiewać jego, idealną na tę okazję, piosenkę *Knockin' On Heavens Door*. Czy artyści naprawią to, co politycy spieprzyli? Być może tak, jeżeli im w tym pomożemy – na przykład kupując tę płytę.

Daniel Wyszogrodzki



IKARA COLT
Chat And Business
Fantastic Plastic

Autentyzm czy biznes?
Złośliwi twierdzą, że grupa Ikara Colt nazbyt wzięła sobie do serca wskazówki tygodnika NME, jak założyć modny zespół i osiągnąć sukces. I rzeczywiście poznali się w jednym z artystycznych college'ów w Londynie, są młodzi, agresywni, naszą stylowe ubrania i mają odpowiednie fryzury. I choć, jak wiele popularnych obecnie zespołów spod znaku "new garage revolution", grają hałaśliwą, surową gitarową muzykę, nie sposób nie zwrócić na nich uwagi. *Chat And Business* to płyta porażająco niechlujna, chaotyczna, napastliwa i ostra. W tej muzyce jest tyle energii, że starczyłoby na kilka innych albumów. Słychać echa Pixies, Sonic Youth czy At The Drive In, ale w połączeniu z młodzieńczą energią i zadziornością powstaje oryginalne, świeże brzmienie. Muzycy Ikara Colt uważają, że każdy zespół po 5 latach powinien zostać rozwiązany i... rozstrzelany, tak więc przynajmniej nikt nie zdąży się nimi znudzić. Zanim jednak to nastąpi, należy spodziewać się kolejnej dobrej płyty.

Maria Pachnicka



INDIA.ARIE
Voyage To India
Motown

India w podróży niezbyt dalekiej.
Voyage To India nie różni się od poprzedniej poziomem: świetna produkcja i oczywiście rewelacyjny wokal, co potwierdza klasę artystki. Nie różni się także klimatem i kierunkiem, w którym podąża India: jest delikatnie, kobieco, bardzo ciepło i soulowo-popowo. Jest również bardzo pozytywnie, jeśli chodzi o wymowę utworów – ten krążek można puszczać podczas psychoterapii. Nie ma tu za to żadnej rewolucji, co poszukującym słuchaczom może trochę przeszkadzać. Z drugiej strony naprawdę nie ma się do czego przyczepić. Mam tylko nadzieję, że o następnym krążku Indii nie będę musiała pisać dokładnie tego samego, bo zrobię się podejrzliwa...

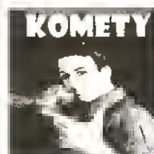
Ewa Środka



THE KILLS
Keep On Your Mean Side
Domino

Dziewczyna i chłopak, czyli heca na dwie gitary
Ona jest Amerykanką, on Brytyjczykiem. Początkowo przesyłali sobie taśmy z nagraniami pocztą. W końcu Alison Mosshart (aka VV) postanowiła zamieszkać w Londynie z Jamie Hincem (aka Hotel). Porównania do White Stripes były nieuchronne (kolejny damsko-męski duet). Ale The Kills są młodsi, bardzo autentyczni i robią wiele hałasu. *Keep on Your Mean Side*, nagrana w dwa tygodnie, robi wrażenie chaotycznej i niedopracowanej. W niemal wszystkich utworach śpiewają oboje, co potęguje napięcie. Tu nie ma miejsca na kompromisy. To wszystko sprawia, że nie sposób im nie wierzyć. Oni chcą grać swoje brudne, surowe piosenki. I są przy tym szczerzy do bólu, zarówno w muzyce, jaki i w bardzo rockandrollowym stylu życia.

Maria Pachnicka



KOMETY
Komety
Jimmy Jazz Records

Elvis Presley z Żoliborza.
Jak każdy mężczyzna Lesław jest sentymentalny. W Partii słychać tęsknotę za punkrockiem i muzyką z lat 80-tych, w szczególności The Smiths i Morrissey'em. Z kolei w Kometach, jego nowym projekcie, udziela mu się nostalgia za złotymi czasami rock 'n' rolla – płyta brzmi jakby była nagrana co najmniej 50 lat temu. Fani Elvisa, Partii i klasycznego rock'n'rolla znajdą tu coś dla siebie. Muzyka Komet to chuligański rock'n'roll, rockabilly z domieszką surf music, ale jest to zdecydowanie lżejsze i mniej agresywne granie niż Partia. W warstwie tekstowej to nadal ten sam melancholijny Lesław z Partii, śpiewający o miłości i samotności (*Tak czy nie*, *Gdzie ona jest*). Na uwagę zasługują covery takich klasyków jak *Blue Moon*, czy też *Runaway* - znany choćby z serialu *Crime Story*.

Artur Pleskot



STEPHEN MALKMUS & THE JICKS
Pig Lib
Domino

Rozpaczliwie tęskniąc za Pavement.
Mijają cztery lata od rozpadu Pavement, jednego z najważniejszych zespołów alternatywnego rocka lat 90., a dwie nagrane w tym czasie przez Stephena Malkmusa płyty nie uzasadniają decyzji o rozwiązaniu grupy. *Pig Lib* to dobry, przemyślany album. Ładne, popowe wręcz, lekko folkowe melodie wciąż pozostają odrobinę dziwaczne, nie brakuje też drobnych eksperymentów Malkmusa, które krążek ożywiają. Słychać tu swobodę i spokój, to pogodna płyta nagrana przez muzyków, którzy dobrze czują się razem i świetnie się bawią. Wielbiciele Pavement mogą być trochę rozczarowani, ale Stephen Malkmus to bez wątpienia nadal jeden z ciekawszych i świadomych muzyków na alternatywnej scenie.

Maria Pachnicka



O.N.A.
To naprawdę już koniec 1995 – 2003
Sony

Ostatnia osłoda dla fanów bastionu rocka
Stało się. Po ośmiu latach grania przyszedł kres na O.N.A. Z jednej strony szkoda – na polskiej scenie rockowej byli jedynymi, którzy osiągali ostatnio jakieś sukcesy. Z drugiej strony – nic nie może przecież wiecznie trwać. Prawdopodobnie wkrótce powstaną kolejne projekty-hybrydy. Tymczasem na osłodę zespół zaserwował największe hity, zebrane na podwójnym krążku. Niestety – prawdopodobnie większy wkład w płytę miała wytwórnia niż sama kapela. Czuć, że album powstawał w pośpiechu, bez pomysłu. Brak tu kawałków koncertowych czy niepublikowanych utworów – jedynym oryginalnym akcentem jest hiszpańskojęzyczna wersja utworu *Drzwi* i anglojęzyczna *Zmęczona*. To chyba niewiele. Jeszcze jedno - wkładka: "Pożegnaj zespół osobiście i wyślij SMS-a na numer..." Cóż, to całkiem inna historia. Wolę nie żegnać tylko czekać na nowe.

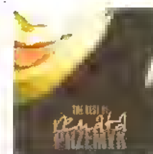
Dagmara Leszkowicz



LAURA PAUSINI
From The Inside
Atlantic

Gwiazda włoskiej piosenki próbuje podbić świat.
Wystarczyło, że porzuciła rodzinną mowę Dantego na rzecz języka Szekspira, by zrobiło się o niej głośno w Europie. Słuchając jej pierwszego międzynarodowego singla *Surrender* jestem jednak zdezorientowany. Chwytliwa melodia i taneczny beat nie denerwują, ale też przypominają, że to wszystko już było. Taki *On I Dare* mogłyby przecież zaśpiewać dziewczyny z Sugababes, a *I Need Love* zmieściłby się w repertuarze Celine Dion. Niespełna 30-letnia Laura ma dobry, ciekawy głos. I to słychać. Ma wsparcie znakomitych producentów. I to też słychać. Nie ma jednak repertuaru, który powaliłby słuchaczy na kolana. Dlatego choć miło jej się słucha, nie odmieni popu. Madonna może spać spokojnie...

Glassinjah



RENATA PRZEMYK
The Best Ol
Sony

Wademekum feministek w artystycznej oprawie muzycznej.
Renata Przemyk funkcjonuje na naszej scenie osobno, co zresztą jak najlepiej o niej świadczy. Oczywiście w przypadku artystki tak uważnie kształtującej swój repertuar składanka jest zaledwie namiastką twórczości, ale jeżeli na przykład po wysłuchaniu pieśni *Łatwo uwierzyć* ktoś sięgnie po album z muzyką Renaty Przemyk do spektaklu *Balladyny*





MADONNA
American Life
Warner

Madonna O'Dzianna morowo ostro ruszyła do ataku.
Mogła sobie pozwolić na wyraźniejszą woltę artystyczną, wykorzystując uprzywilejowaną pozycję w sercach fanów, a dyskontuje ten kapitał bardzo powściągliwie. Rewolucja dotyczy jedynie wizerunku Królowej. Obok niedawnego wcielenia kowbojki wbitej w stóg siana ocalałego ze stosu, na którym parę lat wcześniej płonął krzyż jej uduchowienia, wklejamy do albumu rewolucjonistkę w służbie nostalgii za Che Guevarrą. Najskuteczniej natarły na moje uszy melodie, które już słyszałem, czyli utwór tytułowy oraz *Die Another Day*, który jak mina przeciwpiechotna podstępnie próbował urwać mi jaja, ale w porę przypomniałem sobie o powszechnych zarzutach, jakoby nie pasował do bondowskiej serii. Chyba lepiej zapomnieć o tym, że kawałek pochodzi z filmu. Wtedy okaże się, że taką Madonnę lubimy najbardziej - drapieżno-melancholijną ikonę. Produkcję *American Life* można pomówić o perfekcję, z zastrzeżeniem, że od jakiegoś czasu dominujący pomysł na aranż piosenek pani Ciccone to kilka dźwięków zagranych na gitarze, które dogania elektroniczny bicik, a tyły zabezpieczają syczące syntezatory marki Mirwais Ahmadzai. Nowością jest fakt, że Madonna niekiedy rapuje. Niestety, mimo wziętych lekcji rymowania i przyjaźni z Missy Elliott, brzmi przy tym jak wkurzona mrówka. Funkcję generatora wzruszeń realizuje *Nothing Fails*, gdzie atmosferę wyśpiewują, zdolne uspokoić każdą militarną zawieruchę, chóry; rzec można etatowe na dworze Madonny anioły, obsadzone już kiedyś w *Like A Prayer*.

Radosław Okrasko

(2002) w reżyserii Jana Machulskiego, to płyta spełni swoją funkcję. Wiele się ostatnio mówiło o (podobno kontrowersyjnym) duecie Renaty Przemyk z Kasią Nosowską w piosence *Kochana*, nowym utworze promującym ten wybór. Może więc warto przypomnieć, że w piosence *Filigrany i moriole* (do słów Lecha Janerki) słychać Fiolkę Najdenowicz, zaś w zmysłowym *Zapachu* artystce towarzyszy wokalista Maciej Werk z zespołem Hedone. Rozkosz dla wyrafinowanych.

Stanisław Maciąg



ROXETTE
The Pop Hits
EMI

Składanka The Pop Hits zabiera nas w podróż w czasie, do dyskotek lat 90.

Nawet spodobała mi się taka podróż. Marie Fredriksson i Per Gessle nic nie przerabiali i nie ingerowali w brzmienie piosenek. Czułam się tak, jakbym odkurzyła moją starą kolekcję kaset, które były nieodłączną częścią szkolnych dyskotek. I choć hity Roxette z minionych piętnastu lat są już nieco przebrzmiałe, to wciąż niepowtarzalne. Płytę otwiera piosenka *Oportunity Nox*, a zamyka *Little Miss Sorrow*. Obie są najnowszymi dziełami duetu i niestety udowadniają, że słynni Szwedzi są już totalnie wypaleni z pomysłów. Tym bardziej więc należy docenić ich wcześniejsze kompozycje. Nie jestem przekonana czy tak właśnie miało brzmieć przesłanie tego krążka, ale wolę nie tłumaczyć jego wydania faktem, że muzycy chcieli podreperować swoje budżety.

Agnieszka Borkowska



MARCIN ROZYNEK
Księga urodzaju
Sony

Pierwszy wyrazisty debiut od wielu lat.

Lider zespołu Atmosphere przygotował interesujący i różnorodny materiał autorski, którego popularność radiowa dowodzi po raz kolejny, że klucz leży w repertuarze – oczywiście pod warunkiem, że dysponuje się muzykalnością i wdziękiem młodego artysty. *Siłacz* jest już jednym z większych przebojów tego roku, a znajdziemy tutaj więcej interesujących propozycji - choćby *Spojrzałeś mi prosto w twarz* (z udziałem Fiolki)

old



RINGO STARR
Ringo Rama
Koch

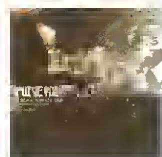
Kto nie kochał tego perkusisty?

Nie sposób wyobrazić sobie, co by robił dziś John Lennon, gdyby żył, ale dla jego kolegów czas po rozpadzie Wielkiej Czwórki stanął w miejscu. W przypadku Ringo zarzut ten ma zresztą najlżejszą wymowę, bo i oczekiwania były żadne. Tymczasem perkusista nie tylko wydał kilka udanych albumów, ale na starość zaczął rozwijać się jako autor. Najnowsza płyta to - uwaga - wyłącznie autorskie piosenki Ringo. Kilka ostrzejszych numerów, jak zawsze ciekawie zagranych na perkusji (*Instant Amnesia*) oraz miłe, refleksyjne ballady (w otwierającym album *Eye To Eye* Ringo cytuje swój dawny hit *It Don't Come Easy*). Klimat płyty oddaje doskonale apoteoza brytyjskiego stylu życia, nostalgiczne wspomnienie *English Garden* z ładnie wplecionym cytatem z popularnej piosenki Paula McCartneya *Let'em In*. Gościnne solo w utworze *Imagine Me There* wycina Eric Clapton, w *Write One For Me* śpiewa w duecie Willie Nelson. Finałowy fragment (*I Really Love Her*), ukazuje Ringo grającego na wszystkich instrumentach i dublującego głosy. Zabawna jazda, nawet jeżeli brzmi to jak demo z roku '71 . Brawa należą się współproducentom byłego Beatlesa - każde nagranie brzmi tu naprawdę inaczej i roi się od atrakcyjnych pomysłów na urozmaicenie brzmienia. Oczywiście solowe płyty byłych Beatlesów kupują już wyłącznie ludzie, którzy mają pełną dyskografię i za dużo pieniędzy, ale muszę przyznać, że Ringo nas uszanował.

Daniel Wyszogrodzki

czy *Wzruszająca historia*, do której scenariusz napisało życie. Bardzo urozmaicona płyta. Ten album to ostatnie – przerwane przez przedwczesną śmierć – dzieło producenckie Grzegorza Ciechowskiego. Zarysowaną przez niego koncepcję poprowadził Leszek Biolik, dając mistrzowsko zrealizowany album z przednią muzyką popularną.

Stanisław Maciąg



SIDUXIE AND THE BANSHEES
The Seven Year Itch Live
Sanctuary

Koncertowy przekrój dokonań grupy; trochę bez wyrazu.
Mimo, że grupa formalnie nie istnieje, od czasu do czasu razem gra. Ta płyta zawiera zapis dwóch koncertów, które odbyły się 9 i 10 lipca zeszłego roku w londyńskim The Shepherds Bush Empire. Sioux i spółka prezentują materiał przede wszystkim ze swoich czterech pierwszych płyt (*Jigsaw Feeling*, *Metal Postcard*, *Peek-A-Boo*, *Lands End*). Co ciekawe, nie ma tu żadnego utworu z udanej przecież płyty *The Rapture*. Dodatkowo pojawia się przeróbka *Blue Jay Way* Beatlesów w przyjemnej, bardzo wolnej wersji. Szkoda tylko, że całość wykonana jest trochę nijako i płytko.

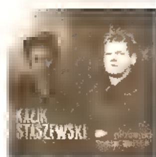
Jacek Żuławnik



SMOG
Supper
Domino

Kolacja z Billem Callahanem
To z pewnością nie będzie miły wieczór, i nie taki ma być. Bill Callagan jak zwykle serwuje swoje wszystkie smutki, rozpacz i lęki w bardzo cierpkim, ironicznym sosie. To już jedenasta płyta sygnowana nazwą Smog. I właściwie niewiele się tu zmienia. Callahan konsekwentnie tworzy własny muzyczny świat, zawieszony gdzieś między post country a post rockiem. To wciąż to samo archaiczne brzmienie, surowe dźwięki, delikatna zazwyczaj gitara, która czasami staje się ostra i gwałtowna oraz mocny, tak bardzo charakterystyczny głos Billa. Uroku piosenkom dodaje cudowny głos Sarabeth Tucek. Kiedy śpiewają razem, utwory nabierają dramatyzmu, przypominają intymną rozmowę (przepiękny *Truth Serum*), wyznanie, albo kłótnie. I choć ta płyta poraża melancholią i depresyjnym nastrojem, *Supper* wcale nie musi być niestrawnym posiłkiem.

Maria Pachnicka



KAZIK STASZEWSKI
Piosenki Toma Waitsa
Luna

Kazik ambasadorem amerykańskiego undergroundu.
Ale bohaterem tej płyty pozostaje Roman Kołakowski, autor przekładów piosenek. Głosowi Kazika daleko (mimo wszystko, nawet mimo *Celiny*) do przepastnych głębi oryginału i dobrze, że – najwidoczniej świadomy tego faktu – nie sili się na imitację. Brzmienie muzyczne jest wystarczająco "podziemne", niepokojące, nawet transowe. Słuchając tej płyty należy jednak zapomnieć o autorskim dorobku Kazika (to nie są jego piosenki), jak i o brzmieniu Toma Waitsa (to nie on śpiewa). Przede wszystkim jest to bowiem dzieło translatorskie i udane przeniesienie do polskiej kultury ważnej twórczości ze świata. Świetnie się stało, że to właśnie Kazik podjął się tego zadania, bo nikt inny lepiej by go nie wykonał. Światowa jazda, jedynie okładka krajowa...

Daniel Wyszogrodzki



SVANN
Granica czerni i bieli
Intech

Świat nie wierzy łzom!
Encyklopedia muzyki, hasło MEGA PRZEROST FORMY NAD TREŚCIĄ: Svann. A mogło być ciekawie. Wszyscy fani Closterkeller oczekiwali, że Anja Orthodox wyjrzy wreszcie ze swej mrocznej pieczary i zaistnieje w nowym materiale. Nic z tego. Klimatem i "liryzmem" przypomina to młody nurt rocko-polo spod bandery zespołu Łzy. To samo i o tym samym, czyli kolejny przepis na mroczny utwór: czerń, cisza, demon, dotyk, sen, chłód. Łatwe? Cóż, Dziś każdy może być idolem. Najbardziej jednak żal pomysłu, bo są przebłyski; jak np. niezły, chwytliwy początek (*Telefon*), "lacrimosowaty" *Dotyk nocy* i wokale Kingi Bogdańskiej, która onieśmiela przeciętnie brzmiącą Andzię. Z założenia miało być strasznie. Zadowolony z dwuznaczności, na jaką pozwala język ojczysty, mówię: chyba się udało.

Krzysiek Świątły



THE WHITE STRIPES
Elephant
XL

Pierwsze prawdziwie rockowe arcydzieło tego stulecia? Chyba tak.
A jednak można! W XXI wieku powstała płyta, przy produkcji której nie wykonano ani jednego kliknięcia komputerową myszą! Brzmi to wręcz niewiarygodnie, bo taka mysz to we współczesnej muzyce urządzenie wszechobecne i przepotężne. *Elephant* - czwarta płyta rodzeństwa White'ów, jest ich kolejnym bezkompromisowym powrotem do rockowego archetypu. 50 minut surowizny, czyli żegnamy ozięble konfekcję i wszelkiego typu techniczne pierdolniki. Podstawowe instrumentarium, nieskomplikowany magnetofon i ktoś, kto umie go włączyć tak, aby nagrywał. Wystarczy. Zapraszamy na wycieczkę w świat szczerego blues - rocka (*There's No Home For You Here*, *Ball And Biscuit*) i energetyczno - perfidnej jazdy spod znaku The Stooges i Rolling Stones (*Little Acorns*, *The Hardest Button To Button*). Po drodze, jak na każdej miłej wycieczce, trafiają się niespodzianki: zaśpiewany przez Meg bluesik *In The Cold, Cold Night*, zahaczający o wokalne wariactwo Jello Biafry *Hypnotize* i cudownie minimalistyczny *I Just Don't Know What To Do With Myself*. Dla uważnych słuchaczy jest tu jeszcze coś ekstra - przy *Black Math* z rozrzewnieniem wspomina się czasy, kiedy Sex Pistols odstawili w więzieniu Chelmsford jeden z najbardziej nieokiełznanych i dziwacznych koncertów w historii rocka. Wspaniała płyta. Odświeżający prysznic i czyściutki T-shirt dla spoconego w ostatnich latach rock'n'rolla. Tu trzeba od razu walnąć 5 punktów i po herbacie!

Piotr Stelmach



SUGARCULT
Start Static
Epitaph

Dobry przykład na to, że kopiowanie nie wychodzi na zdrowie.
Sugarcult to kolejna formacja, która zachłysnęła się modą na współczesny amerykański punk rock. Ich debiutancki album do złudzenia brzmi jak dokonania Green Day, Blink 182, Sum 41 czy Weezer. Niemal w każdej nucie słychać ślepe naśladownictwo tych kapel. Krótkie, bardzo hałaśliwe utwory wypełnia tekst o niczym. W tym wszechogarniającym jazgocie prawdziwą ulgą dla ucha jest ostatni kawałek, *I Changed My Name*. Sam zaś image zespołu kłóci się odrobinę z muzyką, przypomina bowiem raczej wizerunek nieistniejącego już Stabbing Westward. Pomimo tej rażącej wtórności nie można chłopców z Sugarcult całkiem przekreślić. Atutem jest chociażby przyjemny wokal Tima Pagnotta. Album spodoba się na pewno fanom Avril Lavinge. A ja radzę porzucić kopiowanie i popracować nad indywidualnym stylem.

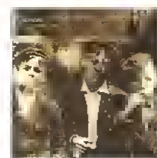
martek



THE DEVIN TOWNSEND BAND
Accelerated Evolution
SPV

Kolejne autorskie cudo najbardziej nieprzewidywalnego artysty rocka.
I najbardziej zapracowanego. Ledwie dekada minęła od debiutu na *Sex & Religion* Vaia, a uczestniczył już w tylu projektach, że fani pewnie dawno poszli z torbami. *Accelerated Evolution* to dawka dźwięków niedefiniowalnych, za to niezmiennie intrygujących - 9 utworów w stylu przestrzennego future metalu z elementami art rocka, grunge'u i popu (*Storm*, *Deadhead*, *Suicide*). Jakby fuzja Fear Factory, Tool i Stone Temple Pilots, choć to tylko luźne skojarzenia. Klasą samą w sobie jest oryginalny głos Townsenda, pełen głębi i emocji, a przy tym niezwykle ekspresyjny.

Paweł Piotrowicz



THE WALKMEN
Everyone Who Pretended To Like Me Is Gone
StarTime 2002

Melancholia z Nowego Jorku w kolejnej odsłonie
Gdyby nie zespół Interpol można by mówić o wstrząsającym debiucie.

muza poleca pop



SIMPLY REO
Home
simplyred.com

Wino, kobiety czy śpiew? Chyba niedługo Mick Hucknall będzie musiał zrezygnować z jednej z tych dziedzin życia.
Najnowszy album *Home*, wydany po czterech latach płytowego niebytu, jest efektem zastosowania starej recepty: kilka ciekawych harmonicznie kompozycji własnych, znajome chórki, gdzieniegdzie instrumentalne smaczki - raz solo klawiszy, którego nie powstydziłby się nawet George Duke, raz płynna, pewnie po części improwizowana linia basu (to na *Home Loan Blues*). Każdy utwór stanowi zdecydowaną odrębność. *Home* to jakby credo, wstęp do całości, dalej nieźlym rytmem podszyty *Fake*, w głębi niemal smooth-jazzowy *Lost Weekend*. Do tego tradycyjnie parę coverów: *You Make Feel Brand New* The Stylisctics, *Positively 4th Weekend* Boba Dylana, *Money In My Pocket* Dennisa Browne'a. Intrygujące już przy wkładaniu płyty do odtwarzacza. Może zdziwić kilka nieścisłości dźwiękowych - niedopieszczone chóry, jakby dźwiękowiec zapomniał się nimi zająć. Nie bardzo wiadomo też dlaczego facet, który ma trzy domy w Wielkiej Brytanii, Paryżu i Mediolanie śpiewa o problemach z kredytem mieszkaniowym. To jednak szczegóły. Generalnie jest kapitalnie. Z jednym tylko ale zasadniczym ALE. Najwyraźniej kokaina i marihuana znalezione kilka lat temu u Hucknalla w domu nie były tylko eksponatami w kolekcji ekscentryka, miały natomiast zastosowanie jak najbardziej praktyczne. I to one - jak można się domyślać - raz na zawsze uszkodziły głos gwiazdy. W paru miejscach brzmi on po prostu nieczysto. A fałszować trzeba umieć. Robi to z powodzeniem Morrissey, czy wykorzystany tu Dylan. Hucknall tego nie chce. Chce, i musi, ze względu na rodzaj swej muzyki, śpiewać bez zarzutu. I płyta nagle się wali.

Motriuk

The Walkman to kolejna nowojorska grupa, której o wiele bliżej do Wielkiej Brytanii niż do The Strokes. Ta płyta różni się znacznie od albumu *Turn On The Bright Lights*, ale przywołuje te same melancholijne wspomnienia Joy Division czy The Cure. Mroczne, surowe piosenki, czasem leniwe i tęskne, innym razem bardziej niepokojące. Do tego nieco histeryczny, przejmujący głos wokalisty Hamiltona Leithausera i chyba najbardziej charakterystyczne, decydujące o specyficznym brzmieniu The Walkmen, delikatne pianino. To wszystko sprawia, że zespół założony przez byłych muzyków Jonathan Fire*Eater i The Recoys nagrał tak wyrazistą, piękną i smutną płytę.

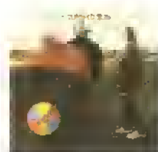
Maria Pachnicka



RAY WILSON
Change
InsideOut

Nowa propozycja byłego wokalisty Genesis.
Ray Wilson nagrał płytę, podążającą innymi torami niż zespół, w którym kiedyś występował. Na albumie dominuje akustyczne granie, zaś instrumentarium przeważnie ogranicza się do gitary, basu i perkusji. Czasem w tle zabrzmi fajna partia skrzypiec, jak w *Along The Way*, akordeonu (w *Yesterday*), bądź pianina i harmonijki ustnej. *Change* wiele zawdzięcza dokonaniom Springsteena i Dylana, gdy przywołuje nostalgiczny klimat sprzed trzydziestu paru lat. W sumie udana płyta, choć przydałoby się więcej oryginalności.

Jacek Żuławnik



YO LA TENGO
Summer Sun
Matador

Weterani post rock znowu oczarowują.
Yo La Tengo istnieją od 1986 roku. Od tego czasu wydali 12 albumów. Stale trzymany dystans do komercji dobrze im służy. Ich ostatni krążek *Summer Sun* jest tego dobrym przykładem. Wciąż grają urocze i bezpretensjonalne piosenki z gatunku post-rocka, eksperymentalnego popu i folku, mocno osadzonych w tradycji country. Charakterystyczne dla zespołu są świszczące i leniwe wokale Georgii Hubley czy Ira Kaplana jak np. w *How To Make A Baby Elephant Float* i *Take Care*. Słuchając tego odnosi się wrażenie, iż grupa zapuszcza się w rejony przez nikogo do tej pory nietknięte. Znakomite.

martek

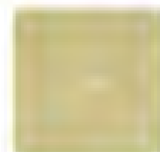
elektro/klub



15 MINUT PROJEKT
Kayax

Wartościowy kawał nowoczesnych brzmień o dziwo wyprodukowanych w Polsce.
Uliczny, warszawski chillout – tak najtratniej można zripostować ten album. Warto zwrócić uwagę na gościnny udział Sokoła ze składu WWO, który w zmysłowym kawałku *Najdłuższy chillout w mieście* odkrywa swoją romantyczną naturę. Na wokalu usłyszymy także Novikę w bardzo dobrym, transowym utworze *Mind Con-fu-sion*, Bogusza Juniora czy MC Apexa. Projekt jest zgrabnym połączeniem klubowych rytmów, bossanovy, R&B, lekkiego drum'n'bassu oraz nu-jazziku. Całość bardzo profesjonalnie wyprodukowana i może śmiało konkurować z takim zachodnimi składankami jak *Grandby* czy *Talking Inside The Beat*. Idealnie nadaje się na letnie imprezy na powietrzu.

martek



APHEX TWIN
26 Mixes for Cash
Warp

26 miksów dla kasy? Grzechu warte!
Jedynym mankamentem tej płyty jest to, że zawiera tylko 26 utworów. Każdy z nich to elektroniczne arcydzieło. Hardcore wymieszany z industrialem, "gęstym" ambientem i eterycznym transem. Wśród artystów, którzy dostąpili łaski zmiksowania przez Richarda D. Jamesa znaleźli się m.in. Jesus Jones, St. Etienne, Curve, DMX, Meat Beat Manifesto, Die Vantastichen Vier oraz Nine Inch Nails. To dzięki bardziej znanym kompozycjom można w pełni docenić talent Jamesa. Podporządkowując je własnej wizji wsącza aphexowskie brzmienia i w rezultacie "kradnie" utwory prawowitym twórcom. Czy ulepsza je? Na pewno są inne, bardziej intrygujące niż w wersjach oryginalnych. Nawet jeśli wydane zostały tylko dla kasy, to i tak warto poświęcić na nie ostatni grosz.

Dagny Kurdwanowska



BONOBO
Dial ëMi For Money
Ninja Tune

Klimatyczny kolaż downtempo.
Ukrywający się pod pseudonimem Bonobo, Brytyjczyk Simon Green swoją pierwszą płytę wydał dwa lata temu. Na nowym albumie pozostaje wierny zapoczątkowanej wtedy stylistyce. Z niezwykłym wyczuciem potrafi stworzyć klimatyczne downtempo: powolne rytmy łączy z instrumentalnymi samplami i elektronicznymi dodatkami. Jest przy tym autorem samplowanych dźwięków, m.in. pianina (*Light Pattern*), czy sitaru (*Flutter*). Bonobo wie też, jak pisać proste, piękne melodie. I choć nie jest w tym wszystkim bardzo odkrywczy, jego muzyki słucha się z prawdziwą przyjemnością.

Ola Szaczkus

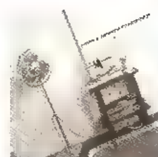


BUDDHA BAR V by OAVIO VISAN
George V

Chill-out ze znakiem jakości.
Chyba nikt nie przeprowadzał tego typu badań, ale płyty firmowane nazwą *Buddha Bar* cieszą się bodaj największym wzięciem wśród młodej inteligencji dużych miast. I nie tylko dlatego, że są to chyba najdroższe (bo ekskluzywnie wydane) składanki tego typu na rynku. Miks etniczno-elektronicznych brzmień, przyrządzony ze smakiem przez rezydentów tego modnego, paryskiego klubu, doskonale nadaje się na relaks po pracy, ale też na rozgrzewkę przed weekendowym clubingiem. Taka jest też piąta, przygotowana przez Davida Visana, część tej kultowej serii. Słuchając połączonych w spójną całość rytmów z Atryki (*Iemanija* Angelique Kidjo), Rosji (*Nie Kantshaietsa* Jade Or feat. Bielka Nemirovski) czy Grecji (*I've Kept A Hold Of My Life* Mikisa Theodorakisa) stawiam sobie pytanie: teraz Polska?

Glassinjah

czytasz i słuchasz



ENVEE
NIEWINNI CZARODZIEJE
Kayax

Jeden z ciekawszych tegorocznych albumów polskiej awangardy.

Na polskiej scenie przybywa produkcji na europejskim poziomie. Przykład stanowi wspólny projekt poznańskiego DJa Envee i trzech Niewinnych Czarodziei. Wypadkową 12-u kompozycji jest nu-jazz, który kolaboruje z soulem, twostep i latino. Momentami słuchać inspiracje Urszulą Dudziak oraz Jazzanovą. Mocną stroną albumu jest muzyka i "czarne", kobiece wokale, słabą zaś warstwa tekstowa. Zwłaszcza utwory śpiewane po polsku brzmią topornie i mało logicznie. Niemniej jednak płyta jest krokiem milowym w rodzimym nu-jazzie i przez to obowiązkową propozycją dla świadomych słuchaczy.

martek



THE MATTHEW HERBERT BIG BAND
Goodbye Swingtime
Accidental

Producent elektroniki nagrał płytę z orkiestrą.

Do tej pory Herbert znany był jako twórca muzyki elektronicznej. W bardzo oryginalny sposób house'owe rytmy łączył z elementami jazzu. Z orkiestrą (o rozbudowanej sekcji dętej) radzi sobie równie dobrze. Klasyczny jazz (*Turning Pages*) miesza z awangardą i elektronicznymi eksperymentami (*The Three W's*). W tej fascynującej mieszance cały czas coś się dzieje, a nastrój i stylistyka potrafią zmienić się kilka razy w ciągu trwania utworu. Wśród znakomitych gości znaleźli się m.in. Arto Lindsay i zespół Mars On Mars.

Ola Szaczkus

muza poleca radio

TRÓJKOWY EXPRES 19:05
Warner

Jedna z najbardziej udanych polskich składanek z zagranicznm repertuarem.

Stworzenie spójnej składanki jest wbrew pozorom zadaniem dość trudnym. Każda piosenka powinna współgrać z całością pod względem klimatu i gatunku. W innym razie powstanie muzyczny śmietnik. Doskonale poradził sobie z tym Paweł Kostrzewa (wieloletni dziennikarz Trójki). Na jednej płycie zebrał siedemnaście najpiękniejszych zdaniem jego i radiosłuchaczy piosenek minionego roku. Pojawiają się przedstawiciele hip hopu, elektroniki, avant - popu i rocka. Wszystko w zdrowych proporcjach. Album rozpoczyna pieśń ekspresowa *Itis too late* The Streets. W żelaznym rozkładzie jazdy występują m.in. Doves w kawałku *There goes the fear*, *Archive* w przepięknej pinkfloydowskiej balladzie *Again* czy nadzieja rock'n'rolla Black Rebel Motorcycle Club w trzecim singlu *Love burns*. Pasażerami przedziału sypialnego są DJ Shadow z *Six Days* czy The Flaming Lips, którzy powrócili w wielkim stylu albumem *Yoshimi battles the pink robots pt. 1*. Jednym słowem skomasowany międzynarodowy skład artystów, którzy uczynili 2002 rok tak wielce udanym. Każda piosenka pasuje jak ulał do reszty, nic nie razi, ani nie odstaje. Pełna harmonia. Do płyty dołączona jest książeczka z krótkim opisem każdego artysty wraz uzasadnieniem wyboru danej piosenki. Miejmy nadzieję, że kompilacja *Trójkowy Expres* nie jest jednorazowym projektem i będzie kontynuowana w kolejnych latach.

martek



HINT
Portakabin Fever
Ninja Tune

Brakujące ogniwo między Mr Scruff a Funki Porcini.

Pod pseudonimem Hint kryje się Jonathan James. Mieszka samotnie na farmie w rodzinnym Sussex, gdzie we własnym studiu nagrywa płyty. Inspiracją jest dla niego widok z okna. Podobnie jak Mr Scruff i Funki Porcini Hint czerpie dużo z klasycznego jazzu lat 60. i 70., wczesnego reggae, funku, soulu, hiphopu lat 80. i muzyki poważnej. Pozornie więc muzyka brzmi jak poszywana z elementów zupełnie do siebie nie pasujących. Wszystkie kompozycje są w całości instrumentalne. Od czasu do czasu słychać w tle delikatne chórki, powrzaskiwania czy monologi samego Hinta (*Actory*). Płyta absurdalna, nierówna i czasem idiotyczna, ale na tym polega jej urok. Polecam wszystkim muzycznym szperaczom.

martek

KINKY
Kinky
Sonic 360/Nettwerk

Syntetyczne dźwięki meksykańskie.

Na rynku londyńskim konkurencja w dziedzinie muzyki przetwarzanej jest ogromna. Mimo to, po wygranej Latin Alternative Music Conference (Nowy Jork, 2000), grupa postanowiła nagrać pierwszą płytę w mieście . Kinky jest silnie naznaczony wpływami latynoskimi (język, przebłyski tradycyjnych rytmów, perkusja), które nadają temu krążkowi wyrazisty charakter (patrz choćby *Mirando de lado*). Dzięki tym południowym odwołaniom u Meksykanów nawet nie razi tak bardzo pewna nieporadność i przerysowanie w warstwie elektronicznej. Bo Kinkym pewnie nie zachwycą się miłośnicy wysublimowanych brytyjskich brzmień klubowych. Za to ci, którzy myślą, że "nowoczesna" muzyka latynoska kończy się na rocku, mogą być przyjemnie zdziwieni.

Ewa Śródka

BARBARA MORGENSTERN
Nichts Muss
Gusstaff

Surowy import prosto z Niemiec, ale jaki ładny.

To trzeci album damy niemieckiej elektroniki, pani Morgenstern. Jej nazwisko brzmi równie wzniośle jak muzyka, którą tworzy. W Polsce jest kompletnie nieznana szerszej publiczności. Barbara sama komponuje i pisze teksty. Uparcie też śpiewa po niemiecku, udowadniając, iż ten toporny język może brzmieć równie zmysłowo i melodyjnie jak np. angielski. *Nichts Muss* to płyta utrzymana w klimatach click-elektroniki z loopami i samplami, masą trzasków, szmerów i zabrudzeń. Album otwiera bardzo pulsujący *Aus Heiterem himmel*, który przechodzi w zgrzytliwy *Nichts und niemand*, a potem w hipnotyczny *Merci (Dass es dich gibt)*. Jednym z dwóch anglojęzycznych utworów jest kawałek o dość wymownym tytule *We're all gonna fucking die*. Wszystko zagrane z wielkim wyczuciem i klasą. Muzyka Pani Morgenstern może nie podbije polskiego rynku, ale zapewne przypadnie do gustu fanom Tarwater i Dony Reginy.

martek

NORKEN
Blue Divine: Remodelled
Hydrigen Dukebox

NACHT PLANK
Lost And Damaged
Hydrigen Dukebox

Różne oblicza elektroniki zrodzone w Internecie.

Te dwie płyty łączy osoba angielskiego producenta muzyki elektronicznej, Lee Norrisa, znanego głównie pod pseudonimem Metamatics. Tym razem mamy do czynienia z przeróbkami jego utworów, które stworzył jako Norken i Nacht Plank. Oba albumy to zbiory remiksów, nagranych przez artystów z całego świata. Norris poznał ich przez Internet w chat-roomie, na stronie swojej wytwórni Neo Ouija. Remiksy Norken to głównie taneczne rytmy: house (*Motor Breeze*) i techno (*The Way*) w delikatnym, nietanecznym wydaniu, połączone z nastrojowymi brzmieniami. Płyta z remiksami Nacht Plank to zbiór klimatów ambient ubarwionych dużą ilością tajemniczych dźwięków (*Carhaix Bayside*). Czasem wyłaniają się spośród nich niezwykle spokojne melodie (*Carhaix-Greg Davies Mix*). Warto sięgnąć po te obie, bardzo różne płyty i po porcji żywszych rytmów Norken odpłynąć przy Nacht Plank.

Ola Szaczkus

PEST
Necessary Measures
Ninja Tune

Zespół, który uważa, że dance potrzebuje porządnego kopniaka w tyłek.

Ktoś trafnie zauważył, że na próbach błyskotliwego opisania muzyki gru-

py Pest można by spędzić wiele godzin. Można by rozwodzić się na temat ich bogatych inspiracji. Wszystko to na nic, bowiem w efekcie *Necessary Measures* okazuje się być gigantycznym, psychodelicznym wężem, który oplata, krępując ruchy. Jest w tym odrobina prawdy. Pest, jak przystało na artystów ze stajni Ninja Tune, mieszają różnorakie style, wykorzystując cały arsenał dziwacznych dźwięków (laptopowe kliki, zgrzyty, kiczowate melodyjki, dziecięce śmiechy, disco-chaos, specyficzne poczucie humoru oraz damsko-męskie monologi). Podstawą tych wariacji pozostaje jazz ze wszystkimi jego mutacjami. Najbardziej reprezentatywnymi utworami są *Jefferson Shuffle* i wykręcony *Chicken Spit*. Albumu słucha się najlepiej gdy ma się gorączkę lub w innych, niecodziennych stanach świadomości.

martek



PLUMBLINE
Circles
Hydrogen Dukebox

Zaproszenie do podróży.
Amerykański artysta Plumbline przejechał kiedyś z Los Angeles do Nowego Jorku z Belgiem za kierownicą i psem na tylnym siedzeniu. Z kierowcą rozmawiali jaka muzyka może oddać prostotę i przestrzeń mijanych krajobrazów. Płyta *Circles* jest muzycznym zapisem wrażeń z tej przejażdżki. To concept album, na którym utwory nie mają tytułów. Elektroniczne dźwięki tworzą intrygującą brzmieniowo przestrzeń, a „w oddali" słychać tajemnicze głosy. Muzyka mknie gdzieś w niewiadomym celu. Całość jest niezwykle relaksująca. Nic, tylko zamknąć oczy i wziąć udział w tej podróży.

Ola Szczakus



PREFUSE 73
One word extinguisher
Warp

Relaks, relaks, relaks.
Pierwsza płyta Scotta Herrena, znanego bardziej jako Prefuse 73 rzuciła na kolana krytykę muzyczną i publiczność, podobnie będzie i w wypadku tego wydawnictwa. Płytę wydaje Warp, ale brzmieniowo i stylistycznie bliżej jej do stajni Ninja Tune. Ostatnimi czasy Warp zajmuje się promowaniem ciekawych, alternatywnych hip hopowych projektów, jak chociażby AntiPop Consortium czy Beans. Prefuse 73 to po prostu nowoczesne, relaksujące hiphopowe beaty, czerpiące pełnymi garściami z jazzu i electro. Prefuse 73 przemyca także patenty znane z twórczości Aphex Twina czy Boards of Canada (to w końcu wytwórnia Warp!). Bujające, relaksacyjne brzmienia jakie tworzy Prefuse 73 stwarzają poczucie błogości i pragnienie większej ich dawki.

Artur Pleskot



EDITION TERRANOVA
Hitchhiking Nonstop.....With No Particular Destinaton
!K7

Mocno przekombinowany trzeci album Terranovy.
Niemieckiemu trio z Terranovy trochę zabrakło pomysłu na tę płytę. Odzwierciedla to chociażby sam tytuł. Napastliwe i hałaśliwe kawałki pasują jedynie do klubowych, odjechanych imprez. Wśród nich są trzy perły, które czynią album w miarę interesującym. Kawałek *Heroes* w rymach Mike Ladd, *Out of My Head* – bardzo transowy utwór, wystękany przez Catch Coffey oraz seksistowsko brzmiący *Women Beat Their Men*, wyrecytowany przez Arianę trochę w stylu Peaches. W podkładach dominuje hiphop, trip-hop i minimal techno. Częste słuchanie albumu generuje agresję i irytację. Z sentymentem więc przywodzi się na myśl wspomnienia o bardzo udanej składance grupy z serii *DJ Kicks* sprzed 6-u lat czy ich drugi album *Close The Door.* Mam nadzieję, iż to tylko chwilowa niedyspozycja.

martek

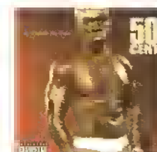


TOSCA
Delhi9
K!7

Wymuskani OJ-e w modnych garniturkach wydali kolejny udany album.
Tworzący Toscę Wiedeńczycy, Rupert Huber i Richard Dorfmeister to jeden z czołowych duetów europejskiej sceny elektronicznej. Od *Delhi9* dobrze zacząć poznawanie ich twórczości, z uwagi na lekkostrawność tego krążka. Nie ma tu zaskoczeń, gwałtownych zmian stylu, za to jest bardziej komercyjnie. Na pierwszym CD znajdują się głównie piosenki – do współpracy zaproszono m.in. Annę Clementi (*Oscar* i *Me & Yoko Ono*) i wietnamskiego MC Sugar Etery. (*Every day, every night*). Drugi krążek zawiera dwanaście solowych kompozycji Hubera na pianinie i przearanżowanych przez Dortmeistera w stylu dub. Tradycyjnie, zadbano o wizualną stronę wydawnictwa - album wydany jest w gustownym, lnianym digipacku.

martek

hip hop



50 CENT
Get Rich Our Die Tryin
Shady Rec.

Z błogosławieństwem „starszych braci".
Czego można oczekiwać po albumie wyprodukowanym przez Eminema oraz Dr. Dre i wydanym przez wspólną wytwórnię Shady Records? Oczywiście gwarancji sukcesu. Curtis Jackson aka 50 Cent miał szczęście, iż to jemu pierwszemu Eminem i Dr Dre zaproponowali kontrakt. Ten muskularny gangsta posiada wszelkie atrybuty dobrego rapera: trudne dzieciństwo, problemy z prawem, tatuaże i niezły flow. 50 Cent nie jest debiutantem - współpracował z Run D.M.C. i Jam Master Jay. Pojawił się także na soundtracku do *8 Mili*. Jednak dopiero płyta *Get Rich Our Die Tryin* przyniosła mu sławę (w pierwszych dniach rozeszło się prawie 900 tys.). Rozgłośnie zaś okupuje singel *In Da Club* z gościnnym udziałem wiadomo kogo.

martek



ASCETOHOLIX
Apogeum
UMC Records

Hip-hop na luzie i z polotem.
Oborniccy raperzy mają szerokie horyzonty; ich refleksje świadczą o życiowej dojrzałości, a przy tym nie tracą luzackiej maniery w przekazie. Odpowiadający za podkłady i produkcję Doniu preferuje melancholijne brzmienia, oparte na "smyczkowych" samplach. Jego styl staje się rozpoznawalny, co zauważają inni, zapraszając go często do współpracy. Pokłosiem takowej jest chyba udział Fu i Pono w *Azylu*, choć w konkurencji "zwrotek gościnnych" wygrywa Szad z Wałbrzycha, gimnastykujący język w *Suczkach*. Zwracają uwagę melodyjne refreny z ciekawymi harmoniami wokalnymi, czasem damskimi – przykładem choćby singlowe *Plany* czy *D trzech takich...* Główną zaletą płyty są przemyślane teksty - czasem żartobliwie, czasem ostro komentują rzeczywistość, nie wpadając w pułapkę banałów.

Marcin Kostaszuk

muza poleca – klub

PROJEKT SI 031
BMG/Sissy

Czterdziestu najlepszych artystów polskiej sceny niezależnej zebranych na jednym krążku.
Zamysłem stworzenia tej nietypowej składanki była współpraca artystów z sublejbla Sissy Records z muzykami z zewnątrz. Opierała się wyłącznie na czystej improwizacji, eksperymentach i wyjściu z poza estetyki, którą artyści uprawiają w macierzystych zespołach. Większość utworów, które pojawiły się na składance pochodzi z demówek lub odgrzebanych gdzieś w szufladzie melodii. Inne zaś powstawały specjalnie do projektu w domowych warunkach. Nagrania trwały prawie dwa lata. Efekt jest imponujący. Zebrano 16 kompozycji, wykonanych w bardzo nietypowych konfiguracjach 40-u muzyków. Utwory nie mają własnych tytułów. Noszą nazwę kolejnych numerów z tracklisty. Usłyszymy m.in. Jacka Lachowicza (klawiszowiec Ścianki) w duecie z Anią Dąbrowską (najbardziej obiecującą finalistką *Idola*). Zespół Old Time Radio - świeża krew z Trójmiasta wykonuje cover formacji House of Love oraz śpiewa wspólnie z Patem (Homosapiens). CKOD w duecie z Procesor Plus świetnie wczuli się z kolei w cover zespołu Joy Division. Grupa Drift robi podkłady do sennego wokalu Noviki (Futro), a Kasia Nosowska występuje u boku Mietalla Walusia (Negatyw). Jednym z większych zaskoczeń jest udział Przemka Myszora (Myslovitz), który śpiewa piękną balladę w duecie z Delons. Stylistycznie album jest bardzo awangardowy, dużo elektroniki, avant-popu, szmerów, trzasków, pulsacji, gitar, punk rocka i melancholijnych spokojnych wokali. Płyta dla wszystkich myślących i tańczących inaczej.

martek



BIG BROVAZ
Nu-Flov
Riot/Epic

Wyspiarze pokazują, jak przebojowo można połączyć hip hop, R&B i UK garage.
O siódemce (trzy wokalistki, trzech wokalistów i DJ/producent) tych utalentowanych, 20-letnich Anglików zrobiło się głośno po sukcesie ich singla, *Nu Flow*. A przecież na ich debiucie jest jeszcze dziesięć nagrań o podobnym, jeżeli nie większym potencjale komercyjnym. Ktoś mógłby powiedzieć, że ten elegancki, "salonowy" hip hop to tylko odpowiedź na barokowe w rozmachu produkcje amerykańskich mistrzów z The Neptunes. Ale jaka odpowiedź! Dość wspomnieć, że rymującej na sześć głosów załodze udało się uniknąć jakże denerwującej ckliwości w R&B (*Summertime*; *Gotta Get*), jak i uczłowieczyć "cykające", twostepowe rytmy (*Don't Watch That*).

Glassinjah



DIZKRET/ /PRAKTIK
IQ
Konkret Dilpak

Jazzujący, inteligentny hip-hop.
Projekt Dizkret/Praktik musi kojarzyć się z ubiegłorocznym projektem Pezet/Noon, czyli "fifty-fifty producent emsi", jak rymował Pezet. Jednak charakter tego krążka jest trochę inny. Przede wszystkim brzmienia, choć bogate w smaczki, są bardziej jazzujące. Sam Dizkret to też inny flow, nie tak charakterystyczny jak ziomka ze składu Obrońców Tytułu, ale jego historie wciągają równie mocno ze względu na inteligentne refleksje. Z tego względu wyróżniają się *Jedno życie* i *Hip-hop?* Muzycznie najciekawszy wydaje się reggae'owaty *Zburzyć mur*, dzięki gościnnemu wokalowi rastamana Gutka. Album niekoniecznie dla ulicy, ale ograniczenia *IQ* dla nabywców też chyba nie ma.

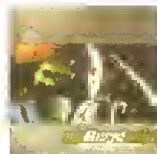
Marcin Kostaszuk



DJ BUHH
Hałas
Nielegal

Trzecia część solówki Tedego – jadowita i smakowita.
Nagrania te nie weszły na *Hajs, hajs, hajs*, znalazły się za to za sprawą Tedego (pardon, DJ Buhha...) w Internecie. Gdy ich teraz słucham, to tamta płytka wydaje mi się gazetą z wyrwanymi stronami, które tu się odnalazły. Znajdziemy w nich gościnne "felietony" Numer Raza, ale z trzech pełnowartościowy jest tylko Świat w moich oczach. Sam Tede nie oszczędza Sylwestra Latkowskiego (*Gwiazdor*), wspomina początki kariery (*Pierwszy milion*), tudzież rodzime osiedle (*SND*). Bity słabsze, nawijki często z freestyleu, ale jak zawsze na dużym luzie. Pięciu gwiazdek nie dam, jak sugeruje recenzentom Tede, ale w tym *Hałasie* jest metoda.

Marcin Kostaszuk



DON GURALESCO
Opowieści z betonowego lasu
Blend Records

Guralu, czy ci nie żal?
Don Guralesco, znany wcześniej w Killaz Group i K.A.S.T.A. jako Gural, to prawdopodobnie najlepszy dziś polski MC, jeśli chodzi o technikę rymowania – strzelający niczym kałasznikow porównaniami i przechwałkami. Tych ostatnich jest tak wiele (*Rymmajster*, *Jestem tym typem...*), że *Opowieści...* zostają w pamięci przede wszystkim jako festiwal braggadocio. Pewny siebie MC razem z pewnymi swych umiejętności producentami z Whitehouse Records mogą sobie pogratulować. Jednak do myślenia daje fakt, iż wymierny sukces innego poznańskiego MC był w dużej mierze zasługą raczej oszczędniejszego szafowania słowami, a głębszego ich przemyślenia...

Marcin Kostaszuk



MISSY ELLIOTT
Under Construction
Elektra

Mimo złotych gadgetów i sportowego entourage'u Pani Elliott ma dużo do powiedzenia.
A w dodatku wie też jak to zrobić. *Under Construction* to przede wszystkim fenomenalna produkcja – Timbaland i dama w adidasach odwalili kawał dobrej roboty. Soulowe tradycje mieszają się ze nowoczesnym obliczem hip hopu, który w zasadzie "klasycznym" hip hopem już nie jest. W *Go To The Floor* Missy tłumaczy zresztą jakim ten gatunek powinien być: progresywny ("under construction"), ponad podziałami, inteligentny, silny i kobiecy jednocześnie. Za słowami idzie muzyka – *Work It*, *Slide* czy *Funky Fresh Dressed* to majstersztyki połączenia dźwięków wszelakich w świetne konstrukcje muzyczne. A słuchacz osiąga pełnię szczęścia gdy biegle włada amerykańskim slangiem – warto się wsłuchać w to, co mówi Missy.

Ewa Śródka



MACY GRAY
The Trouble With Being Myself
Epic

Nowocześnie tradycyjna, imprezowo liryczna.
Pomysł Macy Gray na to co robi jest wprost genialny. Nie odbiegając zbyt daleko od swoich wzorów (jak choćby Stevie Wonder, Aretha Franklin, Etta James etc.), stara się aby jej kompozycje przyciągały świeżością brzmienia. Czuć, że Macy bardzo dopieszczała produkcję krążka i dbała aby bardziej nowoczesne elementy brzmieniowe nie były niczym więcej niż drobnymi smaczkami. Do tego jeszcze stosuje zasadę dobrego wyważenia: dwa energetyczne, bujające kawałki i cudna balladka. Mało kto jest w stanie oprzeć się takiej soulowo-funkowej mieszance, szczególnie, że została ona podana przez doskonale brzmiący band (czasem niemal big band). *The Trouble With Being Myself* emanuje radością miłosnych opowieści Macy i dowcipem (choćby tam gdzie artystka mówi o sobie). Ja padłam od razu "ofiarą" singla (*When I See You*) i poddałam się radosnemu zaproszeniu do zabawy, ale moimi faworytami są dwa inne kawałki. Odskocznią od reszty płyty jest psychodeliczny *My Fondest Childhood Memories* w stylu Moloko; tekst tej piosenki sprawia, że obraz delikatnej i kobiecej Macy ustępuje wizji nieletniej morderczyni (!). Bardzo miłą niespodziankę stanowi również jazzowy, *Every Now And Than*, w którym dzieje się muzycznie mnóstwo rzeczy. Głos artystki świetnie się sprawdza i w tej stylistyce - w zasadzie nie miałabym nic przeciwko temu, aby Macy na kolejnym krążku poeksperymentowała trochę w tę stronę. Choć nie wiem czy wokalistka chciałaby zejść ze sprawdzonej ścieżki - jej pomysł sprawdza się przecież w stu procentach...

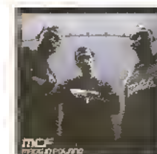
Ewa Śródka



FUGEES
Greatest Hits
Columbia

taka składanka TAKIEGO zespołu
Oto co znaczy robić składankę po najmniejszej linii oporu. Ileż to nagrań tkwi gdzieś na kompilacjach i płytach innych wykonawców (Cypress Hill, Nas), w których udzielają się choćby pojedynczy członkowie grupy? Jest klasyka, czyli *Fu-Gee-La*, *Ready Or Not* (teraz już podpisują "featuring *Boadicea* by Enya", skubańcy...) i *Killing Me Softly*, kilka co bardziej oczywistych utworów z pierwszej płyty i trzy bonusy, od których znacznie ciekawsza jest dodatkowa płyta z sześcioma remiksami. Całość to trochę ponad 80 minut, ale jedynie połowa mówi prawdę o tej kapeli. Remiksy, szczególnie *Ready Or Not* Clarke'a Kenta, pokazują wszakże, jak pojemną i plastyczną strukturę miało tych kilka epokowych hiciorów hip-hopowego meteora, jakim okazało się Fugees.

Marcin Kostaszuk



MCF
Made in Poland
Blend

Imprezowo, ale bez chamstwa.
MCF wyróżniają kompozycje w większości utrzymane w luzackich bounce'owych klimatach. Teksty nie są, jak to często bywa, opisem wesołych hip-hopowych demolek z obowiązkową pobudką na zgliszczach. Chłopaki wolą raczej odstresować słuchaczy (*Fri tajm*), pokazać parę paradoksów naszej rzeczywistości (*Made In Poland*) albo rzucić kilka miejskich mądrości (*Miasto nie zasypia*). Jeśli chodzi o styl, to na tle gości - szczególnie Tedego i Fokusa - wypadają średnio, ale przecież to dopiero debiut. Mają czas! Pozytywne przesłanie na dobrych bitach, między innymi Magiery i Igora.

Marcin Kostaszuk

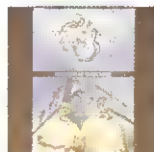
muza poleca

hip hop

TOMEKK
Beat Of Life Vol. 1
BMG

Polak potrafi
Słucham tej płyty od kilku tygodni i łapię się na tym, że próbuję się do czegoś przyczepić. I tak sobie myślę, że pewnie nie jestem w tej reakcji osamotniony. No bo jak to możliwe - Polak odnosi sukces w Niemczech, nagrywając z najlepszymi amerykańskimi raperami i wcale nie wstydzi się tego, że zarabia na hip hopie pieniądze? Potem wkładam do odtwarzacza pierwszą z brzegu rodzimą produkcję z ulicznym hip hopem i już wiem, że wyznaczona na Odrze granica wciąż bardziej dzieli niż łączy nas z naszymi sąsiadami. Dzieli przede wszystkim mentalnie, stając się w umysłach ludzi klejących bity i układających rymy wręcz przepaścią w myśleniu o roli hip hopu. Po tej stronie granicy raperzy wciąż boją się przyznać nie tylko przed kumplami, ale przede wszystkim przed samymi sobą, że chcieliby zarabiać na muzyce i jednocześnie wciąż pozostać niezależnymi. Kompleksów tych nigdy nie miał Tomasz Kuklicz, który jest zawodowcem w każdym calu. Łącząc niemały talent muzyczny ze smykałką do interesów, szybko wyrósł na pierwszego twórcę hip hopu w Niemczech. Dzięki finansowemu wsparciu wytwórni, ale przed wszystkim znakomitym koneksjom w hiphopowym środowisku, *Beat Of Live Vol. 1* to już jego drugi producencki album, którego lista płac może wzbudzić podziw. Są więc Beatnuts w *Woody*, jest Kurupt w obu częściach *Ganxtaville* i Atu-Ra w *Russian Roulette*, a duet Ice-T i Sandra Nasic z Guano Apes daje czadu w tytułowym, bardzo rockowym utworze. Gdyby tego było mało, Prezident Brown urozmaica repertuar, śpiewając z uczuciem swoje reggae *Unleash The Lion* i *Rasta Soldier*, superkoszykarz Shaquille O'Neal rymuje w *How You Like That RMM*, ale już gościnny udział pyskatej Lil' Kim w przebojowym *Kimnotyze* to prawdziwa sensacja. Tego trzeba posłuchać!

Glassinjah



ONAR I OŚKA
Wszystko co mogę mieć
Warner

Krok w tył.
Słabszym ogniwem duetu jest Onar - raper o charakterystycznym, niskim i zachrypniętym głosie. Niby nic mu nie brakuje, ale jego teksty potwierdzają niesprawiedliwy w wielu przypadkach stereotyp, że raperzy dużo mówią, ale o niczym. Nie ma tu nic co wykraczałoby poza standardowy zestaw tematów z cyklu: ziomy, imprezy (lub "klubing" jak woli Onar) czy szowbiznes (pisownia oryginalna). Niestety nie potratię wymienić najlepszych kawałków na tej płycie. Potrafiłbym najgorsze, ale po co kopać leżącego? Szkoda kilku udanych podkładów Ośki, takich jak choćby futurystyczny *Superelaks*. Słychać, że ma czujne ucho, a jego produkcje idą śladem The Neptunes, niemniej przed nim jeszcze ciągle sporo pracy. Znacznie jednak mniej niż przed Onarem.

Marcin Kostaszuk

metal



BIOHAZARD
Kill Or Be Killed
SPV

Zespół po latach chudych znowu wyszedł na prostą.
Tym razem nie ma już wątpliwości, że Biohazard znowu będzie liczył się wśród miłośników metalowego i hard core'owego grania. Nowa produkcja zaskakuje przede wszystkim zróżnicowaniem muzyki. Panowie postanowili tym razem poszperać nieco w aranżacjach, urozmaicając piosenki, choć nadal materiał jest bardzo surowy. Zespół najlepiej wypada w bardzo szybkich numerach. Jednak wolniejsze partie odsłaniają mankamenty tej muzyki, robi się nudno. Biohazard nadal nie potrafi tak skutecznie urozmaicić kompozycji, by można było bez szemrania słuchać płyty. Tym bardziej, że muzyka zespołu jest pozbawiona jakichkolwiek ozdobników, które mogłyby uatrakcyjnić jej warstwę brzmieniową.

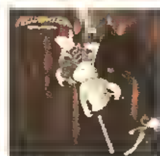
Arek Lerch



BLAZE
As Live As It Gets
SPV

Sto minut na żywo z ekswokalistą Iron Maiden.
Blaze Bayley jest jednym z tych śmiałków, którzy konsekwentnie trzymają się starej szkoły metalowego młócenia, nie bacząc na zmieniające się trendy. Ostatnio jego kariera wyraźnie nabiera rozpędu, o czym świadczy to koncertowe wydawnictwo. Na dwóch krążkach zamieszczono w sumie 18 kawałków, głównie z solowych płyt *Silicon Messiah* i *Tenth Dimension*. Jest też obowiązkowa powtórka z Żelaznej Dziewicy (*Two Worlds Collide*, *Virus*, *Sign Of The Cross*, *Futureal*) i *Dazed & Confused* Zeppów w wersji superciężkiej. Rzetelne to granie, tacet ma głos jak dzwon, a brzmienie wprost zwala z nóg. Wstydu nie ma.

Paweł Piotrowicz



HELLOWEEN
Rabbit Don't Come Easy
Nuclear Blast

Klasycy niemieckiego metalu bez formy.
Dla takich firm jak Helloween czas stanął w miejscu. O ile *The Dark Ride* sprzed trzech lat stanowił próbę penetracji klimatów dość mrocznych, *Rabbit...* to powrót do wesołego wymiatania w starym stylu: szybkiego, melodyjnego i z wokalem w wysokich rejestrach. W porządku, tyle że panowie borykają się z deficytem dobrych pomysłów. Są na szczęście wyjątki, jak *Back Against The Wall*, nad którym unosi się duch Fear Factory (!), albo *Nothing To Say* z zaskakującym refrenem w ska. Gdyby nie takt, że ponad połowa płyty to wypełniacze, byłoby nawet nieźle. A tak, jest jak jest - powtórka z rozrywki dla wiernych fanów.

Paweł Piotrowicz



CHILDREN OF BODOM
Hate Crew Deathroll
Universal

Finlandia ma Nokię i Children Of Bodom.
O ile jednak Nokia wytycza kierunki rozwoju telekomunikacji, o tyle Children Of Bodom ostatnie dwadzieścia lat spędziło w hibernacji. Pół wieku temu nad jeziorem Bodom w Krainie Tysiąca Jezior doszło do serii morderstw nastolatków. Po latach wydarzenia te przyczyniły się do powstania nazwy zespołu. Kapela wydała piąty album, na którym proponuje najczystszej krwi heavy metal. Byłby niezły, gdyby gitarzysta nie chciał go osłodzić solówkami a'la Malmsteen, a klawiszowiec lukrowanymi dźwiękami. O tej dwójce można powiedzieć tylko tyle - Edek z Wieśkiem w remizie w Wilczogórze uzyskaliby lepsze brzmienie. Ale Finowie nie muszą martwić się o fanów w naszym kraju. Po ilości t-shirtów na koncertach widać, że jest ich sporo.

Krzysztof Lewandowski



GODSMACK
Faceless
Universal

Schematyczność, która jeszcze nie nudzi.
Poprzedni album zaczynał się od słów "I'm gonna do it again". Sully Erna dotrzymał słowa: znów jest ostro i nieco demonicznie. Problem leży w wokalu Erny. Zbyt monotonny, rzadko przykuwa uwagę. Wyjątkiem jest *Make Me Believe*. Niebanalne riffy i zawodzący zaśpiew sprawiają, że jest to tutaj jeden z ciekawszych utworów. Grupa szuka nowych muzycznych rozwiązań. Warto docenić gitarowe solówki w *Faceless* i w *Changes*. By tradycji stało się zadość jest i *Voodoo 3* czyli narkotyczny utwór, zamykający album. Tym razem nosi tytuł *Serenity*. Na dokładkę dostajemy *I Stand Alone* ze ścieżki dźwiękowej do *Króla Skorpiona*. *Faceless* wieńczy filozoficzne pytanie "Where do we go?". Może warto, żeby Godsmack ruszył wreszcie w nową stronę, bo jeszcze jedna identyczna płyta i metalowcy z Bostonu naprawdę stracą twarz.

Dagny Kurdwanowska



KATATONIA
Viva Emptiness
Peaceville

Z albumu na album coraz lepiej.
Katatonia wyraźnie się rozwija. Jeśli ktoś z uwagą śledzi ich poczynania, z pewnością zauważy różnicę między *Viva Emptiness* a *Last Fair Deal Gone Down*. Muzyka Szwedów staje się coraz bardziej skomplikowana, coraz więcej w niej zmian nastrojów, przeróżnych klimatów. Od utworów muzycznie i tekstowo gniewnych (*Ghost Of The Sun*, *Will I Arrive*),

przez kompozycje niemal oddające ducha Pink Floyd (*Sleeper*), aż po łagodne kawałki (*Burn The Remembrance* lub najbardziej popowy na całej płycie - *Omerta*). Płyta wiele zyskuje na owej różnorodności. Świetny album.

Jacek Żuławnik



MINISTRY
Animositisomina
Sony

„Ojcowie Założyciele" rocka industrialnego przekonują, że to gatunek „wiecznie żywy".

Płyty Ministry można podzielić na takie, które są genialne od początku do końca i takie, które zaczynają irytować po dwóch, trzech utworach. *Animositisomnia* plasuje się gdzieś pośrodku. Tradycyjnie już muzyka jest ostra, surowa, momentami przewierca się wręcz przez trzewia słuchającego. Szatańsko złowieszczy Al robi co może, aby nikt go nie oskarżył o choćby śladowe ilości poczucia humoru i ponuro odśpiewuje kolejne wersy. *Animosity*, *Unsung*, *Broken*, *Impossible* to Ministry w formie, jak za starych dobrych czasów. Płyta nie rzuca na kolana, ale jej dynamika, posępność, wyrazistość i "brudne", nieoszlifowane brzmienie na pewno zachwycą wszystkich miłośników rocka przemysłowego, który jakiś czas temu spisano już na straty. *Animositisomnia* dowodzi, że chyba jednak zbyt wcześnie.

Dagny Kurdwanowska



NARNIA
The Great Fall
Nuclear Blast

Epicka opowieść o losach ludzkości.

Od początku albumu słychać, że wzorem dla Narni jest grupa Dream Theater i oczywiście powieść Clive'a Staplesa Lewisa. Panowie nie pozostają jednak przy prostym kopiowaniu brzmienia innych, lecz proponują coś swojego. *Judgement Day* to niemal thrashowa jazda, *Desert Land* to delikatny przerywnik, a *Ground Zero* to utwór skomplikowany z przyjemnymi orientalizmami. Zamykające płytę *The Great Fall Of Man* stanowi opus magnum, w którym są i orkiestrowe wstawki, i szybkie agresywne partie, ale też nagłe zmiany klimatu, zwolnienia, plamy instrumentów klawiszowych. Jednym słowem: coś się dzieje.

Jacek Żuławnik



SINISTER
Savage Or Grace
Nuclear Blast

Powrót klasyków tradycyjnego death metalu.

Holenderski Sinister istnieje od ponad 10-u lat i przez cały ten czas każdą płytą dobitnie udowadnia, że nie raz już pogrzebany death metal ma się dobrze. *Savage Or Grace* nie przynosi rewolucyjnych zmian, lecz trzyma poziom poprzednich produkcji. Od pierwszych dźwięków *Rise Of The Predator* słychać, z jaką kapelą mamy do czynienia. Kolejne, bezkompromisowe numery, jak *Barbaric Order*, *Conception Of Sin* albo najlepszy na płycie *The Age Of Murder* powalają potęgą rasowego metalowego grania, łojąc bez wytchnienia.

Jacek Żuławnik



VOIVOD
Voivod
Chophouse Records

Kultowi thrashersi prawie nowofalowo.

Sześć lat to w muzyce spory kawałek, a tyle dokładnie minęło od momentu ukazania się *Phobos* - ostatniego wypustu progresywnych Kanadyjczyków. W tym czasie wiele się na pokładzie Voivod zmieniło. Basistę i wokalistę Erica Forresta zastąpił pierwotny frontman Snake i... Jason Newsted, który przez kilkanaście lat pogrywał sobie w wiadomym zespole. Owoc tego związku brzmi trochę jak stary Sabbath, grający materiał z pierwszego Pink Floyd w stylu punk. Takie klimaty rządzą choćby w *Facing Up* czy *I Don't Wanna Wake Up*. Powstała płyta rzetelna, lecz dosyć specyficzna i przy tym monotonna. Starzy fani powinni być jednak zadowoleni, zwłaszcza że mięsista sekcja daje radę jak nigdy, a energia tryskająca z tych nagrań jest bezsprzeczna (*We Carry On*).

odlot



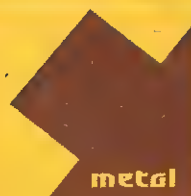
MARILYN MANSON
The Golden Age of Grotesque
Universal

Król Groteski ukrył się za murem dźwięków.

MM postanowił udowodnić, że potrafi przenieść prostotę "dada" w świat muzyki. Efektem jest najmniej wyrafinowany album w karierze artysty. Wraz z Timem Skoldem, ex-członkiem KMFDM, skrajnie uprościli brzmienie zespołu. Wszystkie utwory są niezwykle rytmiczne, ostre, dużo w nich agresywnej elektroniki. Gitarowa melodyjność została znokautowana przez sekcję rytmiczną. Ma to swoje mankamenty - znaczna część utworów zlewa się w jedno wielkie ŁUP, ŁUP, ŁUP. Monotonność przełamują: okraszony melorecytacją *This Is The New Shit*, cyrkowo rozkołysany *The Golden Age Of Grotesque*, wzbogacony ciekawym riffem *Better Of Two Evils* i zróżnicowany pod względem tempa, buntowniczy *Vodevil*. Choć album jest perfekcyjnie wyprodukowany, zwarty i konsekwentny, coś tu nie gra. Nowy wizerunek Mansona sugerował groteskę i burleskę. Tylko utwór tytułowy nawiązuje do tej konwencji. Reszta bardziej przypomina odgłosy z gwintowni niż z kabaretu. W tekstach Manson postawił na dekadentyzm i zbłazowanie. Dla antagonistów ma jasne przesłanie: "To nie jest muzyka i to nie jest zespół. Jesteśmy pięcioma środkowymi palcami na pieprzonej dłoni" (deklaruje w *Vodevil*). Chętnie bawi się słowem. Nie stroni od szczerych i cynicznych wyznań. Niestety, coraz częściej balansuje na granicy autoparodii. Płyta broni się jako całość, ale brakuje jej sporo do rewolucyjności *Antichrista* i pomysłowości *Mechanical Animals*. Nowy album skłania do wniosku, że MM intryguje jako artysta. Jako muzyk trochę mniej.

Dagny Kurdwanowska

metal



LINKIN PARK
Meteora
Warner

Trzeci album tej kalifornijskiej formacji brzmi najczyściej z dotychczasowych.

Jest jednak najbardziej z nich wszystkich ustylizowany na brudny. Ta wypracowana niedbałość dotyczy nawet "postindustrialnej" okładki, o której każdy szanujący się plastyk powie, że jest mimo wszystko estetyczna. To samo jest z muzyką. Chester Bennington i kompania robią wszystko, aby łoić ile fabryka, nomen omen, dała, a jednak wychodzą im spod tego łojenia liryczne kwiatki w rodzaju *Easier To Run*, który po małej przeróbce nadałby się nawet na poprockową balladę. Czasem o łojeniu zapominają na dobre i grają układne piosenki, patrz (słuchaj) *Breaking The Habit*. Zardzewiała maska opada i otrzymujemy czyste sreberko, a jest to bądź co bądź metal szlachetny. Szlachetny jest też sam głosik Chestera, nawet jeżeli rzeczony Chester usiłuje się drzeć na modłę hard core'ową, tak jak w *Faint*, *Hit The Floor* albo *Figure. 09*, w przerwach między rapującymi melodeklamacjami. Tu i ówdzie plączą się na tej płycie klawisze i różne przedziwne sample; daję słowo honoru, że w *Nobody's Listening* słychać autentyczny flet. A z drugiej strony słyszymy elektroniczne, technowe niemal łamańce w instrumentalnym (właśnie, gdzie te instrumenty?) *Session*. Bardzo eklektyczna, zwarta, przemyślana płyta. Faktycznie kwintesencją całości jest *Somewhere I Belong*, któremu wytwórnia i krytycy przypięli łatkę przeboju. A skoro już o łatkach mowa, to *Meteora* przypomina mi trochę modne dżinsy, które są fabrycznie nowe, a wyglądają jak zdarte, wypłowiałe i utytłane. Ale głowa do góry - przecież naprawdę utytłanych nikt by nie kupił...

Piotr 'Berger' Czerwiński

Gdyby jeszcze Snake przestał wyć tak niemiłosiernie...

Paweł Piotrowicz



WIZARD
Odin
SPV

Powtórka z rozrywki (nie rozrywkowa).
Wizard pełnymi garściami czerpie z dokonań innych. Przede wszystkim z wprawą wykorzystuje patenty, które wiele lat temu wprowadzali w życie panowie z Freedom Call, Stratovariusa czy Rhapsody. Speed metalowe granie z elementami power metalu – tak można tę muzykę najkrócej określić. Absolutnie nie ma tu mowy o oryginalności. Co gorsza chwilami nie da się opędzić od wrażenia, że coś podobnego grało się jakieś dwadzieścia lat temu. Szczególnie wokale podsuwają skojarzenia z pieśniarzami w stylu *Europe*. Jedyny utwór, który jako tako się wyróżnia to Dark God. Resztę można sobie odpuścić.

Jacek Żuławnik

jazz/blues



BJÖRN BERGE
Stringmachine
Warner Norway

Przystojny Norweg i gitara dwunastostrunowa.
Berge gra techniką bottleneck, ale odległy jest od kopiowania zagrywek a la Blind Willie Johnson i udawania starego bluesmana z Delty! Blues jest dla niego jedynie punktem wyjścia, a sama technika bliższa jest basowym zagrywkom Wojtka Pilichowskiego! Berge gra bowiem tzw. slappingiem na gitarze akustycznej! I czyni to z niezwykłą intensywnością, żarliwością rytmiczną. Śpiewa głębokim, szorstkim, bez wątpienia bluesowym głosem. Jest to jednak blues XXI wieku – pełen energii, nowych rozwiązań harmonicznych i melodycznych. Blues zagrany z szacunkiem i znajomością tradycji, ale nie na klęczkach.

Sławek Wierzcholski



MICHAEL BURKS
Make It Rain
Alligator

Kopia czy oryginał?
Bluesman to rasowy, o pięknym, niskim, gardłowym głosie. Gitarzysta o mięsistym brzmieniu, pięknym wibrato i frazowaniu, jakie słyszymy w wykonaniu prawdziwych mistrzów gitary. I wszystko byłoby super gdybym nie słuchał wcześniej Alberta Kinga. Bo Michael Burks jest doskonałą kopią Kinga - klasyka bluesowej gitary, który był natchnieniem i inspiratorem zastępów bluesowych gitarzystów, w tym samego Steviego Ray Vaughana. Burks w miłości dla mistrza chyba się zatracił. Jeżeli nawet nie robi tego świadomie, to ma pecha – jego głos brzmi tak samo (pięknie) jak głos Kinga, nawet gra na takiej samej (pięknej) jak King gitarze, Gibson Flying V. Czepiam się? Może. Ale jak będę miał kilka złotych, to kupię raczej CD Alberta Kinga.

Sławek Wierzcholski



DAVE DOUGLAS
Freak in
Bluebird

Choć to początek sezonu – mamy kandydata do płyty roku.
W ciągu niespełna dekady Douglas wyszedł z cienia Johna Zorna i stał się wiodącym trębaczem progresywnego jazzu. Nie ma on zwyczaju tkwić w formule stylistycznej poprzedniego projektu. Tym razem podjął próbę rozwijania jazz-rockowych wątków, przerwanych przez Milesa Davisa w połowie lat 70. Kwartet Douglasa (trąbka, klawiatury elektryczne, bas, perkusja) i zaproszeni goście (gitara, saksofony, efekty elektroniczne, perkusjonalia) tworzą wielogłosowe improwizacje, osadzone na nośnych rockowych lub funkowych rytmach (*Freak in*, *Black Rock Park*, *The Great Schism*). W odróżnieniu od monumentalnych zblokowań tematów u Davisa, Douglas przedstawia tuzin autonomicznych utworów o dość rozrzedzonej fakturze i z wyraźnymi znamionami współczesności (*Eastern Parkway*, *Wild Blue*). Trębacz prowadzi więc niby poprzez znane, ale w nieznane.

Cezary Gumiński



TORD GUSTAVSEN
Changing Places
ECM

Niemalże w każdym jazzowym stylu młodzi Norwegowie próbują znaleźć się w czołówce europejskiej.
Do grona najambitniejszych pretenduje Gustavsen. Debiut tria młodego pianisty może nawet zagrozić popularności podobnego Esbjorn Svensson Trio (Szwecja). Sekret magii Gustavsena tkwi w pełnych wdzięku frazach, złożonych ze starannie dobranych nut pełnych, rozdzielonych wymownymi pauzami czy wybrzmieniami chromatycznych akordów. Pianiście z wyczuciem wtórują równie jak on oszczędni w środkach wyrazu: Harald Johnson (kontrabas) i Jarle Vespestad (perkusja). Klimat muzyki wywodzi się z modalnej pianistyki Billa Evansa i łagodnych kontynuacji Keitha Jarretta, budzi też skojarzenia z Arielem Ramirezem, Ernestem Lecoyne'yem czy Rubenem Gonzalesem, najznakomitszymi przedstawicielami szkoły latynoskiej. Gustavsen ma też dar układania barwnych kompozycji, hipnotycznie pięknych i prostotych. *Graceful Touch*, *Melted Matter* i *Where Breathing Starts* to bajkowe cacuszka, których czar udało mu się spotęgować w improwizacjach.

Cezary Gumiński



STEVE HARRIS
ZA UM
SLAMCD

Free jazz w brytyjskiej galerii.
Kwintet perkusisty Steve'a Harrisa zarejestrował dziewięć improwizowanych utworów podczas koncertu w brytyjskiej galerii sztuki. Instrumenty (skrzypce elektryczne, saksofony, klarnety, gitara) pełnią tu role samodzielne, bez odniesień do tradycyjnej "sekcji", co w otwartej formule free wydaje się wręcz koniecznością. Muzyka o zmiennej temperaturze, to statyczna (*Let It Come Down*), to będąca rezultatem spektakularnej interakcji (*At House-For-One*), zawierająca całą masę frapujących momentów, które niekoniecznie łączy jakieś ogólne przesłanie. Wydaje się, że to wszystko już było, ale posłuchać warto.

Tomasz Szachowski



JULIA HÜLSMANN TRIO WITH REBEKKA BAKKEN
Scattering Poems
ACT

Jazz i poezja...
Julia, znana niemiecka pianistka o sporym doświadczeniu i norweska śpiewająca poetka, Rebekka, poznały się trzy lata temu w Nowym Jorku i tam narodził się pomysł na nagranie płyty. Muzyka od pierwszych chwil przykuwa uwagę klimatem intymności, w czym zasługa wierszy E.E.Cummingsa i subtelnego, "progresywnego" akompaniamentu tria. Wyczuwam u obu pań fascynację twórczością Joni Mitchell, która kiedyś zapoczątkowała ów niezwykły nurt pop-jazzowej poezji śpiewanej. Julia i Rebekka tworzą kunsztowny świat emocji, unikając banałów, co jest dziś rzadkością.

Tomasz Szachowski



JAGA JAZZIST
The Stix
Ninja Tune

Nowe dzieło rewelacyjnych Norwegów.
Drugi album norweskiej grupy poziomem dorównuje znakomitemu debiutowi sprzed dwóch lat - *A Living Hush*. 10-osobowy kolektyw czerpie inspiracje od jazz-rocka po nowoczesną elektronikę. Każdy z członków ma równy udział w muzyce. Gitary, sekcja dęta, Fender Rhodes, wibrafon, perkusja – wszystkie instrumenty są równie ważne. Połączone z połamanym rytmem automatu perkusyjnego tworzą klimatyczne melodie o niesamowicie różnorodnym brzmieniu (np. *I Could Have Killed Him In The Sauna*). Aż ciarki przechodzą na myśl o tym, jak to brzmi na żywo.

Ola Szczkus



KOPINSKI & KONIKIEWICZ
Zone K
SLAM

Polsko-brytyjskie free na żywo!
Ta płyta to wybór nagrań koncertowych z zeszłego roku z różnych miejsc w Wielkiej Brytanii. Formuła otwarta, "kontrolowany free-jazz", dryfujący w stronę bluesa. Saksofonista Jan Kopinski ma wyraźne zacięcie coltrane'owskie, co w połączeniu z bogatą, narracyjną perkusją Steve'a Harrisa i zwięzłą na ogół grą Konikiewicza daje rezultat o sporej ekspresji. Są także chwile prostoty (*Impresja XV*), jakby wzięte z innego opowiadania. Osobne brawa dla Konikiewicza za realizację projektów międzynarodowych.

Tomasz Szachowski



MONKOMAROK
au plafond!
enja

Etniczny i elektryczny.
To drugi album młodej grupy, działającej w Tuluzie, której muzykę określa się jako "elektro-world-jazz". Alima Hamel (wokal, "little strange sounds"), Laurent Rochelle (saksofony, klarnet basowy, przeszkadzajki), Sylvain Fournier (bass) i Loic Schild (instr. perkusyjne) tworzą szalony happening na pograniczu gatunków,

muza poleca

jazz

DONALD HARRISON Jr.
Kind of New
Candid

Ta pozycja może stać się przyczynkiem do licznych dyskusji.
Na początek parę faktów. Doświadczony saksofonista altowy, od którego daty urodzenia upłynęło tyle lat, ile od ukazania się najwspanialszej płyty jazzu *Kind of Blue* Milesa Davisa, zapragnął zmierzyć się z esencją materii tego arcydzieła. Harrison zaprosił kilku przyjaciół ze swego pokolenia o niepodważalnych kwalifikacjach muzycznych: Javona Jacksona - saksofon tenorowy, Erica Reeda - fortepian, Vicentela Archera - kontrabas, Carla Allena - perkusja, oraz seniora Kenny'ego Barona - fortepian (tylko na 2 utwory) i 18-letniego kuzyna Christiana Scotta - trąbka. W tej doborowej stawce na szczególne wyróżnienie zasługuje sobie ten ostatni: "podrabia" Davisa ze zdumiewającą precyzją i wyczuciem. Zresztą cały kolektyw osiągnął od pierwszego do ostatniego taktu bardzo wysoki poziom wykonawczy na bite 4 gwiazdki i imponująco odmalował muzyczny klimat wspomnianego majstersztyku Davisa. Harrison uzupełnił 5 oryginalnych kompozycji arcydzieła własnymi utworami: *Kind of New*, *It Is i What Next?*, utrzymanymi dokładnie w tej samej stylistyce. Są to bezapelacyjne pozytywy projektu. Dyskusyjny może być natomiast jego sens. Od prawie dwóch dekad Wynton Marsalis i dziesiątki czarnych muzyków, tzw. młodych lwów amerykańskich, z których część też tu gra, udowadnia, że ma w jednym palcu znajomość i umiejętność reprodukowania całego najwartościowszego jazzu z ubiegłego wieku od lat 20. po 60.. Natomiast ta całkiem liczna grupa wykonawców nie przyczyniła się do wyraźnego rozwoju tego gatunku muzyki. *Kind of Blue* stanowiło w swych czasach rewolucyjny przełom, *Kind of New* jest kolejnym tęsknym okrzykiem w kierunku czegoś doskonałego, co już było. Jednym z atrybutów jazzu jest nieustanne poszukiwanie, tu jest pielęgnacja, by nie powiedzieć złośliwie - recyklizacja. Gdy umilkną ostatnie nuty zamykającego krążek *What Next?*, aż chce się odpowiedzieć na zadane w tytule pytanie: ano, to samo! Nie jeden uruchomi nawet ponownie odtwarzacz, bo jak by nie było, to dobra muzyka i absolutnie uszu nie rani.

Cezary Gumiński

w którym swoboda wokalna (krzyki, szepty, melodeklamacje, biegniki w stylu Urszuli Dudziak itp.) miesza się z free-jazzowym sosem całej reszty. "Elektro" też tu jest (*La sueur*) – głównie jako sposób budowania tła.

Tomasz Szachowski

NELLI REES
Jazz Noir
Zone 7

Rosjanie przejawiają talent nie tylko na niwie muzyki poważnej i etnicznej, ale i... hip-hopującego jazzu.
Autorka projektu pochodzi z Moskwy, ma 28 lat; cztery lata temu poślubiła Anglika i osiadła w Yorkshire. Przez ubiegłe lata artystka śpiewała jazzowe standardy, ale na debiutanckiej płycie postanowiła zaprezentować się jako przedstawicielka kreatywnego nurtu na styku jazzu i tanecznej muzyki klubowej. W ośmiu własnych utworach oraz zdekonstruowanych *Use Me* Billa Withersa i *Boy from Ipanema* Antonia Carlosa Jobima, Rees i koledzy zaprezentowali się jako zgrany kolektyw. Wiedziona intuicją wokalistka potrafiła zgrabnie połączyć jazzowy idiom z tym, co niedawno proponował Portishead. Nie posiada ona specjalnie mocnego głosu, ale poprzez kabaretową kokieterię, tajemniczość, swingowanie, seksowne zawodzenie i całkiem "świeży" angielski akcent, uczyniła swoje wypowiedzi powabnymi. Oprócz oryginalnych, na wskroś współczesnych aranżacji i zmyślnie splecionych ścieżek rytmicznych, na wyróżnienie w zespole towarzyszącym zasługują wytrawnie wykonane partie solowe na saksofonach (Anna Kirby) i trąbce (Noel Dennis). Z tą kompanią początek kariery Rees zapowiada się obiecująco.

Cezary Gumiński

THE RH FACTOR
Hard Groove
Verve

Funkrevival dla oldboyów.
Funkowa sekcja, kilku stylowych wokalistów i nazwisko lidera (Roy Hargrove), gwarantuje płycie sukces. Jeśli ktoś pamięta albumy Quincy Jonesa z lat 70-tych (*Body Heat*, *Sounds*), solowe poczynania Herbiego Hancocka (*Man-Child*), klasykę rap z tego okresu, sentymentalny soul orientacji, powiedzmy, Hathaway/Flack, a nawet atomowe podziały fusion braci Breckerów, to jest to właśnie kierunek, w którym zmierza *Hard Groove*. Zagrane świetnie, zaaranżowane wzorowo, nie brak eksperymentów. Przy słuchaniu nasuwa się jednak pytanie: czy da się wskrzesić tamten czas? Obok płyty ukazała się także EP-ka z dodatkowymi utworami - śpiewa m.in. Erykah Badu.

Tomasz Szachowski

PETER WENIGER
Legal Paradizer
Skip Records

Dużo dźwięków = dużo muzyki (?)
To już dziewiąta płyta jednego z najlepszych europejskich saksofonistów. Obsypany nagrodami, absolwent Hochschule für Musik w Kolonii, nagrywał i koncertował z plejadą gwiazd – od Davida Liebmana, po Mike'a Sterna. Jest prawdziwym wirtuozem, którego gra przypomina niezapomniane brzmienie saksofonu Getza. Weniger lubi wyrazisty funk, co w połączeniu z jazz-rockową sekcją (dynamiczny Wolfgang Haffner na bębnach i rewelacyjny basista Decebal Badila!) daje efektowny rezultat. Może jednak w tym wszystkich za dużo dźwięków, za dużo podziałów, a za mało muzyki?

Tomasz Szachowski

JOHN ZORN
Masada Guitars
Tzadik/Multikulti

Zorn jest takim pracusiem, że w czasach realnego socjalizmu byłby wyróżniającym się przodownikiem pracy.
Jego zainteresowania stylistyczne rozpościerają się między muzyką jazzową, konkretną i elektroniczną, poważną, etniczną czy rockową, a każdego z tych gatunków dotyczą w najbardziej ekstremalnej formie. Wydaje się, że najdoskonalszymi owocami jego twórczości są kompozycje inspirowane tradycją żydowską. Zespół Masada, z którym Zorn nagrał wiele płyt, wykonał dziesiątki takich kompozycji w jazzowej konwencji. Tym razem w roli interpretatorów utworów Zorna wystąpiło solo trzech gitarzystów z samego topu: Bill Frisell, Marc Ribot i Tim Sparks. Każdy z muzyków rozpoczął w niemalże zunifikowanym stylu akustycznym. Z czasem Frisell sięgnął po charakterystyczny dla niego elektryczny instrument i uczynił swe wypowiedzi bardziej abstrakcyjnymi. Sparks odsłonił swą słabość do muzyki renesansowej i hiszpańskiej. Najdłużej dochował wierności przyjętej formule Ribot. Ze wszystkich wykonań reprezentujących bardzo wyrównany poziom wyróżnić należy: taneczny *Sippur*, eteryczny *Kisofim* i romantyczny *Kivah*. Lekkie i wytrawne granie z polotem.

Cezary Gumiński

etno i okolice

CANTOR ISAAC ALGAZI
Sweet Singer of Israel
Ottoman Jewish Music from the Early Twentieth Century
WERGO/GiGi

Tradycyjna muzyka turecko-żydowska.
Isaac Algazi, rabin i kantor działający w Turcji w pierwszej połowie XX wieku, jest jednym z najwybitniejszych interpretatorów tradycyjnej muzyki turecko-żydowskiej. Pieśni synagogalne i ladino (pieśni sefardyjskie) zostały zarejestrowane na płytach szybkoobrotowych. Kantor ten kształcił się zarówno w szkołach talmudycznych, jak u najwybitniejszego tureckiego kompozytora schyłku Cesarstwa Ottomańskiego, Szem Tow Szikiara. Oryginalna ornamentacyjna technika wokalna nabiera niezwykłych efektów w połączeniu z ciekawym akompaniamentem cytry, fortepianu, lutni i skrzypiec. Warto zwrócić uwagę na połączenie dźwięków fortepianu i ud (arabski pierwowzór lutni), w utworze *Nadzieja*.

Barbara Tenderenda



KING TUBBY
Select Cuts
100% DJ Dub
Select Cuts

Udana kompilacja, przypominająca o geniuszu króla dubu.
Upraszczając sprawę: Osbourne Ruddock był tym dla sztuki dubowej, kim Bob Marley dla roots reggae. Soczyste brzmienie i ciężki, masywy bas, który może rozsadzić co słabsze głośniki – charakterystyczny styl mistrza konsolety może wprawić w trans nie tylko miłośników „jamajszczyzny"! Zwłaszcza, że na najnowszej, a tak naprawdę jednej z wielu składanek, które ukazały się po śmierci Kinga Tubby'ego, jest aż 20 jego produkcji. A wśród nich *Better Version*, który to utwór przeszedł do historii choćby z interpretacji Horace'a Andy'ego jako *Skylarking*, czy *Real Gone Crazy Dub*, wykonywany przez Marleya i jego Wailersów pod tytułem *Crazy Baldheads*. To trzeba usłyszeć!

Glassinjah



FERMIN MUGURUZA
In-komunikazioa
Metak/post_post

Karaibskie klimaty w wykonaniu baskijskiego barda ucieszą fanów Manu Chao.
Z tym hiszpańskim wokalistą Muguruzę łączy nie tylko muzyka. Tak jak Manu Chao przez lata liderował formacji Mano Negra, tak Fermin grał do niedawna w kultowej, nie tylko zresztą w swym kraju, grupie Kortatu. Obaj do dziś są wierni wolnościowym hasłom i przyjemność z muzykowania przedkładają nad produkcyjne fajerwerki. Stąd surowe, ascetyczne brzmienie trzeciej solowej płyty Baska, zawierającej mieszankę reggae, ska, punku i folku. Obok dziesięciu kipiących energią nagrań, na płycie umieszczono ponadto teledysk do tytułowego utworu, a całość została gustownie wydana. Ilustrowana czarno-białymi aktami wkładka zawiera baskijskie, angielskie i... polskie teksty.

Glassinjah



RUBIN & HOROWITZ
Bessarabian Symphony – Early Jewish Instrumental Music
WERGO/ GiGi

Dźwięki klezmerskiej kapeli brzmią dla polskiego ucha znajomo.
Prawdziwych klezmerów, instrumentalistów grających tradycyjną muzykę Żydów wschodnioeuropejskich, próżno szukać w Izraelu. Za to w Nowym Jorku i w Polsce jest ich jeszcze paru. Tradycyjna muzyka śpiewana w jidysz posiada charakterystyczny zaśpiew, skalę i instrumentarium. Joel Rubin gra na klarnecie i cymbałach, a Joszua Horowitz na akordeonie i cymbałach. Obaj reprezentują nurt muzyki z Besarabii, czyli krainy pomiędzy Prutem, Dniestrem i Morzem Czarnym. To nieistniejąca już, niegdyś bogata i niezwykle ekspansywna kultura, której kres nastąpił w latach 40. ubiegłego stulecia. Przetrwała ona muzycznych m.in. w utworach klezmerskich.

Barbara Tenderenda

powaga



DEBUSSY
Preludes (Book I & II)
Wojciech Świtała – piano
Bearton

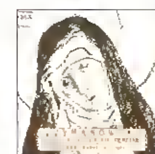
Czysty impresjonizm!
Preludia fortepianowe Debussy'ego to dzieło na granicy dwóch muzycznych epok – tradycyjne, tonalne myślenie romantyczne splata się w nim integralnie z elementami nowymi, jak atonalność i modalność, typowymi dla XX wieku. Ale impresjonizm w muzyce to także niezwykłe niuanse w nastrojach, poetyckość oraz "malarskość" form. Wojciech Świtała – znakomity polski pianista młodego pokolenia (rocznik '67) – po wielkim sukcesie, jakim były jego nagrania w serii *Wydania narodowego Chopina* i nagraniu *Sonat skrzypcowych* Brahmsa dla Sony Classical (ze skrzypkiem Tomaszem Krzeszowcem) wykonał daleki krok w stronę muzyki współczesnej, objawiając po raz kolejny swą wrażliwość, ale pierwszy raz zaskakując tak głęboką wszechstronnością.

Stanisław Maciąg

WOMEN'S SACRED CHANTS
Mana/Irma

Gratka dla etnografów i zwolenników uduchowionych niewiast.
Trudno oceniać tę płytę pod względem brzmieniowym, kompozycyjnym czy stylistycznym. To bowiem zbiór tradycyjnych pieśni, głównie religijnych, wykonywanych przez śpiewaczki z krajów śródziemnomorskich, Bałkanów, dalekiej Azji i Afryki. Każdy utwór, oprócz walorów kulturoznawczych, charakteryzuje również niesamowite wykonanie wokalne – za każdym razem inne, tak jak przynależna szerokość geograficzna. Mi szczególnie przypadła do gustu Amina Alaoui z Maroka oraz pieśń z Sardynii, wykonywana a capella przez chór, który zawrotnie szybko skanduje refreny. Z wkładki do płyty można się dowiedzieć ciekawych rzeczy na temat wszystkich pieśni i egzotycznych kultur. Doceniam również piękny sposób wydania tej płyty; okładką jest zdjęcie kunsztownego haftu z indyjskiego sari. Wyrafinowana rzecz!

Ewa Śródka



GADULANKA, RAPPE, HIOLSKI, WIT
Szymanowski Stabat Mater, Litania, Demeter
DUX

Pierwsze wybitne dzieło polskiej muzyki religijnej od baroku.
Stabat Mater op.53 powstało do tekstu średniowiecznej sekwencji. Szymanowski nosił się z zamiarem stworzenia utworu o charakterze religijnym, nie liturgicznym jednak. Kompozytorowi chodziło o nieformalny, ale uczuciowy wymiar dzieła religijnego, więc użycie tekstu polskiego zamiast łaciny lepiej oddaje jego zamierzenia. Muzyka to genialna ilustracja poetyckich metafor. Orientalno-impresjonistyczny nurt jest tu reprezentowany najlepiej w jego twórczości. *Litania do Marii Panny op. 59* to według wielu muzykologów forma doskonalsza nawet od *Stabat Mater*. Nagrania dokonało EMI w Katowicach i Warszawie 20 lat temu! Nieodżałowany Andrzej Hiolski (baryton) stworzył w *Stabat Mater* przejmującą kreację.

Barbara Tenderenda





SEAN PAUL
Dutty Rock
VP/Atlantic

Dancehall wychodzi z getta
Wystarczył ledwie jeden hit, a dziennikarze muzyczni rzucili się do wyszukiwarek internetowych, by wpisać hasła: "Sean Paul" i "dancehall". Wszystko za sprawą superprzeboju *Gimme The Light* wspomnianego wokalisty, który miał to szczęście, że jako pierwszy wyprowadził z getta na salony taneczny miks reggae, raggi i hip hopu, dzięki czemu został nazwany... Bobem Marleyem XXI wieku. Trochę na wyrost, ale coś w tym jest. Bo przecież ten 30-letni Jamajczyk, w którego żyłach płynie również portugalska i chińska krew, to zaledwie jeden z setek, może nawet tysięcy artystów, którzy w finezyjny sposób łączą tradycję jamajskiej muzyki tanecznej z wulgarnym, pełnym seksu, językiem ulicy. Dokładnie tak jak to zrobił Sean na swoim debiutanckim krążku *Stage One* (2000). Rymując swym charakterystycznym, gardłowym głosem w jamajskim slangu patois o drogich samochodach, wielkiej kolekcji biżuterii i ogromnej potencji, Sean pewnie nadal cieszyłby się statusem lokalnej gwiazdy, gdyby nie producencka i promocyjna opieka wytwórni Atlantic; label od razu zwietrzył szansę wylansowania artysty na amerykańskim rynku. Wsparty teledyskiem singel *Gimme The Light* i jego klubowy remiks z rapem Busty Rhymesa zrobiły swoje - utwór trafił na pierwsze miejsca na listach z czarnymi (i nie tylko) rytmami i spowodował szał w dyskotekach. O ogromnym potencjale imprezowym albumu *Dutty Rock* świadczy zresztą kolejny, udany singel *Get Busy*. Podejrzewam jednak, że w całości krążek ten będzie zbyt trudny do strawienia dla przypadkowego słuchacza. Dancehall w wykonaniu Paula to bowiem mocne, surowe rytmy-riddimy, które w większej dawce mogą zmęczyć niewprawne ucho. Gdy się jednak wgłębić w tę muzykę, można odkryć w niej piękne melodie, jak choćby w *Can You Do The Work* czy *Shake That Thing*.

Glassinjah

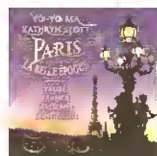
czytasz i słuchasz



HAYDN
Piano Sonatas
Nos. 29, 31, 34, 35, 49
Emanuel Ax – piano
Sony

Odkrywania Haydna ciąg dalszy.
Najbardziej niedoceniany z wiedeńskich klasyków znany jest głównie jako twórca ponad stu symfonii. Jego muzyka kameralna ustępuje kompozycjom Mozarta, zaś sonaty fortepianowe bledną w blasku Beethovena. A tymczasem to właśnie Haydn miał na Beethovena wpływ największy, on – kompozytor "myślący fortepianem" – utorował drogę owej fascynującej, wręcz nieograniczonej formie muzycznej, jaką są sonaty na ten instrument. Dzieło fortepianowe Haydna wskrzesza niestrudzenie Ax. Wybitny pianista interpretuje sonaty, szukając i znajdując w nich beethovenowskie głębie, a ich wykonania na współczesnym fortepianie (czyli instrumencie, jakiego kompozytor znać nie mógł) wydobywają z tych utworów ponadczasowe piękno.

Daniel Wyszogrodzki



YO-YO MA, KATHRYN STOTT
Paris – La Belle Epoque
Sony

Zaproszenie do kawiarni sprzed wieku.
Japoński wirtuoz wiolonczeli porywa się na projekty tak różnorakie, jak muzyka filmowa Philipa Glassa (*Naqoyquatsi*) czy nagrania z amerykańskimi mistrzami stylu bluegrass (*Appalachia Waltz*). A kiedy wraca do "czystej klasyki", także i na niej wywiera piętno twórczej osobowości. Muzyka Paryża „złotego wieku" (ok. 1900) jest pomostem pomiędzy tradycją i nowoczesnością, zaś nazwiska takich kompozytorów jak Camille Saint-Saëns i César Franck to symbole muzycznego przełomu. Warto jednak pamiętać, że do ulubionych tematów owych lat należało zapomniane dziś zupełnie *Méditation* z opery *Thaïs* Massenetta, otwierające tę nastrojową, kameralną płytę o kawiarnianej aurze.

Daniel Wyszogrodzki



MONTSERRAT CABALLÉ
Viva La Diva – The Best Of Montserrat Caballé
BMG

Śpiewaczka operowa, która pierwsza zeszła z parnasu „sztuki wyższej".
Gdyby mierzyć wartość głosu sopranowego umiejętnością śpiewu pianissimo w najwyższych rejestrach - takie kryterium stormułował wiek XIX - hiszpańska diwa ma niewiele równych sobie. Ale nie to jest największym atutem słynnej śpiewaczki. Montserrat jako pierwsza odważyła się bowiem zejść z piedestału sceny operowej i - nagrywając z wykonawcami z kręgu muzyki pop - utorowała drogę tak popularnej dziś muzyce typu crossover. Najnowsza składanka gromadzi jej dokonania na tym właśnie polu. Od niezapomnianej *Barcelony*, duetu z Freddiem Mercurym z Queen (hymn olimpijski 1992), przez nagrania z Vangelisem (m.in. *The Prayer*), po urocze zabawy z irlandzkim zespołem ludowym The Chieftains, mamy tu wspaniały dowód na to, że muzyka naprawdę jest jedna. A to nie lada wyzwanie dla XXI wieku.

Daniel Wyszogrodzki



GANGI NOWEGO JORKU (Gangs Of New York)
Interscope

Jeszcze jedna filmowa składanka.
Najnowsze dzieło Martina Scorsese razi trochę brakiem spójności, choć to nadal kawał dobrego kina. Słuchając ścieżki dźwiękowej, można odnieść podobne wrażenie. Cóż za agregat stylów! Po sąsiedzku rock, tradycyjna orkiestra, ragtime, chińszczyzna oraz irlandzkie tańce i ballady. Niektóre nagrania pochodzą z archiwum reżysera, inne powstały specjalnie z myślą o *Gangach Nowego Jorku*. Atrakcji jest przynajmniej kilka. Przede wszystkim hymn U2 *The Hands That Built America*, naprawdę genialny w swej prostocie. Albo przesycony elektroniką instrumental Petera Gabriela *Signal To Noise* czy Jocelyn Pook (Oczy szeroko zamknięte) w onirycznej pieśni *Dionysus*. Nie sposób też przejść obojętnie obok trzech przejmujących części *Brooklyn Heights* Howarda Shore'a (*Władca Pierścieni*). Szkoda tylko, że całość jest jakby bez ładu i składu.

Paweł Piotrowicz





RENEE FLEMING
Bel canto
Orchestra of St Lukeís, dyr. Patrick Summers
Super Audio CD
Universal/Decca

Fleming to współczesna następczyni Marii Callas.
Porównywalna skala głosu, możliwości techniczne, a przede wszystkim umiejętność przechodzenia od ciepłej i spokojnej liryki do nastroju dramatyzmu - niekiedy nawet na pograniczu histerii. I tylko barwa głosu Callas zmieniała się na przestrzeni jednej frazy w tak diametralny sposób. Teraz słychać to także u śpiewaczki brytyjskiej. Ten wybór, to muzyka spod znaku bel canto (po włosku "piękny śpiew", od czasu tzw. szkoły neapolitańskiej z XVIII w, oznacza technikę wokalną, w której nacisk kładło się na piękno śpiewu i sprawność techniczną). Najsłynniejszymi przedstawicielami tego kierunku w muzyce operowej XIX wieku byli Bellini, Donizetti i Rossini - prezentowani tu kompozytorzy. Artystkę słyszymy tu we fragmentach *Lunatyczki* i *Pirata* Belliniego, *Marii Padilla* i *Lukrecji Borgii* Donizettiego oraz *Semiramidy* i *Armidy* Rossiniego. Najsłynniejszymi wykonawczyniami tych ról były, oprócz Marii Callas, także Joan Sutherland i Monserrat Caballe. Warto porównać nagrania tych znakomitych śpiewaczek z płytą Renee Fleming. Porównać, ale nie oceniać. Bowiem na poziomie, jaki prezentują cztery wymienione wokalistki, można dać już tylko najwyższą notę. Przy okazji doskonała lekcja, czym powinno być bel canto.

Stanisław Bukowski

film



DAREDEVIL
Sony

Nuda, szablonowość i miernota.
To chyba jakaś epidemia - kolejny bohater komiksowy na dużym ekranie i kolejna wątpliwej jakości kompilacja, rzecz jasna nie mająca nic wspólnego z samym filmem. Zamiast oryginalnej muzyki Graeme'a Revella jest bezsensowna papka, głównie w wykonaniu newmetalowych boysbandów. Co z tego, że premierowa, skoro większość utworów to odrzuty z wcześniejszych sesji. Na szczęście w cieście znalazło się kilka rodzynków, takich jak kapitalny *Evening Rain* Moby'ego i transowy *Bring Me To Life* Evanescense. Do tego można dołożyć jeszcze Drowning Pool (z Robem Zombiem!) z pełnym ognia *The Man Without Fear*. Reszta jest jak ziemniaczane z marmoladą - nie do strawienia.

Paweł Piotrowicz



GODZINY (The Hours)
PHILIP GLASS
Warner

O tym, że mniej znaczy czasami więcej.
Soundtrack, który z powodzeniem łączy dwa z pozoru odmienne muzyczne światy - typowo ilustracyjny i autonomiczny. W przeciwieństwie do obrazu Stephena Daldry'ego płyta nie zabiera w podróż przez trzy epoki, lecz ma charakter bardziej uniwersalny. Słynny minimalista Philip Glass sprokurował coś w rodzaju romantycznego koncertu na fortepian i kwartet smyczkowy, zachowując typową dla siebie oszczędność środków. Chłodny i przesycony melancholią klimat wyraźnie nawiązuje tu do przeżyć trzech bohaterek filmu (*The Poet Acts*, *Morning Passages*, *The Hours*). Mimo pewnej monotonii jest to piękna, wysmakowana i bardzo mądra muzyka. Takie *Godziny* upływają szybciej niż minuty...

Paweł Piotrowicz

czytasz i słuchasz



muza poleca hymny

RAZ DWA TRZY
Trudno nie wierzyć w nic
Polskie Radio
00000

Być może najważniejsza polska płyta ostatnich lat.
Tryumf Adama Nowaka i jego kompanów! I to chyba w najtrudniejszym momencie - po nieoczekiwanym sukcesie albumu *Czy te oczy mogą kłamać* (2002) z piosenkami Agnieszki Osieckiej. Dalsza kariera zespołu zależała od nowego materiału. Czy Raz Dwa Trzy - jak na ironię - pozostaną w pamięci słuchaczy jako klimatyczny "cover band" o własnym brzmieniu, splatającym dźwięki akustycznych i elektrycznych gitar z akordeonem i klarnetem oraz o swingującej sekcji rytmicznej z wyeksponowanym kontrabasem? Czy zespół wyjmie asa z rękawa w postaci nowych piosenek Nowaka? I tak się właśnie stało, zdecydował repertuar. To w wielkiej literackiej klasie piosenek leży klucz do tajemnicy Raz Dwa Trzy. O tak, obecnie jest to już zespół z tajemnicą. Lata pracy i kształtowania stylu sprawiły, że może nam objawiać filozoficzne teksty (*Nazywaj rzeczy po imieniu*), zapytywać o sens istnienia (*Mógłbyś temu zaprzeczyć*), ale - przede wszystkim - zwracać się do Boga w prosty, choć na wskroś nowoczesny sposób, co w czasie zagrożenia sacrum urasta do rangi zjawiska i wydarzenia. Utwory *Trudno nie wierzyć w nic* czy *Tak mówi pismo*, to już współczesna klasyka literackiej piosenki ("uwierzysz, choćbyś wierzył w niewiarę, niewiara jest jak wiara na miarę"), podanej w oryginalnej, atrakcyjnej formie muzycznej. Grupę wspomaga m.in. kwartet smyczkowi i bracia Pospieszalscy, ale to styl Raz Dwa Trzy decyduje o tryumfie. Płytę zamyka utwór instrumentalny *Policjanci w Atenach udają Greka* (tytuł zdradza klimat muzyczny tej akustycznej impresji), który w żartobliwy sposób wyprowadza ze stanu filozoficznej zadumy, albo przeciwnie - pozwala się w niej zatracić.

Daniel Wyszogrodzki



OD KOŁYSKI AŻ PO GRÓB (Cradle 2 The Grave)
Def Jam/ /Bloodline
000

Gangsta rap muzyczną ilustracją krwawego filmu Andrzeja Bartkowiaka.
Ostrzegam –niedzielnychi słuchaczy hip hopu – zawartość tego krążka to nie bułka z masłem; przełkną ją bez problemu tylko najwięksi twardziele. Tacy jak choćby DMX (również producent płyty), który swym potężnym głosem w *X Gon' Give It To Ya* udowadnia, że nie przypadkiem należy do czołówki gangsterskiego rapu. Po piętach depcze mu już jednak zaprawiony nie tylko w bojach na rymy i modny ostatnio 50 Cent (*Follow Me Gangster* w duecie z The G-Unit), a i niejaki Baazar Royale (*What's It All For?*) to nie ułomek. Najmocniejszym momentem albumu jest jednak sensacyjny popis (nieświętej) trójcy Eminem-DMX-Obie Trice w *Go To Sleep*. A to tylko kilka z powodów, dla których warto zmierzyć się z tą płytą...

Glassinjah



SMAK ŻYCIA (L'auberge espagnole)
Warner
000

Smaki pomieszane, niekoniecznie hiszpańskie.
Plakat do filmu wisi niemal na każdym słupie, więc pewnie część widzów będzie chciała za pomocą muzyki ze *Smaku życia* przenieść nieco hiszpańskiej atmosfery z kina do domu. Jak to jednak często ze składankami filmowymi bywa, płyta ta jest miszmaszem brzmień wszelakich. Są tu m.in. eklektyczne kompozycje filmowe Loïka Dury'ego i Ardaga Basmadjiana (niezłe), salsa z Zachodniej Afrykii (Africando), hiszpański rap (Mala Rodriguez), flamenco (Vincente Amigo), walc (Rubinstein), rock (Radiohead) i fatalne disco (Sonia & Selena). Wybór być może logiczny dla tych, którzy oglądali film, pozostali słuchacze mogą ewentualnie wybiórczo zaprogramować swoje odtwarzacze.

Ewa Śródka



ERICH WOLFGANG KORNGOLD
The Sea Hawk:Previn Conducts Korngold
Deutsche Grammophon
0000

Na początku był Korngold.
Jeśli ktoś myśli, że ścieżki dźwiękowe zaczęły się od Gwiezdnych wojen, powinien sięgnąć po tę, nagrodzoną Grammy, płytę. Zebrano tu suity z czterech klasycznych filmów z Errollem Flynnem: *Morskiego jastrzębia*, *Prywatnego życia Elżbiety i Essexa*, *Kapitana Blooda* oraz *Księcia i żebraka*. Wszystkie autorstwa Ericha Wolfganga Korngolda (1897-1957), genialnego austriackiego twórcy oper, symfonii, koncertów i pieśni. To właśnie on jako jeden z pierwszych kompozytorów zbratał się z Hollywood, co zresztą wielu krytyków miało mu za złe. Niesłusznie. Filmowe partytury Korngolda i dzisiaj urzekają bogactwem neoromantycznych melodii, rozmachem i pomysłowością. Wyśmienite interpretacje André Previna i Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej dodają im tylko blasku.

Paweł Piotrowicz



MAGICZNE BUTY (Like Mike)
So So Def/Sony
00

Lil' Bow Wow promuje soundtrack do filmu, w którym zagrał główną rolę.
Zadebiutował na scenie jako dziewięciolatek, swojego pierwszego singla nagrał cztery lata później. Dziś 16-letni gwiazdor teen-rapu, któremu ksywkę wymyślił sam Snoop Dogg, ma już na koncie dwie i pół płyty. Po nagraniu *Beware Of Dog* (2000) i *Doggy Bag*, utalentowany szczeniak dostał nie tylko główną rolę w filmie *Like Mike*, ale również prawo firmowania swoim imieniem jego ścieżki dźwiękowej. Obok czterech utworów Bow Wowa o koszykarskiej tematyce (nie ma bluzgów, krew też się nie leje!), są tu spokojne, utrzymane w bounce'owej stylistyce utwory *TO* czy *B2K*. Warto wyróżnić debiut Solange (Knowles) – młodszej siostry Beyonce z Destiny's Child – w dobrym R&B *Dance With You*. A barw ortodoksów hip hopu broni jedynie Nas w znanym już hicie *Rule*.

Glassinjah



THE ALLMAN BROTHERS BAND
Brothers And Sisters (1973)
Carpricorn

Jak dobrze brzmią dziś wczorajsze porażki...
Ta płyta to jedno z najsmutniejszych świadectw w całej historii rocka. Fenomenalny zespół stracił przed rokiem głównego gitarzystę, Duane'a Allmana. Niemal dokładnie w rocznicę jego śmierci ginie (w tym samym miejscu i w ten sam sposób) basista grupy, Berry Oakley, któremu dedykowany jest ten album. Ale przecież na tej płycie, która rozpoczyna powolną "drogę w dół", formacji z Południa, jest instrumentalny fajerwerk, *Jessica*. To właśnie tutaj miał premierę klasyczny *Southbound*, tutaj też objawił się oryginalnie jeden z największych przebojów zespołu, *Ramblin' Man* - autorskie dzieło Dicky'ego Bettsa, osamotnionego gitarzysty. Teraz to perła.

Daniel Wyszogrodzki



ECHOES OF AN ERA
Echoes Of An Era (1982)
Elektra/Rhino

Za wiele talentu na jedną płytę.
Ten enigmatycznie zatytułowany projekt skrywa nazwiska największych muzyków swojej "ery". Grają Freddie Hubbard (trąbka), Joe Henderson (tenor), Chick Corea (fortepian), Stanley Clarke (bas) i Lenny White (perkusja). Czy w 1981 roku można było wymarzyć sobie lepszy skład? Chyba nie, ale ci wszyscy muzycy grają tutaj pod wokalistkę, którą jest pani Chaka Khan. Tę "Drugą Arethę" okrzyknięto największym odkryciem R&B tamtej dekady, ale ekspresyjna wokalistka najwyraźniej wchodzi w konflikt z doskonałym zespołem jazzowym, który (1) jest dla niej zbyt spokojny, (2) lepiej poradziłby sobie bez wokalistki. Repertuar-marzenie doprasza się szacunku: *All Of Me*, *Take The A Train*, *I Loves You Porgy*. Jednak albo jazz-rock, albo wokal.

Stanisław Maciąg



ANDRÉ HOSSEIN
J'aj tuÉ RASPOUTINE (1967)
Dreyfus

Galeria zgrabnych muzycznych stereotypów.
Francuska fascynacja Rosją nie wymaga komentarza. Ekranizację życia Rasputina (tu z doklejoną brodą i w czystym chałacie) również można pominąć milczeniem, ale nie sposób obejść się w ten sposób z muzyką Hosseina, bo to instruktażowe wariacje na tematy rosyjskie. Mamy tutaj niezbędne bałałajki (już w czołówce), nie brak rzewnej dumki na głos i gitarę, obligatoryjna *Chanson tzigane* ożywia skrzypce, zaś pełnej instrumentacji wymagały kolejne wersje tematu o miłym dla ucha tytule *Orgie*.

Daniel Wyszogrodzki



LAIBACH
Laibach (1985)
Rekapitulacja 80-84 (1985)
NSK
oceny brak, bo...

...grupa twierdzi, że tylko Bóg może pokonać Laibach.
Obie płyty stworzono w okolicach orwellowskiego roku '84, są więc przesiąknięte jego atmosferą. Pierwszy utwór na obu płytach to *Cari Amici Soldati* (tytuł i tekst zostały wzięte z przemowy Mussoliniego). Z kolei w *Drzava* (*Państwo*) i *Panorama* pojawia się marszałek Tito. Jest też wizjonerski (wycieczka w stronę techno) *Prva TV Generacja*. W warstwie muzycznej to głównie monotonne, jednostajne rytmy perkusji, okraszone depresyjnymi zgrzytami, piskami i odgłosami jakby z fabryki. Muzycy Laibacha założyli swojego czasu nieformalny ruch NSK (Neu Slowenische Kunst) - deklarowali nim, że najważniejszy jest kolektyw, muzyka ma funkcję oczyszczającą i regenerującą, a ściana dźwięku ma być formą psychicznego terroru jako terapii dla słuchacza. Laibachowi udało się to znakomicie.

Krzysztof Lewandowski



POLANIE
Polanie (1968)
Seria „Niepokonani"
Polskie Radio/Universal

Tak grał polski support zespołu The Animals!
Polanie, pierwszy i ostatni polski zespół grający czyste, głównie instrumentalne R&B, powstali na styku legendarnych kapel, Czerwono-Czarnych oraz Niebiesko-Czarnych. Naprawdę otwierali koncerty "Zwierzaków", co więcej, nie mieli się czego wstydzić. Niestety, spotkał ich ten sam los, co idoli. Niebywale sprawny instrumentalnie zespół rozpadł się z braku mocnego repertuaru autorskiego. Jednak dzisiaj takie piosenki jak *Nie wiem sam*, *Nieprawda*, *nie wierzę* czy *Nie zawrócę* nie sprawiają wrażenia kopii, którymi w owym czasie oczywiście były. Piotr Puławski wykrzykuje w nich duszę, dopiero standardy R&B - - śpiewane po angielsku - obnażają jego słabości.

Stanisław Maciąg



YES
Yes (1969)
Time And A Word (1970)
Elektra/Rhino

Miłe złego początki...
Pierwsze płyty grupy "Tak" formułują prawidła gatunku, jakim miał (na nieszczęście dla całej muzyki rockowej) okazać się art-rock, zwany dziś rockiem "progresywnym". Wszystko jest tu właściwie zaprzeczeniem rocka - obojnacze harmonie wokalne, gra zimna i wyrozumowana, nieparzyste podziały narzucane przez perkusję w partiach instrumentalnych (niestety/na szczęście - licznych). A jednak kapela miała fanów, których na pewno ucieszy wzbogacenie tych edycji o piękne książeczki i masę ciekawostek muzycznych (warianty, strony B, etc.). Ciąg dalszy nastąpi.

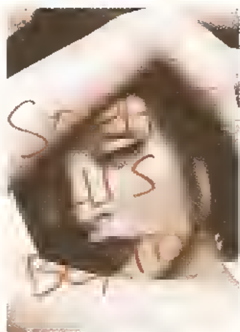
Daniel Wyszogrodzki



AC/DC
High Voltage (1976)
Dirty Deeds Done Dirt Cheap (1976)
Highway To Hell (1979)
Back In Black (1980)
Live (1992)
Epic

Idole są bezlitośni.
AC/DC bardzo dba o swoich fanów. Grupa nie pozwala o sobie zapomnieć i co chwila dorzuca drwa do coraz słabiej palącego się pieca. Od początku lat 90. ich dyskografia powiększyła się prawie o 10 pozycji. Jednak w tym zestawie były zaledwie trzy płyty z premierowymi utworami (o dwóch z nich można by spokojnie zapomnieć) i jeden album koncertowy. Pozostałe to starsze płyty, odkurzone w formie boksów (trzy lata temu ukazała się zremasterowana dyskografia) lub zestawy nigdzie wcześniej niepublikowanych piosenek. W tym roku kapeli braci Young wybiły trzy dychy, w dodatku zespół zmienił barwy i z Warner Music przeszedł do Sony'ego. Niestety nie zostało to uczczone płytą z nowym repertuarem, a ponownym wydaniem wszystkich wcześniejszych płyt. Na pierwszy ogień poszły najpopularniejsze *Back In Black* (tej płyty sprzedano na całym świecie prawie 20 mln sztuk) i *Highway To Hell*, dwa początkowe albumy *High Voltage*, *Dirty Deeds Done Dirt Cheap* oraz płyta koncertowa sprzed jedenastu lat. Nie ma sensu rozwodzić się nad każdą z nich, napisano o nich przecież tysiące recenzji. Wolę skupić się na tym, czym różnią się od swoich poprzedniczek. Przede wszystkim wydane zostały w atrakcyjnych, kartonowych pudełkach, mają świetną szatę graficzną i są zaopatrzone w niezwykle atrakcyjne książeczki z ogromną ilością, często niepublikowanych wcześniej, zdjęć. Bardzo mi przyjemnie, że będę mógł również posłuchać poprawionego dźwięku, choć w przypadku AC/DC różnica jest niewielka. Na płytach nie znalazły się żadne dodatkowe nagrania. Ale tylko pozornie, bowiem każda z płyt jest kluczem na strony internetowe, gdzie można znaleźć nie tylko dodatkowe nagrania, ale również zdjęcia i fragmenty koncertów. Najzagorzalsi fani powinni być zadowoleni, choć to kolejne pieniądze wysupłane z ich kieszeni. Ale czego nie robi się dla idoli.

Leszek Gnoiński



SOPHIE ELLIS BEXTOR
Watch My Lips
Universal

Koncertowo i teledyskowo.
Dorobek solowy młodziutkiej Angielki to raptem jedna płyta, która sprzedała się w dużym nakładzie. Po *Read My Lips* przyszedł jednak czas na odsłonę DVD zatytułowaną adekwatnie *Watch My Lips*. W zasadzie podstawą materiału oraz tym, co powinno zachęcić do kupna tej płytki jest zapis koncertu Sophie – średnio udanego, lecz zawierającego jej najciekawsze utwory. A jednak tzw. dodatki są tu najciekawsze. Zebraną kolekcję wszystkich teledysków wokalistki uzupełnia wybór czterech klipów, zrealizowanych gdy Sophie śpiewała jeszcze w – powiedzmy – rockowym zespole The Audience. Dla jej fanów, kojarzących tylko *Get Over You* albo *Murder On The Dancefloor* może to być zaskoczenie, jako że Bextor nie tylko towarzyszy klasycznemu rockowemu składowi, lecz śpiewa utwory zupełnie inne niż na solowej płycie. Czy lepsze? Chyba jednak nie. Ale zobaczyć warto.

Jacek Żuławnik



BLACK SABBATH
Never Say Oie
Sanctuary

Black Sabbath z Ozzym, ale bez fajerwerków.
Never Say Die z 1978 roku jest ostatnią studyjną płytą Black Sabbath w oryginalnym składzie. Tuż po trasie koncertowej, promującej album, Ozzy Osbourne odszedł z grupy. W jej szeregach pojawił się ponownie dopiero pod koniec lat 90., ale tylko na tournee i do zarejestrowania dwóch nowych piosenek. Dlatego godzinna relacja z jednego z ostatnich koncertów Ozzy'ego w barwach BS powinna być podstawą w płytotece DVD każdego szanującego się fana kapeli. Powinna, ale nie musi, bowiem wydawnictwo niczym ciekawym nie zaskakuje. Jest jedynie zwykłym zapisem koncertu sprzed trzech dekad. Zabrakło bonusów, nie pokuszono się nawet o poprawienie kiepskiej jakości dźwięku. Chyba głównym "dodatkiem" są poziome białe pasy, które co jakiś czas pojawiają się na ekranie.

Leszek Gnoiński



HERBIE HANCOCK
Future 2 Future – Live
Columbia

Kto nie był na koncercie w Sali Kongresowej, może obejrzeć i posłuchać.
Z użyciem 8-u kamer ciekawie sfilmowano występ formacji jednego z czołowych klawiaturzystów jazzu w klubie Knitting Factory w Los Angeles. Salę wypełniła młoda publiczność, której część falowała tanecznie w takt współczesnych rytmów. Na dużym ekranie pojawiły się abstrakcyjne animacje, o kolorystyce dobieranej do charakteru utworu. Większość programu występu pochodzi z ostatniego kompaktu *Future 2 Future*; kompozycje *Dolphin Dance*, *Rockit* i *Chameleon* stanowią od dawna znany przebojowy repertuar. Choć lider dobrał do współpracy samych renomowanych muzyków, to z pewnością przydałoby się ich lepsze zgranie. Hancock próbując ambitnie połączyć nowoczesność z tradycją wpuszczał się w przydługie partie solowe na fortepianie akustycznym. Trębacz Wallace Roney znacznie ciekawiej brzmiał na zelektryfikowanym instrumencie. Partiom wokalnym (prowadzonym przez perkusistkę Terri Lyne Carrington i drugiego klawiaturzystę Darrella Diaza) przydałoby się więcej życia. Bez zastrzeżeń wypadli rześki basista Matthew Garrison i rezolutny DJ Disk.

Cezary Gumiński



O.N.A.
wszystko to, co my... 1995-2002
Sony

Pożegnanie, po którym nikt nie zatęskni...
To wizualne pożegnanie O.N.A. ze światem nie ma ani charakteru, ani polotu. Niby jest wszystko – clipy, sceny z ich realizacji, galeria, biografia (wyliczanka zdobytych nagród), a nawet anglojęzyczny bonus. Ale wieje tu wypaleniem. To właściwie historia dramatycznej ewolucji wokalistki: od agresywnej, źle wystylizowanej przez młodzieńczy bunt dziewczyny, do gotyckiego superwampa. Taką samą drogę przechodzą clipy O.N.A: najpierw standard polskiej szkoły kiepskiego clipu (bezsensowne popisy prymitywnymi technikami i brak związku tego co widać z tym, co słychać), a w końcu wyrafinowane, lśniące mroczne wizje. Jeżeli to wszystko co chcieli nam pozostawić... to nie jest tego wiele.

Karolina Kosińska

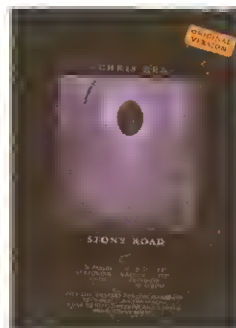
muza poleca

PETER GABRIEL
Secret World Live
Virgin

Zapis efektownego koncertu, na szczęście bez krzty efekciarstwa.

Secret World Live jest zapisem koncertu z włoskiej Modeny, z trasy, która odbyła się w 1994 roku. Kaseta VHS wyszła niedługo po zakończeniu przez Petera Gabriela tournee, na DVD trzeba było czekać aż dziewięć lat. Ale opłacało się, bowiem Gabriel znany jest ze świetnych koncertów okraszonych niezwykłymi pomysłami scenograficznymi, a na *Secret World Live* znów jest ich sporo. Największe wrażenie robi... czerwona, angielska budka telefoniczna, pojawiające się nagle na scenie drzewo i tratwa, na której Gabriel przemierza całą scenę. I, co najważniejsze, efekty nie ocierają się o kicz, jak na koncertach innych gwiazd, ale wspaniale komponują się z muzyką i ją uzupełniają. Część piosenek pochodzi z *Us*, płyty którą Secret World Tour promowało. Nie zabrakło jednak kilku przebojów, których Gabriel w swojej długiej karierze się dorobił. Jest i *Solsbury Hill*, i *Sledgehammer*, i *Don't Give Up* zaśpiewane w duecie z czarnowłosą Natalią Cole. Jednym z bonusów jest zapowiedź Growing Up Tour, czyli trasy, która za chwilę zawita do Polski. Obrazki jeszcze bardziej zaostrzają apetyt na wyprawę do Poznania, aby na własne oczy przyjrzeć się osobowości i pomysłowości jednego z najinteligentniejszych artystów rockowych. A ci, którzy do Poznania się nie wybiorą, muszą uzbroić się w cierpliwość i czekać na pojawienie DVD z rejestracją jakiegoś koncertu. Mam nadzieję, że nie do 2012 roku.

Leszek Gnoiński



CHRIS REA
Stony Road
Edel

Rea nie tylko gra i śpiewa, ale także biega i maluje.
Wydawnictwo składa się z dwóch płyt. Główną częścią pierwszej jest 75-o minutowy film dokumentalny, ukazujący realizację ostatniej płyty artysty - *Stony Road*. Ale film jest niczym innym jak schematycznym ukazaniem studia nagraniowego i jego okolic, urozmaiconym rozmowami z artystą i muzykami zespołu. Najciekawszymi ujęciami są te, gdy Chris uprawia jogging, pokazując, że ciężka choroba, którą niedawno przeżył, należy już do przeszłości. Na pierwszej płycie są też fragmenty plenerowego występu z Kolonii i galeria obrazów Chrisa, z gitarą w roli głównej. Druga płyta pokazuje występ muzyka z zespołem podczas Montreux Jazz Festival w 2002 roku. Oczywiście na obu koncertach przewodnie role mają największe przeboje piosenkarza: *Josephine*, *On The Beach*, *Road To Hell*.

Leszek Gnoiński

OBRAZKI Z TRASY

W zeszłym roku Hey obchodził dziesiąte urodziny. Z tej okazji wystąpił ponad dwadzieścia razy i nagrał płytę koncertową, która ukazała się kilka tygodni temu. O najśmieszniejszych momentach ze swojej koncertowej historii opowiadają Kasia Nosowska i Marcin Żabiełowicz.

OBRAZEK 1

Marcin: Jako Hey po raz pierwszy zagraliśmy w Szczecinie podczas Kolabonight, potem pojechaliśmy na festiwal do Kielc. W obu miejscach zagraliśmy po trzy numery: *One Of Them*, *Desire*, *Fate*.

Kasia: Czyli... wszystkie, które mieliśmy. Potem wygraliśmy jeszcze festiwal w Jarocinie. Ale tam mieliśmy jeszcze jeden kawałek – *Karą będzie lęk*. Superstart, superzespół, który ma tyle tupetu, żeby mając trzy utwory, jeździć na festiwale. Śmieszne. I wszystkie śpiewane były w wersjach beztekstowych, czyli „po norwesku". W Jarocinie też zaśpiewałam w ten sposób, a potem zostało to puszczone w telewizji. Masakra i straszny obciach! Niedawno oglądałam to ponownie i kuliłam się ze wstydu. Aczkolwiek śpiewałam z dużym zaangażowaniem i paradoksalnie wyszło na to, że piosenka *Fate* już z angielskim tekstem brzmi bardzo podobnie. Zupełnie instynktownie śpiewam „po norwesku" i układa się to w normalny angielski tekst. Zostają tylko drobne błędy. Żona Marcina, która jest Amerykanką, twierdzi, że ten mój „norweski" to niezły... angielski.

OBRAZEK 2

Kasia: Koncert plenerowy w Szczytnie był jednym z początkowych występów Heya. Nie miałam wtedy jeszcze szkieł kontaktowych, a jestem krótkowidzem i bez okularów lub szkieł jestem całkowicie bezbronna. Widzę tylko kolorowe plamy i zarysy kształtów. I w tym Szczytnie nie było sceny, ludzie znajdowali się prawie na tym samym poziomie co my. Stałam przed mikrofonem i widziałam, że te ludzkie „plamy" są nisko. Pomyślałam, że jest beznadziejna zabawa, a ludzie siedzą. Postanowiłam rozruszać publiczność i powiedziałam: „Wstańcie. Nie wstydźcie się". W następnej piosence znów było do bani, więc znów powiedziałam, żeby wstali. I znów nic. Widziałam tylko, że te „plamy" podnoszą ręce. I wtedy podszedł do mnie Piotek Banach i powiedział: „Jesteś stuknięta? Przecież wszyscy stoją na palcach, wyciągają ręce jak najwyżej. Co mają jeszcze dla ciebie zrobić?". Okazało się, że publiczność stała za murkiem sięgającym jej do pasa. A mnie się wydawało, że siedzieli. Zachowałam się jak kompletna świrka. Nie lubię śpiewać w okularach. Glupio



wyglądam, a poza tym nie należą one do atrybutów wokalistki rockowej.

OBRAZEK 3

Kasia: Innym razem, ale to już nowsze dzieje Heya, podczas koncertu w Częstochowie wypadło mi jedno szkło kontaktowe. Miałam znów poczucie kosmosu, ponieważ jednym okiem widziałam ostro, a drugim zamazane plamy. W głowie zaczyna się chrzanić, wręcz pojawia kłopot ze złapaniem równowagi. Na szczęście szkło znalazłam szybko. Ale szkła kontaktowe mają to do siebie, że błyskawicznie wysychają i stają się absolutnie bezużyteczne. A to były jedyne na cały wyjazd i wiedziałam, że jak natychmiast czegoś nie zrobię, stracę je. Nie mogłam sobie pójść, zwilżyć i nałożyć, bo to był środek koncertu, niewielka sala, a garderoba znajdowała się za ludźmi. Na szczęście ochroniarz przyniósł mi płyn z garderoby i na scenie, przed ludźmi zabezpieczyłam oko.

OBRAZEK 4

Kasia: Podczas trasy z Acid Drinkers każdego wieczora były huczne imprezy. Po jednym z koncertów dość szybko poszłam spać. Jako że byłam w pokoju z chłopakami z zespołu, nie zamknęłam drzwi. I nagle otworzyły się i do pokoju wszedł obcy, wyglądający na świra koleś i powiedział: „A co ty tutaj robisz sama? Ja sobie tak tutaj usiądę". Usiadł i zaczął się na mnie patrzyć. Byłam przerażona, że mnie zamorduje, a potem w jakimś programie będą dociekać, jak do tego doszło i kto to był. I modliłam się, żeby któremuś z chłopaków zrobiło się za chłodno albo za gorąco, żeby chciał zrobić siusiu komfortowo w swoim pokoju i żeby mnie uratował. Na szczęście odważyłam się powiedzieć intruzowi, że zaraz wrócę i poszłam spanikowana na imprezę. Siedziałam do końca.

OBRAZEK 5

Marcin: W 1993 roku mieliśmy zagrać w Częstochowie. I nagle pojawiła się brygada antyterrorystyczna. Po prostu ktoś zadzwonił z informacją, że jest podłożona bomba. Wygnano wszystkich na zewnątrz, a nas... zostawiono w garderobie. O wszystkich zadbali, a o zespół nie. Gdyby była jakaś potężna bomba, to byśmy w tej chwili zasilali chóry aniołów.

OBRAZEK 6

Marcin: Podczas trasy promującej płytę ? Jacek, nasz basista, chciał sobie skoczyć ze sceny i obiec dookoła publiczność. Nie wziął jednak pod uwagę, że scena miała ze trzy metry wysokości. Skoczył, przebiegł dookoła i wszedł z powrotem. Ale już następnego dnia okazało się, że odbił sobie nogi i przez kolejnych kilka dni nie mógł stać i chodzić. Jeździł wtedy z nami Piotruś, nasz techniczny. Był słusznej wagi. Jak się koncert rozpoczynał, brał Jacka na ręce, wnosił na scenę i sadzał na stołeczku lub głośniku. A po koncercie przychodził i go znosił.

OBRAZEK 7

Kasia: Gdzieś w 1994 lub 95 pojechaliśmy na trzy koncerty do Francji. Jeden z nich graliśmy w miejscowości La Rochelle, która leży nad Atlantykiem. Chcieliśmy koniecznie zobaczyć ocean. Brzeg był skalisty i trzeba było zejść. I Marcin zupełnie spontanicznie stwierdził, że podbiegnie do oceanu, żeby pierwszy się z nim przywitać. Jak sobie podbiegł, tak na tych skałach się przewrócił i rozwalił rękę. Karetka przyjechała i zabrała go do szpitala. I kolejne dwa koncerty graliśmy we czwórkę. A Marcin? Stał przed nami i oglądał koncert. A potem przez wiele lat miał taki odruch – zasypiając, jakby cały czas miał ją w gipsie.

Marcin: „Rozciął rękę" – to brzmi dosyć spokojnie. Ta ręka wyglądała dosyć poważnie, rozpłatana była jak świeży kurczak. Po prostu podłożyłem rękę pod dupę, żeby sobie... spodni nie rozerwać. A u lekarza było mi trochę wstyd, bo przed zejściem nad ocean poszliśmy do pubu i parę piw wypiłem.

Kasia: W ogóle nasza przygoda z Francją to był jeden z piękniejszych okresów w naszej historii. Podczas innego wyjazdu naszemu kierowcy zepsuło się sprzęgło i do domu wracaliśmy ze trzy dni. Pod górę jechaliśmy 10 km/h, a czasami wybieraliśmy inne trasy. Było lato, nakupowaliśmy sobie serów i jak celnik na granicy otworzył drzwi naszego samochodu, to od razu zamknął je z obrzydzeniem, bo smród był niemiłosierny.

OBRAZEK 8

Kasia: Poznań uznałam za stolicę swoich skoków w publiczność. Dlaczego? Tam odbył się jedyny koncert, kiedy to zrobiłam. Zresztą ludzie i tak nie wierzą, że kiedykolwiek odważyłam się skoczyć, bo to nie jest w moim stylu. Skok miał miejsce chyba w 2001. Atmosfera koncertu była magiczna, było takie pozytywne ciśnienie, że mogłam lewitować lub przenieść się w inny wymiar. Jako że takich zdolności nie posiadam, skoczyłam. Ludzie pod sceną byli łaskawi, z dużą pokorą i wielką odwagą przyjęli moje ciało na swe ramiona. Nie słyszałam, żeby były jakieś ofiary.

OBRAZEK 9

Kasia: W ubiegłym roku, podczas trasy promującej *[sic!]* graliśmy w Ełku. To było chyba 24 listopada. W hotelu po koncercie stwierdziłam, że już za miesiąc będą święta. Karramba, nasz techniczny popatrzył na mnie i powiedział, że nie ma sprawy, on mi zorganizuje święta już teraz. Wziął słuchawkę telefonu, zadzwonił na recepcję i powiedział, że potrzebna będzie choineczka z bombkami, łańcuszkiem i innymi rzeczami. Myślałam, że żarty sobie robi, a on zszedł do recepcji i po chwili wjechał do pokoju z choinką w pełnym rynsztunku. W tym momencie impreza nabrała zupełnie innego znaczenia, toasty były inne, a za opłatek posłużyła nam kiełbaska.

OBRAZEK 10

Kasia: Rzucanie misiów zaczęło się po premierze piosenki *Misie*. Mnóstwo misiów trafiało na scenę. Następnie był okres z biżuterią. Ludzie rzucali opaski na rękę, łańcuszki, czasami jakiś pierścień z trupią czaszką. Potem przestali rzucać. I niedawno znów na scenę poleciał miś. Był to miś „z duszą", urokliwy, choć przerażający. Dziecku bałabym się go pokazać. A najlepsze było to, że po koncercie przyszedł koleś, żeby go... odebrać. Powiedział, że to jego ukochany miś i nie może nam go dać. Takiego numeru nigdy nie mieliśmy.

Leszek Gnoiński

Fot. Anna Wydrychiewicz, Paweł Przybyszewski



JAN LATUS



Młoda muzyka starych mistrzów

Muzyka, której słucha młodzież, zaspokaja jej potrzeby. Jest witalna, rytmiczna, agresywna. Bywa, że ostro rozlicza się w tekstach z rządzącymi światem. Czasem bucha erotyzmem.

Muzyka poważna to przy niej smędzenie, dłużyzny, dołowanie. Nuda – jak by powiedzieli bohaterowie *Rejsu*. Muzyka dla starszego pana z fajką, który uczy łaciny za nędzną pensję. Ale młodość to nie tylko dynamizm i agresja. Czy mi się tylko wydaje, że w tym wieku najmocniej... kochamy? Że w tym wieku najbardziej rozpiera nas radość życia? I czy nie jest prawdą, że w wieku młodzieńczym najbardziej przeżywamy: smutek, rozpacz, wątpliwości egzystencjalne, zawody miłosne? Zawsze tak było i – mimo powtarzanych co pokolenie utyskiwań, że młodzież teraz cyniczna i materialistyczna – głęboko wierzę, że tak zostanie. Taka jest bowiem natura ludzka. Wreszcie – nie obronimy się przed nieuchronnym atakiem hormonów.

Najlepiej radości i troski wieku młodzieńczego oddaje... muzyka poważna. Dowodem niech będzie nagranie, dla firmy EMI, suity baletowej *Romeo i Julia* Sergiusza Prokofiewa przez pianistę Andrieja Gawriłowa. Aż przeraża energia wirtuoza i intensywność, z jaką oddaje przeżycia postaci dramatu: od budzącego drgnienie w sercu pojawienia się Julii i radosnego napięcia w poznaniu młodych kochanków, przez tumult konfliktu między rodzinami Montecchi i Capuletti, do skrajnej rozpaczy, wreszcie rezygnacji w ostatniej części, kiedy nastoletni kochankowie żegnają się ze sobą. Jest tu smutek, ale jakiś czuły, przepełniony miłością, rozedrgany... Młodzieńczy. Gawriłow nagrał ponownie ten utwór kilkanaście lat później, jako blisko 40-letni mężczyzna. Gra jest efektowna, koncepcja – dopracowana. Zniknął tylko młodzieńczy żar i wrażliwość. Tenże Gawriłow, jeszcze jako nastolatek, nagrał porywająco Koncert d-moll Sergiusza Rachmaninowa. Posłuchajcie powalającej energią kadencji w pierwszej części! I ten utwór nagrał po latach. Także i tym razem żaru nie starczyło.

Gdy Chopin komponował swoje koncerty fortepianowe e-moll i f-moll, miał 21 lat i był zakochany. Wielu pianistów pięknie grało te utwory, ale kongenialne są – moim zdaniem – tylko wykonania rówieśników Chopina: 20-letniego Zimermana, podczas Konkursu Chopinowskiego (gdy pianista niesiony był jeszcze uwielbieniem sali), rozśpiewana wersja Ashkenazy'ego, z konkursu w 1955 roku. Trzeba być młodym, żeby tak śpiewać o miłości. Dowodem późniejsze nagrania tych pianistów. Lepsze pod każdym względem, ale czy naprawdę wolę ich słuchać?

Młodzieńczą energią iskrzy się wykonanie dwóch koncertów Feliksa Mendelssohna przez 28-letniego wówczas pianistę, Murray'a Perahię. W ciągu 40 minut oddaje on zniuansowane nastroje wieku młodzieńczego. A akompaniuje mu – uśmiechający się do młodego pianisty, to słychać! – dyrygent Neville Marriner. Jest to jedna z płyt do zabrania na bezludną wyspę – abyśmy i tam, mimo braku witamin, pozostali wiecznie młodzi. Muzykę poważną (sic) komponowały również dzieci. Sonaty na zespół smyczkowy Gioacchino Rossini napisał mając 12 lat – i to w kilka dni! Bije z nich radość i spontaniczność – nie da się tej muzyki słuchać inaczej jak rano, gdy przez firanki zagląda słońce. Najpromienniej ze wszystkich zagrała te sonaty orkiestra Academy of St.-Martin-in-the-Fields. Najenergiczniej – Polska Orkiestra Kameralna pod Jerzym Maksymiukiem.

Wielu wybitnych kompozytorów muzyki „poważnej" – Schubert, Mendelssohn, Chopin – zmarło bardzo młodo. Requiem Mozarta zostało skomponowane przez 32-letniego faceta, z którym młodzież byłaby dziś na „ty". W przeciwieństwie do Wolfganga Amadeusza, udziałem Mendelssohna była dostatnia, beztroska młodość panicza z dobrego domu. Ale, dodajmy, panicza o gorącym sercu – dowodem jego pełne ciepła i radosnej witalności symfonie oraz *Pieśni bez słów* na fortepian solo.

Inna była młodość nieśmiałego, nadwrażliwego, nie radzącego sobie w miłości Franciszka Schuberta. Te cierpienia słyszy się nie tylko w – sięgających kosmicznej metafizyki – sonatach, ale i w wesołych na pozór pieśniach. Bo jak napisaliśmy, młodość w muzyce to nie tylko radość i energia. To także wyjątkowa, zanikająca w starszym wieku, intensywność uczuć, to także smutek, samotność i cierpienie. O czym za wszelką cenę chcemy – w miarę upływu lat – zapomnieć.

Gdy Chopin komponował koncerty fortepianowe e-moll i f-moll, miał 21 lat i był zakochany. Trzeba być młodym, aby tak śpiewać o miłości.

Fot. Joanna Karwat

Jest w niej niespotykany żywioł. Potrafi bulwersować, szokować, wywołuje skrajne emocje. Jednak rzadko spotyka się osoby o tak jasnej cerze i tak przenikliwych oczach, jak Agnieszka Chylińska. A jasna cera jest oznaką szlachetności.

O.N.A. zakończyło działalność. Czujesz, że ten etap w życiu skończył się nieodwołalnie?
Długi etap się skończył, następny się zaczął i powiem, że mam trochę ambiwalentne odczucia. Z jednej strony czuję tęsknotę, niepewność. Z drugiej – strasznie się cieszę, że rodzi się coś nowego. To tak, jak w związku dwojga ludzi. Jesteś z kimś bardzo długo, jest pięknie, ale w pewnym momencie czujesz, że z czegoś wyrosłaś i trzeba zrobić coś nowego, nową jakość.

Wypalił się „związek O.N.A."?
Nie da się udawać miłości, jeśli jej nie ma i tak samo nie da się jej ukryć, jeśli ona istnieje. Od pewnego czasu miałam wrażenie, że w zespole nie dzieje się dobrze. Proces umierania tego projektu toczył się od długiego czasu. W jednym momencie zbiegło się kilka spraw. Zaczęła, niestety, przeszkadzać różnica wieku. Zmienił się rynek muzyczny, siadła sprzedaż płyt. Okazało się, że muzyka rockowa jest niepotrzebna, nie sprzedaje się. Mnie to nie



DZIEWCZYNA Z MANGI

zraziło absolutnie. Chciałam, może trochę pod górkę, zostać w konwencji rockowej. Kolegów to zniechęciło, nastąpił konflikt interesów. Ja chciałam grać ostrą muzę, oni zaczęli myśleć o powrocie do Kombi. Nie mam do nich żalu. Każdy ma prawo realizować się tak, jak chce. Myślę też, że faceci w tym wieku chcą stagnacji, a ja chcę wyzwań. Bycie w O.N.A. było dla mnie do pewnego stopnia ciepłą posadką, gdzie tak naprawdę o nic nie musiałam się martwić i o niczym do końca nie decydowałam. Teraz biorę wszystko w swoje ręce.

Cisza medialna, zapowiedziana w związku z rozpadem O.N.A. i powstawaniem nowego zespołu, jest potrzebą czy – może półświadomym – zagraniem marketingowym?
Fakt – często okazuje się, że najlepsze zagrania marketingowe wynikają z naturalnych potrzeb jednostki. Przeżywam teraz okres oczyszczenia, funduję sobie psychiczne wakacje. Słucham muzyki, spotykam się na próbach z różnymi muzykami, bo po rozpadzie O.N.A. ogłosiłam za pośrednictwem mojej strony internetowej poszukiwania basisty i gitarzysty. Potrzebuję czasu, żeby zatęsknić za sceną. Nie oznacza to robienia w międzyczasie szalika na drutach. Nie mam zamiaru spocząć na laurach – samo określenie działa na mnie jak płachta na byka. Nie czułam się też molestowana czy zamęczana na śmierć przez zespół O.N.A. Ale żeby nabrać do czegoś dystansu, trzeba od tego uciec.

W wieku 15 lat wymyśliłam sobie, że będę w encyklopedii polskiego rocka. Byłam tam, jak miałam lat 19.

Wspomniałaś o tworzeniu nowego zespołu. Planujesz kolektyw w stylu O.N.A. czy raczej skład „Chylińska plus bliżej niesprecyzowana reszta"?
Na pewno nie interesuje mnie układ typu Kasia Kowalska czy Natalia Kukulska. Nie kręci mnie granie z muzykami sesyjnymi – zlecam komuś napisanie utworu i ktoś dostaje za to pięć baniek. W moim zespole wszyscy będą pracować na sukces. Wiem też, że promowanie nowej nazwy zajęłoby trochę czasu, a ja nie po to pracowałam osiem lat na swoje nazwisko, żeby teraz pozostało w tle. Dlatego też prawdopodobnie nazwa zespołu będzie nim sygnowana. Jeśli chodzi o reguły gry – chciałabym, żeby każdy w zespole czuł się panem sytuacji z tą poprawką, że ostatnie słowo należy do mnie.

Ludziom się wydaje, że jak śpiewam: „gdy kocham, pragnę krwi", to znaczy, że uprawiam czarne msze i śpię w trumnie.

O.N.A., a właściwie wasza wytwórnia, wydała płytę *Best of*. Jesteś z niej zadowolona?
Dobrze, że zaznaczyłaś autora składanki. Wytwórnia wydała płytę i jest w pełni autorem kompilacji. Zgodziliśmy się na ten album, ponieważ decyzja o rozwiązaniu była dla nich zaskoczeniem. Firma oczekiwała nowego materiału, bo tak było zaznaczone w kontrakcie. Postanowiła samodzielnie wydać taką składankę. Poza tym, bez względu na to, jaka jest, pomyślałam sobie, że miło będzie, jak fani dostaną składankę. Natomiast względy czysto techniczne, czyli okładka i cała reszta – książka życzeń i zażaleń leży na ulicy Chóralnej!

Było o formie, teraz o treści. Inspiracją do twoich tekstów są mroczne strony naszego żywota. Nie myślałaś, że – paradoksalnie – nieszczęście jest twoim szczęściem, pasją?
Na pewno. Po pierwsze, pisanie i śpiewanie to dla mnie forma tworzenia. Jestem szczęśliwa kiedy mogę tworzyć. Inspiruje mnie wyłącznie nieszczęście. Kiedy jestem szczęśliwa, nie jestem w stanie pisać. Kiedy jest syf, mogę pisać, co sprawia, że jako twórca (nienawidzę słowa artysta, bo skoro byle dupek mówi, że jest artystą, to ja nie chcę nim być) czuję się szczęśliwa, jako kobieta – niekoniecznie. Pisanie to autoterapia. Myślę, że to się nie zmieni, chociaż nic w życiu nie jest ostateczne. Może wkrótce okazać się, że Kasia i Margolcia...

Miś i Margolcia, dla uściślenia...

Właśnie, Miś i Margolcia będą mojego autorstwa. Wydaje mi się też, że polska publiczność ma duże kłopoty z rozgraniczeniem na linii „artysta – człowiek". Ludziom się wydaje, że jak śpiewam: „gdy kocham, pragnę krwi", to znaczy, że uprawiam czarne msze i śpię w trumnie. Istnieje coś takiego jak autokreacja. Zachowuję się tak na scenie, bo tak a nie inaczej czuję, ale trudno, żebym po zejściu z niej, siedząc w domu przed telewizorem i jedząc popcorn, była taka sama. Często spotykam się z wielkim zdziwieniem, gdy ludzie widzą mnie na przykład w hipermarkecie. Jak to – nie jestem tym diabłem, którego znają ze sceny? Moim marzeniem jest stworzyć wizję nieziemskiej dziewczyny z mangi. Mieć zamek, zasieki, a po każdym koncercie wracać limuzyną. Ale w dzisiejszych realiach jest to niemożliwe. Wynajmuję mieszkanie, z panią sąsiadką mówimy sobie „dzień dobry" i chodzę w klapkach po mleko – ludzie mnie widzą również taką. I dochodzi do zgrzytu.

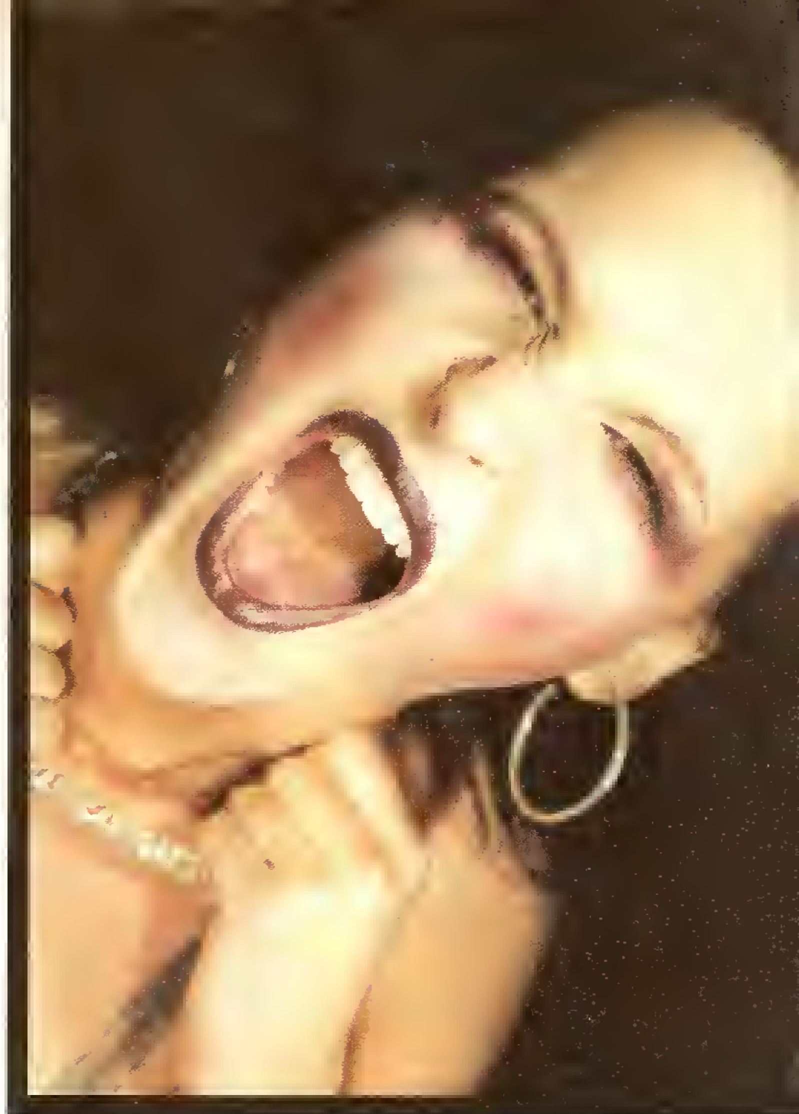
Nie da się udawać miłości, jeśli jej nie ma i tak samo nie da się jej ukryć, kiedy istnieje.

Esencją twojego pisania jest dla mnie utwór *Wszystko, to co ja*. Piszesz w nim o śmierci. Boisz się jej, bo nie chcesz tracić tego, co doczesne, czy po prostu boisz się, bo nie wiesz, co jest po drugiej stronie drzwi?

Teraz mogę iść po butelkę whisky i możemy siedzieć bez końca, bo wchodzimy na tematy egzystencjalne [śmiech]. Każdy wrażliwiec zadaje sobie takie pytanie. Obejmuję mojego faceta, świeci słońce, jest pięknie i nagle zaatakuje mnie ptasia grypa i koniec. Łatwiej byłoby mi myśleć o tym, gdybym była osobą wierzącą. A ja wierzę przede wszystkim w człowieka. Po coś żyjemy, mamy jakiś cel. Nie tylko dla prokreacji, to byłoby zbyt proste. Człowiek z wiekiem coraz mniej obawia się śmierci. Jeśli żyjesz w zgodzie ze sobą, myśl o niej nie jest taka straszna. Tak jak mówiłaś – boję się stracić to, co mam tutaj, w życiu doczesnym. Ale z drugiej strony czuję się kochana, potrzebna, a sprawy egzystencjalne nie są takie straszne, kiedy ma się obok bliską osobę. Polecę banałem: żyję po to, żeby być szczęśliwa. Jeśli będę żyła w zgodzie z tym, co szanuję, będzie dobrze. Najważniejsze to mieć cel i umieć do niego dążyć, nieważne, czy się go osiągnie, czy nie. W wieku 15 lat wymyśliłam sobie, że będę w encyklopedii polskiego rocka. Byłam tam, jak miałam lat 19. I co? Miałam się potem zabić, bo osiągnęłam cel? Nie – czas na następną poprzeczkę. Kto wie, może uda mi się kiedyś zagrać na Roskilde? Przed Audioslave na przykład?

Mam wrażenie, że siedzi przede mną zupełnie szczęśliwa i spokojna Agnieszka.

Po raz kolejny przypomina mi się cytat – panta rhei, wszystko płynie, nic nie jest ostateczne. Teraz jest moment spektakularny, bo zespół się rozpadł, bo nowy etap życia. Ale co będzie? Nie wiem. Jestem na etapie zasiewania ziarna. Zauważyłam, że mogę więcej wynegocjować od życia, gdy robię to, co uważam za słuszne. Okazało się, że ciepły konformizm, stagnacja, staw to dla mnie – jako twórcy – śmierć. Zespół O.N.A. zaczął być takim stawem. Stała woda, rzęsa się rozrosła i zaczęło śmierdzieć. I trzeba było wszystko wywalić, żeby mogło powstać coś nowego. Mam więc kolejny cel. I tak powinno być.



Nienawidzę słowa artysta, bo skoro byle dupek mówi, że jest artystą, to ja nie chcę nim być.

Rozmawiała Dagmara Leszkowicz

Fot. Sony Music Polska

JAKI BOX,

Pamiętacie Kojaka? W jednym z odcinków porucznik przemierza czarną dzielnicę Chicago, mijając co chwila typów z wielkim afro, dźwigających na ramionach dwugłośnikowe magnetofony... Teraz już wiecie, dlaczego przenośne radiomagnetofony nazwano kiedyś ghetto-blasters.



Thomson TM 9258

Polska młodzież tamtych lat miała oczywiście ich odpowiedniki – o ileż jednak mniej stylowe... Zaliczyć można do nich oczywiście nieśmiertelne Grundigi i ich polskie klony (na przykład Emilia, w której klawisz play po niedługim czasie trzeba było „wspomagać" pilnikiem) czy też opasłe Kasprzaki. Mimo nobliwego wyglądu odegrały one wielką rolę, choć odmienną od swych zachodnich kuzynów. Brało się taki sprzęt na koncert, dajmy na to Dezertera, i wystawiało lichy (wbudowany) mikrofon na wyziew ze sceny. Jeśli baterie wytrzymały, z każdej sztuki powstawało kilka koncertówek, które zastępowały oficjalne wydawnictwa.

BOOM Z GETTA

Dzisiejszy ghetto-blaster całkiem słusznie nazywa się boom-box. Określenie to padło po raz pierwszy w reklamie jednej z firm, ale stało się w krótkim czasie synonimem szerokiej na pół metra, pękatej kasty mieszczącej wszystkie elementy potrzebne do odtwarzania muzyki z trzech źródeł: magnetofonu kasetowego, odtwarzacza CD oraz radia. Te trzy mechanizmy sąsiadują ze wzmacniaczem i dwoma (lub więcej) głośnikami. Elementem pobocznym, ale dla wielu najważniejszym, jest jeszcze układ wzmacniający basy, dzięki którym na ten „box" mówi się „boom". Z powyższego wynika najważniejsza zaleta radiomagnetofonów przenośnych – funkcjonalność. Za cenę niższej, acz dla wielu do przyjęcia, jakości dźwięku dostajemy pełny, przenośny substytut wieży stereo. Nie dość na tym, podobnie jak w przypadku szeroko pojętych walkmanów, możemy je zasilać na dwa sposoby: podłączając do sieci elektrycznej bądź pakując sporą garść baterii o wyglądzie megapaluszków.

Buszując po sklepowych półkach w poszukiwaniu wymarzonego boom-boksa, nie będziemy raczej narażeni na konieczność podejmowania dramatycznych wyborów tudzież wertowania wielostronicowych opisów funkcji. Sprzęt to bowiem prosty aż do przesady, nawet moja antytechniczna mama sobie z nim radzi. Coś jednak przecież sprawia, że ten czy inny model cieszy się większym powodzeniem. W pewnym stopniu oczywiście techniczne szczegóły – na przykład ostatnimi czasy kartą przetargową jest możliwość odtwarzania płyt CD-MP3. Ja ich osobiście nienawidzę – po co komu 200 piosenek na płycie i kto w takim gąszczu bezbłędnie znajdzie to, czego szuka? A jednak robi się takie rzeczy, jak na przykład „pierwsze dziesięć albumów Kultu". Zainteresowanych zachęcam do wizyty w Rosji – tam takich płyt znajdziemy multum.

PLECAK OD GEORGE'A

Ośmielę się założyć, że dla wielu cechą decydującą jest wygląd sprzętu. Tendencje zmieniają się oczywiście z sezonu na sezon, ale utrwalenie spójnej wzorniczo „linii produktowej" to chyba największy problem producentów. Philips na przykład od dobrych kilku lat specjalizuje się w błyszczących chromem boksach, rozpoznawalnych po charakterystycznym umiejscowieniu głośników – coraz częściej nie dwóch, lecz czterech. Panasonic z kolei wyciągnął wnioski z powodzenia serii Cobra, od dobrych dziesięciu lat będącej wizytówką modeli tej firmy. Cobrę charakteryzował niegdyś otwierany panel

TAKIE BOOM

u góry urządzenia, po dziś dzień ostały się spłaszczone niczym reflektory sportowego auta głośniki. Coś podobnego próbuje osiągnąć Grundig, który w modelu Masq RRCD 9100 (799 złotych) przysłonił przyciski sterowania, tworząc regularną, „nieskażoną" wypukłościami bryłę. Model ten został w tym roku wyróżniony designerską nagrodą Red Dot i chyba trudno



Philips S_AZ 1515axx



JVC RS-WP1

się temu dziwić, bo faktycznie wygląda kosmicznie. Jeszcze inną koncepcję przyjęło JVC w modelu RS-WP1 (999 zł), zaliczonym przez producenta do kategorii „przenośny system CD". Mnie osobiście jego kształt kojarzy się z fotelem George'a Michaela z teledysku *Fastlove*. Innymi słowy niezły bajer, zwłaszcza jeśli zauważymy, że system pasków pozwala na przenoszenie go w charakterze... plecaka.

DO PLAYSTATION I KINA DOMOWEGO?!

Za ekstrawagancje trzeba jednak płacić słono, częściej zatem w tych trudnych czasach spojrzymy na półki z tańszymi urządzeniami. Najtańsze boom-boksy w pełnym tego słowa znaczeniu (czyli z odtwarzaczem CD) kosztują już niewiele ponad 200 złotych, ale dla spokoju sumienia warto dołożyć jeszcze setkę. Dlaczego? Nie kupuje się z zasady modeli najtańszych tudzież produkowanych przez mało znane firmy, o których mówi się „marki marketowe". Powód prosty, sprzęt ma jeździć na wyprawy nie tylko do serwisu.

Grundiga wyróżnia linia Freaxx, z której dwa nowe modele Freaxx 40 RRCD (449 zł) i Freaxx 10 RRCD (329 zł) są wyjątkowo estetyczne. Aż dziw bierze, że gdy w końcu Grundig zaczyna aspirować do miana producenta numer 1 w tej grupie produktów, to jak na złość został postawiony w stan upadłości...

Thomson może pochwalić się modelem TM 9258 – w zestawie posiada on pakiet @-package, zawierający oprogramowanie i kabel do PC. Po co? Pewnym wyjaśnieniem będzie informacja, że odtwarza CD-MP3 (ma zresztą duży, przystosowany do wyświetlania nazw plików ekran), przy czym kosztuje 599 złotych – w tej klasie to niezła cena.

Aiwa z kolei chwali się okrąglutkim CSD-TD59, który chyba jako najtańszy (509 zł), posiada magnetofon full logic (czyli „na miękkich przyciskach"), w związku z czym ma pilota obsługującego wszystkie funkcje.



SONY CFD-G70

Mniej wyrafinowane są za to nowe modele Philipsa, który już wcześniej, bo jesienią, pokazał swe najciekawsze pomysły, między innymi boom-box z „fortepianową" (czarną i gładką) obudową, przywołującą na myśl także słynną miniwieżę Yamaha Pianocraft. Prawdziwy hit, futurystyczny model AZ 2558 umożliwiający podłączenie do konsoli do gier lub peceta, trafi na rynek w czerwcu i będzie kosztował 799 złotych.

Sony z kolei, w przeznaczonym (według firmy) do połączenia z Playstation 2 urządzeniu CFD-G70 umieściło cztery głośniki i... sub-woofer. Oczywiście trudno traktować to poważniej niż jako namiastkę subniskotonowego głośnika, ale znów udało się upchnąć coś nowego. Dla porządku wspomnę tylko o cenie – 899 złotych. Panasonic na swój sposób również zaskoczył, fundując w modelu RX-D25-K głośnik... centralny. Boombox kina domowego?

Marcin Kostaszuk



Panasonic RX-D25-K

RENATA PRZEMYK & KASIA NOSOWSKA

KOCHANA

GOŚCINNIE: BORYSEWICZ & KUKIZ

MUZYKA: R. PRZEMYK
SŁOWA: A. SARANIECKA
K. NOSOWSKA
RYSOWAŁ: J. WASIUKIEWICZ



MUZA

w prenumeracie najtaniej!

Zamawiając prenumeratę pálraczną (6 miesięcy) zamiast 47,40zł płacisz **44,90 zł**

Zamawiając prenumeratę raczną (12 miesięcy) zamiast 94,80 zł. płacisz **86,90 zł.**

(jeden numer gratis!)

Prosimy wyciąć i **czytelnie** wypełnić formulorz podojąc swaje imię, nazwisko i dokładny adres araz okres opłoconej prenumeroty (6 lub 12 miesięcy).
Opłoty można dokonoć w nojbliższym urzędzie pocztowym lub w dowolnym bonku.
Wysyłkę pierwszego numeru z prenumeroty rozpoczynamy natychmiast pa atrzymoniu wpłaty.

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA ODBIORCY

numer rachunku odbiorcy: 51109013590000000100862087

odbiorca: Muza Press, pl. Defilad 1, 00-901 Warszawa

kwota

tytułem: prenumerata za: ☐ 6 miesięcy ☐ 12 miesięcy

NIP .... podpis ....

Imię, nazwisko i adres wpłacającego:

....
....
....

Wyrazam zgodę na wykorzystanie podanych powyżej danych osobowych przez Muza Press z siedzibą w Warszawie, pl. Defilad 1, PKiN w celach realizacji zamówień prenumeraty oraz w działaniach reklamowych i marketingowych realizowanych przez Muza Press. Wszystkie dane podlegają ochronie zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych (Dz. U. nr. 883 z 1997r.) Wszystkim prenumeratorom przysługuje prawo wglądu, poprawiania i usuwania swoich danych osobowych.



.... podpis

.... opłata

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: Muza Press

nazwa odbiorcy cd.: pl. Defilad 1, 00-901 Warszawa

l.k.	nr rachunku odbiorcy	
51	10901359	0000000100862087

W P waluta kwota:

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem: prenumerata miesięcznika MUZA ☐ 6 miesięcy ☐ 12 miesięcy

Opłata:

data, pieczęć, podpis(-y) zleceniodawcy

ODCINEK DLA BANKU ODBIORCY

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

numer rachunku odbiorcy: 51109013590000000100862087

odbiorca: Muza Press, pl. Defilad 1, 00-901 Warszawa

kwota

tytułem: prenumerata za: ☐ 6 miesięcy ☐ 12 miesięcy

NIP .... podpis ....

Imię, nazwisko i adres wpłacającego:

....
....
....

Wyrazam zgodę na wykorzystanie podanych powyżej danych osobowych przez Muza Press z siedzibą w Warszawie, pl. Defilad 1, PKiN w celach realizacji zamówień prenumeraty oraz w działaniach reklamowych i marketingowych realizowanych przez Muza Press. Wszystkie dane podlegają ochronie zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych (Dz. U. nr. 883 z 1997r.) Wszystkim prenumeratorom przysługuje prawo wglądu, poprawiania i usuwania swoich danych osobowych.



.... podpis

.... opłata

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: Muza Press

nazwa odbiorcy cd.: pl. Defilad 1, 00-901 Warszawa

l.k.	nr rachunku odbiorcy	
51	10901359	0000000100862087

W P waluta kwota:

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem: prenumerata miesięcznika MUZA ☐ 6 miesięcy ☐ 12 miesięcy

Opłata:

data, pieczęć, podpis(-y) zleceniodawcy

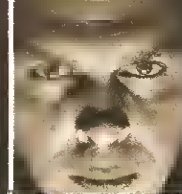
ODCINEK DLA BANKU ZLECENIODAWCY



Kazik
śpiewa Waitsa



Blur
prosto z Londynu



Raz Dwa Trzy
o Bogu i ludziach

muza

magazyn muzyczny

czerwiec 2003
numer 2
INDEKS 377732
cena 7,90 zł
(w tym 7% VAT)

WWO
Smolik
Chylińska
Stańko

125 recenzji!

MARILYN MANSON

WYGRAJ BILETY NA KONCERT!

